

BIULETYN IPN

nr 10 (19)/2013

pamięć **pol**



**Polskie Republiki Rad
Uciekinier z Sobiboru**

Nobel dla Wałęsy

Dyplomata, czyli szpieg

**Eugeniusz Bodo
w matni NKWD**

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

**Dodatek specjalny:
plakat z Józefem Franczakiem
ps. „Laluś”**



Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotylle posilkowe dostarczające, dobrowolnie lub przymusowo, przez nację z nim sferowane. Oprócz okrętów strictly bojowych Imperium rozporządzało także znacząco mniejszych jednostek zwodowanych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzydziście okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przyłądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsułów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywą Appiusa Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsułów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsułom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całą flotą kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonym eskadram dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódcą oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiążył sypna, czyli dowódcą mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szyprow, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodził: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz flętista bądź trębacz nadający odpowiednie tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flegowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przeprawy przez Kartagińskich bitwy u przyłądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wioślarzom, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: koczując z przyczepionym do wylotów kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie kosów wylotnych jadłowitymi węzłami bądź skrępkami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swoim pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to taka znanca centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu classarii posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (laticla hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety”) i przytroczone do niego pteruges, czyli półokrągłe pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu bekońskiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napolicznymi wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wizerowań scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liviusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekli dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarznienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączano też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodził: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umbem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich ubraли się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz welnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczali do nich należą łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznic, luk refleksyjny, którego ciężkie napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od proczary. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wypię Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także proczarze kretetyscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociśki, tunika, hełm i krótki miecz bądź puginał. Jako proczarze służyli też zwykłe Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzaney torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym zryku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stop rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucono kamiennymi bądź olowanymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby: Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewer – periplus), zdruzgotania ich wioślarzami (dieklus) lub abordaży, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpyływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wyczoływały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru okrążającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wioślarzów przez wplynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepyływały następnie ze sporą szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas do jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordaży. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadąć sterciu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jękanieś metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu, kołowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kolca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny

www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIA WIEKI”

Popularyzujemy historię od 55 lat!

W październikowym numerze:

- Bitwa pod Lenino 1943 – krew i polityka
- Polski koncept Stalina
- Rewolucja francuska niszczy kościoły
- Unia polsko-litewska w Horodle
- Conrad w kongijskim piekle
- Milicjanci przeciw władzy. Związek Zawodowy Funkcjonariuszy MO w 1981 roku
- Arabsko-izraelska wojna Jom Kippur z perspektywy 40 lat
- Bitwa Narodów pod Lipskiem – ostatni bój ks. Józefa Poniatowskiego
- Wycieczka do niemieckiego Stralsundu

Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdota sprzed wieków

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe:

www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki





3 AKTUALNOŚCI IPN

4 KALENDARIUM

6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

8 Krzysztof Gottesman, *Taki jak Polska*

STOPKŁATKA

10 Radosław Poboży, *„Poznałem go w Los Angeles”*

WYWIAD

16 *Uratowali mnie Polacy* – rozmowa z Filipem Białowiczem, uciekinierem z Sobiboru

Z ARCHIWUM IPN

20 Grzegorz Majchrzak, *List w obronie „Ruchu”*

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

22 Filip Gańczak, *Szwajcar, czyli szpion*

27 Sergiusz Kazimierczuk, *Zalążek siedemnastej republiki*

31 Tomasz Ceran, *Im Namen des Führers*

35 Dorota Sula, *Walka do południa, do wieczora...*

38 Leszek Zachuta, *Pamiętki ocalone od zapomnienia*

42 Maciej Nowak, *Jak cudzoziemiec kamienicę kupował*

44 Patryk Pleskot, *Szkiełko, nie oko*



Fot. AIPN



Fot. KARTA



Fot. ze zbiorów M. Mackiewicz



Fot. ze zbiorów T. Zawistowskiego

Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO

48 Grzegorz Majchrzak, *Nobel dla Lecha, Nobel dla Solidarności*

STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI

52 Paweł Sasanka, *Wszystkie oblicza wojny*

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

58 Jerzy Eisler, *Do krwi ostatniej...*

Z BRONIĄ W RĘKĘ

61 Michał Mackiewicz, *Pepesza – prosta, tania, niezawodna*

ORZEŁ BIAŁY

64 Tomasz Zawistowski, *Orzeł zwany „kuricą”*

EDUKACJA HISTORYCZNA

69 Sławomir Wójcik, *„Inka”. Przerwane życie...*

71 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN



Karjeraż ekspert! Leszko! Fot. ze zbiorów Marii Fieldorf

Szanowni Czytelnicy!

Każda władza, która dąży do całkowitej kontroli nad społeczeństwem, nieuchronnie popada w absurd. Po latach (a czasami nawet i na bieżąco) można się z tego śmiać, gorzej, jeśli skutków absurdu akurat doświadczamy na własnej skórze. Dziś śmiejemy się z komedii Stanisława Barei, ale w PRL mało kto stał uśmiechnięty w kilometrowej kolejce po papier toaletowy. Były też absurd o wiele większego formatu. Pełni grozy totalitarnego absurdu doświadczył m.in. Eugeniusz Bodo – znakomity przedwojenny aktor, który przez radziecką bezpiekę został uznany za agenta wywiadu. Powody były kuriozalne (jak to często w postępowaniu śledczych sowieckich) – m.in. jego szwajcarskie obywatelstwo i rola w filmie *Lwaga! Szpieg*. O losach jednego z najbardziej znanych polskich aktorów pisze Filip Gańczak. Prawdziwymi szpiegami (choć pod płaszczykiem dyplomatycznym) i ich sprzętem wywiadowczym zajął się natomiast w swoim artykule Patryk Pleskot. Wprawdzie nie było to wyposażenie na miarę filmowych gadżetów Jamesa

Bonda, ale i tak robiło duże wrażenie na peerelowskich agentach wyposażonych w rodzimy, siermiężny sprzęt.

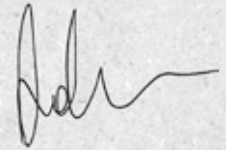
We wrześniu ubiegłego roku rozmawialiśmy z Kazimierzem Piechowskim, uciekinierem z KL Auschwitz. W tym roku w październiku przypada 70. rocznica buntu więźniów obozu zagłady w Sobiborze. Podczas akcji uciekło ok. 200 osób. O życiu w obozie, przebiegu buntu i procesach zbrodniarzy z uczestnikiem tych wydarzeń, Filipem Białowiczem, rozmawia Maciej Foks.

W październiku mija także 30 lat od wyróżnienia Lecha Wałęsy pokojową Nagrodą Nobla. Grzegorz Majchrzak opisuje okoliczności jej przyznania i wręczenia (a właściwie niewręczenia, bo osobiście laureat nie pojechał na uroczystość), a także ukazuje, jak dotkliwą porażką (to dopiero absurd!) dla władz PRL było uhonorowanie najbardziej bodaj prestiżową na świecie nagrodą jednego z obywateli ich państwa...

Do numeru dołączyliśmy plakat ze zdjęciem sierżanta Józefa Franczaka ps. „Laluś” – 23 października 1963 roku (wspominamy o tym w Kalendarium), 18 lat od zakończenia wojny, ostatni z Żołnierzy Wyklętych poległ w walce z ZOMO.

Redaktor naczelny

Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięi Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Grzegorz Berendt,
dr hab. Robert Klementowski,
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,
dr Maciej Korcuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Dawid Golik,
Krzysztof Gottesman, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olszak,
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiowski,
Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna: Andrzej Broniak

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

Zagłada chorych

W III Rzeszy utrzymywanie nieuleczalnie chorych traktowano jako obciążenie dla państwa. Podobną politykę Niemcy prowadzili w okupowanej Polsce. Mordowanie pacjentów polskich szpitali prowadzono planowo według ustalonego schematu, a zabijaniem chorych, niedołączonych ludzi zajmowała się specjalna jednostka SS-Sonderkommando dowodzona przez Herberta Lange. Według szacunków zbrodniarze niemieccy zglądali w Generalnym Gubernatorstwie ok. 20 tys. chorych, we włączonym do III Rzeszy Kraju Warty – ok. 6 tys. W Forcie VII pod Poznaniem zlokalizowano pierwszy obóz koncentracyjny na terenie okupowanej Polski. Stał się on makabrycznym laboratorium późniejszej Zagłady. O zapomnianych i do dziś nierozliczonych zbrodniach nazistowskich Niemiec pisze Daniel Rubiś.



Fot. D. Rubiś

Konkurs fotograficzny IPN „Pamięć w obiektywie”

Aby wziąć udział w konkursie, trzeba spełnić trzy warunki:

1. Zrób zdjęcie miejsca pamięci związanego z walką o niepodległość Polski do 1989 roku.
2. Zaloguj/zarejestruj się na portalu facebook.com, wejdź do naszej aplikacji konkursowej (www.facebook.com/edu.ipn zakładka „Konkurs”) i dodaj zdjęcie.
3. Nadaj tytuł swojej fotografii i opis w kilku zdaniach (maksymalnie 2000 znaków), co przedstawia, jakiego wydarzenia lub osoby dotyczy i kiedy zostało wykonane.

Fotografie można nadsyłać do 31 października 2013 roku wyłącznie za pośrednictwem naszej aplikacji konkursowej – aplikacja jest całkowicie bezpieczna. Najlepsze prace wybierze komisja konkursowa (najpóźniej 29 listopada 2013 roku) i społeczność facebookowa przez głosowanie na najlepszą fotografię. Głosowanie użytkowników rozpocznie się 4 listopada i zakończy 22 listopada 2013 roku.

Do wygrania jest kilkaset gier i publikacji wydawanych przez IPN, w tym także *Kolejka* – Gra Roku 2012, prawdopodobnie najpopularniejsza polska planszówka na świecie.

Weź aparat lub telefon, zrób zdjęcie i wygraj!

Regulamin konkursu dostępny jest na profilu Strefa Edukacyjna IPN (www.facebook.com/edu.ipn), zakładka „Konkurs”.

■ 6 września w warszawskim Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki odbyła się **premiera 111 – najnowszej gry edukacyjnej Instytutu Pamięci Narodowej**, której autorami są dr Tomasz Ginter i Karol Madaj.

111 rozwija zasady sprawdzone w grze 303, wydanej trzy lata temu. Jest to więc kolejna planszowa gra historyczna dla dwóch osób. Tym razem akcja rozgrywa się we wrześniu 1939 roku – w czasie walk w obronie polskiego nieba, które toczyła m.in. 111. Eskadra Myśliwska, wchodząca w skład Brygady Pościgowej. Jeden z graczy dowodzi skromnymi siłami polskiego lotnictwa, a drugi potężną Luftwaffe. Zadaniem sił polskich jest strącenie niemieckich bombowców, zanim te dotrą nad Warszawę. Dodatkowe elementy, które mogą zdecydować o wyniku tego pojedynku, to artyleria przeciwlotnicza, lotniska polowe i chmury. Dołączona do gry broszura opisuje historię Brygady Pościgowej i bohaterskie wyczyny polskich pilotów. 111 można kupić w punktach sprzedaży IPN oraz dobrych sklepach z grami planszowymi.



Fot. P. Życieński

■ We wrześniu pod patronatem IPN odbył się **V festiwal filmów dokumentalnych „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”**. Przez trzy dni w Teatrze Miejskim w Gdyni można było oglądać filmy poświęcone historii najnowszej. Równolegle odbywały się m.in. warsztaty filmowe dla młodzieży, dyskusje panelowe i występy muzyczne.

Złoty Opornik – nagroda główna festiwalu – przypadł Jerzemu Bojanowskiemu, reżyserowi filmu *Bagaż strachu*, opowiadającego o studentach Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, którzy w latach siedemdziesiątych przemycili do PRL powielacz. Jury doceniło również dokumenty *Było sobie miasteczko...* oraz *Pani Weronika i jej chłopcy*. Twórcy *Było sobie miasteczko...* dodatkowo odebrali Nagrodę im. Janusza Krupskiego „za odwagę i trud w poszukiwaniu tematów i postaci niepokornych, niezłomnych i wyklętych”. Nagroda Anioła Wolności za najlepszy film powstały w ramach projektu „Młodzi dla historii” powędrowała do uczniów LILO w Warszawie.

Nagrody specjalne przyznano Weronice Sebastianowicz – prezes Stowarzyszenia Żołnierzy AK na Białorusi – oraz Ewie Kubasiewicz, skazanej w stanie wojennym na 10 lat więzienia. Platynowy Opornik za całokształt twórczości otrzymał reżyser Grzegorz Królikiewicz. Ponadto w tym roku po raz pierwszy wręczono nagrodę Źródło, przeznaczoną dla historyków, którzy inspirowali twórców do pracy nad filmami o polskiej historii. Laureatem został dr hab. Krzysztof Szwagrzyk z IPN, koordynator prac archeologiczno-ekshumacyjnych na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach.



Fot. P. Życieński

► Laureaci Anioła Wolności – nagrody dla młodych twórców

■ Trwa szósta edycja **konkursu „Książka Historyczna Roku”**. O nagrodę im. Oskara Haleckiego rywalizują autorzy książek i e-booków opisujących losy Polski i Polaków w XX wieku. **W kategorii „Książka popularnonaukowa”** jury nominowało następujące publikacje:

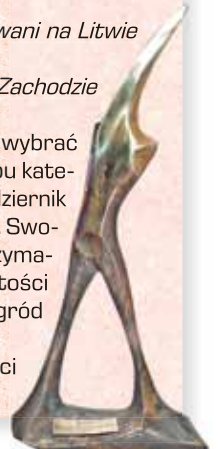
- *Bieszczady w PRL-u*, część 1 i 2
- *Jerzy Giedroyc. Życie przed „Kulturą”*
- *Krok do wolności. Polskie ofiary żelaznej kurtyny*
- *Ludzie interesu w przedwojennej Polsce. Przedsiębiorcy, filantropi, kapitaliści*
- *Nadzieja i piekło. Polska 1914–1989*
- *Pamięć II. Polscy uchodźcy na Węgrzech 1939–1946*
- *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych w latach 1944–1956* (wyd. IPN)
- *Wojciech Korfanty*
- *Wolny agent Umeda i druga Japonia*
- *Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–2013*, akt I i II.

W kategorii „Książka naukowa” o nagrodę walczy:

- *Kłopotliwa Panna „S”. Postawy polityczne Zachodu wobec Solidarności na tle stosunków z PRL 1980–1989* (wyd. IPN)
- *Lech Kaczyński. Biografia polityczna 1949–2005*
- *My w Szwecji nie porastamy mchem... Emigranci z Polski w Szwecji w latach 1945–1980*
- *O Piłsudskim, Dmowskim i zamachu majowym. Dyplomacja sowiecka wobec Polski w okresie kryzysu politycznego 1925–1926*
- *Pogarda dla zawodu, litość dla człowieka: społeczno-edukacyjne formy działalności wobec kobiet zagrożonych prostytutką w Polsce (1918–1939)*
- *Polscy uchodźcy na Bliskim Wschodzie w latach drugiej wojny światowej. Ośrodki, instytucje, organizacje*
- *Starostowie Polski Międzywojennej. Portret zbiorowy*
- *Stolpce–Łowcza–Leśna 1924. II Rzeczpospolita wobec najważniejszych incydentów zbrojnych w województwach północno-wschodnich*
- *Uchodźcy wojenni i polscy żołnierze internowani na Litwie w czasie II wojny światowej*
- *Wojska pancerne Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1940–1947.*

Czytelnicy mogą w głosowaniu internetowym wybrać spośród nominowanych najlepsze książki w obu kategoriach. Głosowanie odbywa się przez cały październik na stronie www.ksiazkahistorycznaroku.pl. Swych zwycięzców wyłoni także jury. Laureaci otrzymają statuetki i nagrody pieniężne o łącznej wartości 60 tys. złotych. Uroczysta gala wręczenia nagród odbędzie się w listopadzie.

Organizatorami konkursu są Instytut Pamięci Narodowej, Telewizja Polska i Polskie Radio.



oprac. Filip Gańczak

POSTAĆ MIESIĄCA

21 października 1963: W walce z SB i ZOMO poległ sierż. Józef Franczak „Laluś” („Lalek”), ostatni żołnierz polskiego podziemia niepodległościowego.

Franczak, rocznik 1918, służył w przedwojennym Wojsku Polskim. We wrześniu 1939 roku dostał się do sowieckiej niewoli, ale po kilku dniach zdołał zbiec. Działal w Okręgu Lublin Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej. Latem 1944 roku, gdy Lubelszczyznę zajęła Armia Czerwona, został wcielony do 2. Armii ludowego Wojska Polskiego. Był świadkiem wyroków śmierci wydawanych przez sąd polowy na żołnierzy wywodzących się z AK. Obawiając się podobnego losu, zdezerterował i z czasem dołączył do partyzantki niepodległościowej. W 1946 roku został aresztowany, ale i tym razem udało mu się uciec. Służył potem w oddziale leśnym kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. Brał udział w napaściach na patrole milicyjne oraz wykonywaniu kar śmierci na konfidentach i aktywistach komunistycznych. Kolejni jego towarzysze ginęli – on jednak skutecznie wymykał się komunistycznej bezpiece. Nie



Fot. AIPN

▶ Józef Franczak „Laluś” (trzeci od lewej)

ujawnił się w czasie amnestii w 1956 roku. Ukrywał się na lubelskiej prowincji dzięki pomocy zwykłych ludzi, choć za pomoc w jego schwytaniu władze wyznaczyły nagrodę. W końcu wydał go krewny narzeczony – Stanisław Mazur, zwerbowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako tajny współpracownik „Michał”. „Laluś” został otoczony przez kilkudziesięciu funkcjonariuszy bezpieki w gospodarstwie Wacława

Becia we wsi Majdan Kozic Górnych. Podjął walkę i został śmiertelnie ranny. Pozbawione głowy zwłoki pochowano anonimowo na jednym z lubelskich cmentarzy. Dopiero 20 lat później zezwolono na przeniesienie szczątków do rodzinnego grobowca. W 2008 roku Józef Franczak został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. ■

7 października 1918: Rada Regencyjna zapowiedziała powstanie w pełni suwerennej Polski. „Zbliża się pokój, a wraz z nim ziszczenie nigdy nieprzedawnionych dążeń narodu polskiego do zupełnej niepodległości” – czytamy w ogłoszonym tego dnia orędziu.

Rada została powołana rok wcześniej przez niemieckie i austro-węgierskie władze okupacyjne. Tworzyli ją konserwatyści: książę Zdzisław Lubomirski, abp Aleksander Kakowski i ziemianin Józef Ostrowski. Urzędowała w Warszawie i miała pełnić funkcję tymczasowej polskiej władzy państwowej, odpowiadającej m.in. za sądownictwo i szkolnictwo. Z czasem – w obliczu nadchodzącej klęski państw centralnych w I wojnie światowej – starała się jednak usamodzielnic. 12 października 1918 roku przejęła od okupantów władzę zwierzchnią nad wojskiem, a wkrótce powołała rząd Józefa Świeżyńskiego.

W tym czasie załóżki polskiej państwowości tworzyły się już także poza dawnym zaborem rosyjskim. W końcu października w Krakowie powstała Polska Komisja Likwidacyjna Galicji i Śląska Cieszyńskiego z Wincentym Witosem i Ignacym Daszyńskim. Odmówiła ona podporządkowania się Radzie Regencyjnej. Radzie brakowało nie tylko szerokiego zaplecza politycznego, ale też poparcia społecznego. W tej sytuacji 14 listopada 1918 roku uległa samorozwiązaniu, przekazując całość władzy Józefowi Piłsudskiemu. ■

▶ Od lewej: hr. Józef Ostrowski, abp Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski



Fot. AIPN

9 października 1908: Na stokach warszawskiej Cytadeli został stracony Józef Mirecki „Montwiłł”, jeden z przywódców Organizacji Bojowej PPS.



▶ Józef Mirecki „Montwiłł” (1879–1908)

Pochodził z dość zamożnej rodziny ziemiańskiej, ale za sprzeciw wobec rusyfikacji został wydalony z gimnazjum i nie ominięła go praca fizyczna. Od wczesnych lat był związany z Polską Partią Socjalistyczną. Poświęcił się działalności niepodległościowej wymierzonej w carską Rosję. Był organizatorem licznych akcji bojowych, m.in. w roku 1906 roku dwóch udanych napadów na pociągi przewożące gotówkę z carskich urzędów – najpierw pod Pruszkowem, a następnie w Rogowie. Długo nie opuszczało go szczęście. Uciekł m.in. z zesłania w dalekiej Karelii, a później z warszawskiego szpitala św. Ducha, gdzie trafił w więzienia na Pawiaku. Jesienią 1907 roku został po raz kolejny aresztowany. Po długim śledztwie skazano go na śmierć i stracono na szubienicy. Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczęły zwłoki. W II RP Józef Mirecki został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami. ■

Fot. NAC

16 października 1978:

Kardynał Karol Wojtyła został wybrany na papieża. Przyjął imię Jan Paweł II.

Urodził się w Wadowicach. W młodości próbował sił jako poeta i występował w przedstawieniach teatralnych. W 1938 roku podjął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, przerwane przez wybuch II wojny światowej. W czasie okupacji Wojtyła pracował jako robotnik, wstąpił też do tajnego seminarium duchownego. W 1946 roku przyjął święcenia kapłańskie, a wkrótce doktoryzował się w Rzymie. Wykładał później m.in. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Jego habilitację zablokowało Ministerstwo Oświaty.

W 1964 roku Karol Wojtyła został arcybiskupem metropolita krakowskim, a trzy lata



Fot. AIPN

► Błogosławiony Jan Paweł II (1920–2005)

później dodatkowo kardynałem. Był pierwszym od 455 lat nie-Włochem, którego konklawe wybrało na papieża. Jan Paweł II od początku manifestował otwartość, spotykał się z młodzieżą i przedstawicielami innych wyznań. Odbył ponad sto zagranicznych podróży aposto-
lickich. Dziewięciokrotnie odwie-

dził Polskę, w tym trzy razy PRL: w 1979, 1983 i 1987 roku.

„Nie ulegało wątpliwości, że pojawienie się Polaka na czele Kościoła katolickiego było dla PZPR trudnym do zgryzienia orzechem i zapowiadało kolejne, coraz większe kłopoty” – pisze w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. Dla wielu rodaków, nawet niewierzących, Jan Paweł II stał się najwyższym autorytetem moralnym. Już w czasie pierwszej pielgrzymki do Polski witały go tłumy. „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi” – powiedział wówczas podczas mszy św. na pl. Zwycięstwa w Warszawie. Za spełnienie tych słów można uznać powstanie rok później NSZZ „Solidarność” – masowego związku zawodowego niezależnego od władz komunistycznych. W styczniu 1981 roku Jan

Paweł II przyjął w Watykanie Lecha Wałęsę. Z liderem Solidarności spotykał się także w trakcie podróży do Polski w 1983 i 1987 roku. W czasie obu pielgrzymek papieża witały transparenty zdelegalizowanej przez władze Solidarności. Zapytani, co w największym stopniu przyczyniło się do upadku komunizmu w Europie, Polacy ankietowani przez CBOS w 2009 roku wymienili pontyfikat Jana Pawła II (38 proc.) na drugim miejscu – zaraz za ruchem Solidarności i działalnością opozycji demokratycznej w PRL (44 proc.).

Do dziś nie udało się wyjaśnić sprawy zamachu z 13 maja 1981 roku, kiedy to papież został ciężko zraniony przez Mehmeta Alego Ağcę. Jeden z tropów prowadzi do bułgarskich tajnych służb, a pośrednio do sowieckiego KGB. ■

24 października 1938: Niemcy Adolfa Hitlera proponowały Polsce sojusz.

Tego dnia doszło do spotkania ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Joachima von Ribbentropa z ambasadorem RP w Berlinie Józefem Lipskim. Szef niemieckiej dyplomacji oferował Polakom rozwiązanie wszystkich sporów. III Rzesza i II RP miałyby uznać nawzajem swoje granice, a polsko-niemiecka deklaracja o niestosowaniu przemocy z 1934 roku mogłaby zostać przedłużona z 10 do 25 lat. W zamian Ribbentrop oczekiwał zgody na włączenie do Rzeszy Wolnego Miasta Gdańska (z zachowaniem tam polskich przywilejów) oraz przeprowadzenie przez polską część Pomorza eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej, które połączyłyby Prusy Wschodnie z resztą niemieckiego terytorium. Niemcy nalegali też, by Polska przystąpiła do paktu antykominternowskiego, wymierzonego w ZSRR. To właśnie ten warunek był dla władz w Warszawie najtrudniejszy do przyjęcia. Polska dyplomacja od lat prowadziła bowiem politykę równowagi, nie chcąc wiązać się z jednym potężnym sąsiadem przeciwko drugiemu, gdyż oznaczałoby to utratę samodzielności politycznej. Hitler i Ribbentrop powtórzyli swoje propozycje w styczniu 1939 roku, ale i tym razem nie zostały one zaakceptowane. „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę” – tłumaczył później w sejmowym przemówieniu minister spraw zagranicznych RP Józef Beck. ■



Fot. Fot. AIPN

► Joachim von Ribbentrop (z lewej) i gen. Tadeusz Kasprzycki; Warszawa, styczeń 1939 roku

28 października 1948: W wyniku obrażeń doznanych w wypadku samochodowym zmarł biskup łomżyński Stanisław Kostka Łukomski, typowany na nowego prymasa Polski.

Dwa dni wcześniej Łukomski przewodniczył uroczystościom pogrzebowym kard. Augusta Hłonda. Gdy wracał do Łomży, doszło do katastrofy. Za Ostrowią Mazowiecką w samochodzie, którym podróżował biskup, zacięła się kierownica. Auto wypadło z drogi i uderzyło w drzewo. Siedemdziesięciocześcioletni Łukomski, były sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski, zmarł w szpitalu św. Antoniego w Warszawie.



Fot. z Archiwum Diecezji Łomżyńskiej

► Biskup łomżyński Stanisław Kostka Łukomski (1874–1948)

Pojawiły się podejrzenia, że za wypadek może odpowiadać Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. „Łukomskiego władze mogły się obawiać, gdyż znany był ze swoich przedwojennych sympatii narodowych, po wojnie zaś ze wspierania ruchu ludowego oraz utrzymywania kontaktu z antykomunistycznym podziemiem” – zauważa dziennikarka Ewa K. Czaczkowska. W swoich kazaniach protestował przeciwko walce nowych władz z religią. Gdy w lutym 1947 roku sejm wybrał na prezydenta Polski Bolesława Bieruta, biskup nie zgodził się, by z tej okazji w kościołach diecezji zabily dzwony. Materiały archiwalne pokazują, że Łukomski był intensywnie inwigilowany przez bezpiekę. Teza o zamachu na jego życie nie została jednak bezspornie potwierdzona. ■

14 października 1923 roku

Wybuch w Cytadeli Warszawskiej wstrząsnął nie tylko mieszkańcami stolicy, ale także całą Polską. O eksplozji w prochowni, mieszczącej się w murach tej dziewiętnastowiecznej twierdzy, rozpisywały się niemal wszystkie gazety. Także redakcja łódzkiej „Republiki” zamieściła w numerze 269 z 14 października 1923 roku obszerną relację z wydarzeń, które miały miejsce w pierwszych godzinach po katastrofie. „W dniu dzisiejszym około godz. 9 nastąpił wybuch prochowni na obszarze Cytadeli. W prochowni tej znajdowały się znaczne zapasy ładunków prochu. Wskutek katastrofy, jak dotychczas stwierdzono, straciło życie 28 osób cywilnych i wojskowych, ciężko rannych zostało 40 osób, reszta lżej ranni. Władze, które natychmiast po wybuchu zjawily się na miejscu wypadku, zarządziły wszystkie środki ratunku oraz wydały bezzwłocznie polecenia, potrzebne do zapobieżenia rozszerzaniu się niebezpieczeństwa. Dochodzenia, wdrożone celem wykrycia przyczyn wybuchu, wskazują na to, że wybuch wywołany został wskutek działania zbrodniczej ręki. Rząd podziela oburzenie całego społeczeństwa z powodu tej potwornej zbrodni oraz współczucie społeczeństwa dla ofiar katastrofy” – głosił komunikat urzędowy opublikowany na pierwszej stronie dziennika. O wysadzeniu Cytadeli Warszawskiej władze oskarżyły dwóch oficerów Wojska Polskiego, działaczy komunistycznych, których – po krótkim procesie – skazano na karę śmierci. Wyroki nie zostały wykonane.



27 października 1939 roku

„[...] epizod historyczny, za który odpowiedzialność ponosić muszą zarówno zaślepieni klika rządowa byłego kraju polskiego, jak też obłudni podżegacze wojenni w Anglii” – wbrew pozorom nie jest to cytat z komunistycznej Polskiej Kroniki Filmowej, lecz... z proklamacji Gubernatora Generalnego Hansa Franka, opublikowanej w „Nowym Kurjerze Warszawskim” z 27 października 1939 roku. Przedstawiciel okupanta, który dzień wcześniej zastąpił niemiecki zarząd wojskowy zajętych terenów, przekonywał zamieszkujących Gubernatorstwo Polaków, że oto nastaly dla nich czasy szczęśliwości: „Oddziały armii niemieckiej przywróciły porządek na obszarach polskich. Ponowne zagrożenie pokoju europejskiego, przez nieuzasadnione żądania tworu państwowego, który powstał ongiś z woli wersalskiego traktatu przemocy i który więcej się nie odrodzi, zostało usunięte raz na zawsze”. W kolejnych jednak zdaniach Frank nie pozostawiał złudzeń co do tego, jak III Rzesza widzi miejsce Polaków: „Führer polecił mi [...] dbać we formie stanowczej o to, aby w przyszłości zapewniony był w tym kraju stan pokoju i aby się organicznie rozwinęły sąsiedzkie stosunki Polaków do potężnego mocarstwa światowego narodu niemieckiego”. Zapewniał co prawda: „Życie wasze wieść możecie wierni z dawien dawna zachowanym obyczajom. Waszą narodową odrębność polską będzie wam wolno zachować we wszystkich objawach życia zbiorowego”, lecz już miesiąc później miało się okazać, że Polakom nie wolno prowadzić szkół średnich i wyższych. Mogli co najwyżej uczyć się czytania, pisania, liczenia i prostych zawodów. Jedna zapowiedź zawarta w proklamacji była szczerą i wyrażoną wprost: „Dla podżegaczy politycznych, hien gospodarczych i wyzyskiwaczy żydowskich nie będzie natomiast miejsca w obszarze stojącym pod zwierzchnictwem niemieckim. Wszelkie próby oporu przeciwko wydanym rozporządzeniom oraz przeciwko spokojowi i porządkowi na obszarach polskich unicestwione będą z bezwzględną surowością przy pomocy oręża Wielkiej Rzeszy Niemieckiej”. I na koniec obłudna obietnica: „Zarządzenia nasze uwolnią was od wielu okropnych bolączek i niedomagań, jako następstw niesłychanej gospodarki waszych dotychczasowych zarządców, wskutek których dziś jeszcze cierpieć musicie”.



NUMERZE:
 1. W ramach kwartalnika pod tytułem: „Młodzi”
 2. Czas przekształcenia stowarzyszenia wódek politycznych
 3. WSP. 5
 4. Działalność kulturalna w Warszawie
 5. Kształtowanie się architektury
 6. Ułamy — wspomnienia poła Powsnia

STOLICA

WARSZAWSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Tygodnik Chelmski

Z PIERWSZEJ STRONY



28 października 1956 roku

„Robotnicy spieszący do pracy, długie kolejki przed kioskami z prasą, dyskusje toczące się w tramwajach, autobusach i wprost na ulicy, głośnie przekazywanie sobie ostatnich wiadomości podanych przez radio – to atmosfera minionej niedzieli. Ulica warszawska, w niedzielę zazwyczaj odświętna i spokojna, tym razem zmieniła swój nastrój” – kreśliła obraz stołecznych ulic „Stolica” w numerze 44 z 28 października 1956 roku. Co było powodem radosnego zamieszania? „Mieszkańcy miasta, tak jak i ludzie w całym kraju, z radością przyjęli przemówienie tow. Wiesława [w rzeczywistości: Władysława, „Wiesław” to partyjny pseudonim] Gomułki, zapowiadające nowy okres budowy socjalizmu w Polsce” – wyjaśniała redakcja. Chodzi o wiec na pl. Defilad z 24 października z udziałem nowo wybranego I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, zmarginalizowanego i jeszcze niedawno więzionego Władysława Gomułki. Nowy przywódca PZPR budził olbrzymie zaufanie i nadzieje: „Warszawscy robotnicy, młodzież akademicka, inteligencja, wojsko znaleźli w tej wypowiedzi słowa prawdy, których brak przynębiał uczciwych ludzi przez wiele lat. Chyba po raz pierwszy od chwili odzyskania niepodległości całe społeczeństwo tak zwarcie poparło uchwały Partii”. Oddaliła się też groźba radzieckiej interwencji przywódcą ZSRR Nikita Chruszczow zaakceptował kandydaturę Gomułki. Redakcja wyciągnęła jednak, jak się zdaje, zbyt daleko idące wnioski: „Entuzjazm i wola pracy, by życie w Polsce socjalistycznej stało się lepsze, cechuje dziś wszystkich. Robotnicy Warszawy, tak jak i w minionych latach walki o zwycięstwo prawdy i postępu, stanęli w pierwszym szeregu klasy robotniczej całego kraju. Tę wolę zadeklarowali, obejmując stanowiska przy swych warsztatach pracy w niedzielę, w dzień zasłużonego odpoczynku. Biuro Polityczne, wybrane na VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, staje na czele Partii z potężnym orężem zaufania, jakim obdarza ją całe społeczeństwo polskie, wokół niej zjednoczone”.

Październikowy wiec był początkiem przemian zwanych odwilżą, zerwaniem ze stalinizmem. Represje ani próby sowyetyzacji nigdy już nie wróciły do poziomu sprzed 1956 roku. Akurat w dniu ukazania się tego numeru „Stolicy” wypuszczono na wolność prymasa Stefana Wyszyńskiego. Władze jednak szybko zaczęły stopniowo odchodzić od polityki odprężenia – jeszcze w grudniu utworzono Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej, które miały pacyfikować demonstracje, a w październiku 1957 roku zamknięto tygodnik „Po Prostu”, postrzegany jako jedno z najbardziej niezależnych pism wśród wówczas istniejących.



12 października 1985 roku

W numerze 41 „Tygodnika Chelmskiego” z 12 października 1985 roku ukazał się obszerny wywiad z Jerzym Urbanem, od 1981 roku rzecznikiem prasowym rządu, organizującym cotygodniowe konferencje prasowe, na które przybywali zarówno dziennikarze krajowi, jak i zagraniczni. Urban stwierdził wówczas, że, pisząc o PRL, prasa krajów „demokracji ludowej” przekazuje na ogół informacje jednostronnie pozytywne, zupełnie inaczej niż prasa zachodnia, której zarzucał manipulacje informacjami. „Generalnie fałszerstwo polega na przedstawianiu Polski jako kraju, w którym trwają ostre konflikty polityczne, na przedstawianiu tego, co mówi rząd, jako nieprawdy. Oni nie piszą: – Urban kłamie. Oni tylko każde niemal zdanie, które wypowiadam, opatrują znakiem zapytania lub tak je formułują (na przykład, przez dodanie słowa »rzekomo«), aby z natury rzeczy to, co ja mówię, było niewiarygodne” – wyjaśniał. I dalej: „W wyobraźni ich czytelników Polska rysuje się jako kraj inny niż jest nim w rzeczywistości, to znaczy jako kraj ustawicznych, ostrych nadal, konfliktów politycznych, o szalenie niepewnej sytuacji”. Wskazał przy tym kraje, których dziennikarze oczerniają wizerunek komunistycznego państwa nad Wisłą: „Najbardziej zajadła i nienawistna jest moim zdaniem prasa szwajcarska i belgijska. Nie ma to żadnego uzasadnienia w polityce tych krajów wobec Polski. Wydaje mi się, że wynika to z lokalnych układów, np. z wpływów, jakie mają tam w prasie różni emigranci z Polski”. Zapytany o „kuchnię” swojej pracy, rzecznik prasowy rządu odpowiedział: „[...] to nie jest tak, że ja wszystko wiem, mam zresztą bardzo słabą pamięć. Dysponuję bankiem informacji, który powinien już być w komputerze, ale nie mamy takich urządzeń, więc starożytnym sposobem spisany na papierze i złożony w teczkach. Obok mnie na konferencjach siedzi zawsze asystent, który ma teczkę z informacjami, o które ktoś według naszej oceny może zapytać, i podsuwa mi odpowiednie karteczki”. Na zakończenie Urban zapewnił swoich rozmówców, że każdy dziennikarz może zadać mu pytanie, „również o sprawy drażliwe lub za takie uchodzące”.

R oboczości spieszący do pracy, długie kolejki przed kioskami z prasą, dyskusje toczące się w tramwajach, autobusach i wprost na ulicy, głośnie przekazywanie sobie ostatnich wiadomości podanych przez radio – to atmosfera minionej niedzieli. Ulica warszawska w niedzielę zazwyczaj odświętna i spokojna, tym razem zmieniła swój nastrój. Ulica warszawska, w niedzielę zazwyczaj odświętna i spokojna, tym razem zmieniła swój nastrój. Ulica warszawska, w niedzielę zazwyczaj odświętna i spokojna, tym razem zmieniła swój nastrój.

Taki jak Polska

Krzysztof Gottesman



Znowu głośno o Lechu Wałęsie. Na półkach księgarskich pojawiły się właśnie dwie nowe książki – Sławomira Cenckiewicza *Wałęsa. Człowiek z teczki i Piotra Semki Za, a nawet przeciw. Zagadka Lecha Wałęsy*. Niedawno w Wenecji premierę miał film *Wałęsa. Człowiek z nadziei* Andrzeja Wajdy, również poświęcony przywódcy Solidarności. Dyskusja będzie burzliwa, ale czy zmieni to nasze myślenie o nim, nasze wyobrażenia, nasze oceny? Nie sądzę. Bo każdy ma już swojego Wałęsę. Ukształtowanego przez lata.

Mój Wałęsa przyszedł do mnie w sierpniu 1980 roku. Byłem wtedy z kolegami w Dębku nad Bałtykiem. Cały dniami słuchaliśmy „Wolnej Europy” i emocjonowaliśmy się strajkiem w Stoczni, a w nocy pisaliśmy na plaży na mokrym piasku nazwisko, ledwo wtedy znane, przewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Nie byliśmy do końca pewni, jak poprawnie należy je pisać. Przez „ę” czy raczej „en”? Rano znajdowaliśmy napisy niezatarte, a czasem z dorysowanym pozytywnym komentarzem.

31 sierpnia, ostatniego dnia strajku, byłem pod stoczną. Obserwowałem wraz tłumem, jak były podpisywane kolejne punkty porozumienia i w końcu na bramę wdrapał się niewysoki mężczyzna z wąsami, w wytartym garniturze i ogłosił, że mamy wolne związki zawodowe. A o resztę musimy wspólnie walczyć.

Nie byłem osamotniony w zachwycie nad Lechem Wałęsą. Najwięksi dziennikarze opisywali go jak bohatera niemal niezemskiego. Przejrzałem przed chwilą fragmenty gazetowych tekstów z jesieni 1980 roku – wierzyć się dziś nie chce, że można było pisać z takim patosem. A może tak było trzeba. „Dzień Lecha W. miał czterdzieści godzin. Jak to u niego: niemożliwe stało się możliwym” – napisała pod koniec 1980 roku reporterka „Tygodnika Powszechnego”.

Lecha, bo tak wszyscyśmy o nim mówili, poznałem trochę bliżej, gdy jako reporter „Tygodnika Solidarność” pisałem relacje ze zjazdu Solidarności w Olivii. Wtedy po raz pierwszy dotarły do mnie pogłoski o jego współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Krążyły ulotki, ktoś coś pokątnie mówił. Nie było możliwości ich sprawdzenia, mało kto zresztą brał je poważnie pod uwagę. – Ubecka prowokacja – uwierzyliśmy.

Zobaczyłem też Wałęsę, jak sobie radzi z tłumem, jak wyczuwa jego emocje, jak bezbłędnie potrafi jed-

nym zdaniem odpowiedzieć na jego oczekiwania. Przysłuchiwałem się jego rozmowom z ekspertami, delegacją rządową. Podziwiałem go. Nie zawiódł w stanie wojennym. Nie zdradził. Przez całe lata był dla mnie i większości moich przyjaciół symbolem solidarności i wolności. W naszych domach na ścianach, na półkach, na biurkach stały i wisiały zdjęcia Lecha. Jako znak wierności i nadziei. Nie zdjęliśmy ich nawet wtedy, gdy w większości poparliśmy Mazowieckiego w wyborach prezydenckich.

Wtedy zaczęły się kłopoty z Lechem. Otoczył się dziwnymi ludźmi. Coraz częściej mówił „ja”, a nie „my”, był w swoich ocenach niesprawiedliwy, zaczął razić jego brak obycia. I wróciły oskarżenia o współpracę z SB. Coraz bardziej konkretne, coraz bardziej prawdopodobne. I coraz bardziej Wałęsa płatał się w ich tłumaczeniu, jako prezydent zabrał i „zgnubił” dokumenty na ten temat. Pamiętam też telewizyjną rozmowę sprzed kilku lat Wałęsy z Jaruzelskim. Patrzyłem na nią z rosnącą i bezsilną złością. Widziałem zdenerwowanego i przestraszonego Wałęsę, upokorzonego i zebrzącego u Jaruzelskiego o swoiste świadectwo moralności, o potwierdzenie, że nigdy nie był agentem bezpieczeństwa. Napisałem o swoich wrażeniach krótki tekst w „Rzeczpospolitej”, dostałem po nim bardzo dużo listów i telefonów od ludzi – najczęściej z mojego pokolenia – podobnie jak ja zawiedzionych i zasmuconych.

Jak dzisiaj widzę Wałęsę, jak go oceniam? Był nie do zastąpienia. Nie dlatego, że był tak genialnym politykiem, strategiem, choć również z tego powodu, ale przede wszystkim dlatego, że był najlepszym symbolem, jaki można było sobie wówczas wyobrazić. Po trosze z marmuru, z żelaza, również z nadziei i z teczki, słowem – z Polski. Trochę dobry, trochę zły, trochę chytry, trochę honorowy. Odważny i tchórzliwy, prawdomówny

i wiarołomny. Światowy i prowincjonalny. Taki był potrzebny, takiego chcieli Polacy w PRL, którzy zrobili rewolucję i pokonali komunizm. Z Lechem Wałęsą na czele.

W 2000 roku w wyborach prezydenckich startowali Kwaśniewski, Olechowski, Krzaklewski, Kalinowski, Lepper, Korwin-Mikke, Wałęsa i kilku jeszcze zupełnie nieznanymi kandydatów. Już w pierwszej rundzie wygrał Kwaśniewski. Na Wałęsę głosowało 178 590 wyborców, siódme miejsce między Korwinem i Łopuszańskim, 1,01 procenta. Byłem w tej grupie. I do dziś się tego nie wstydzę. Uważałem, że na wybory trzeba chodzić, ale na żadnego z głównych kandydatów nie potrafiłem oddać głosu. Oddałem, idealistycznie, za Solidarność.

Lech Wałęsa od blisko dwóch dekad jest na politycznej emeryturze. Radzi sobie na niej raz lepiej, raz gorzej. Wychodzą na wierzch wszystkie złe cechy osobiste, megalomania przede wszystkim, przeszkadza brak wykształcenia, mocno uwiera i nabrzmiewa esbecka rysa. Widać, że bolą go samotność i zawód, który sprawiają mu najbliżsi.

A mój Wałęsa? Próbuję go zapamiętać z bramy stoczni, z rozmowy z Miodowiczem i z Kongresu amerykańskiego, gdy mówił: „Stoję przed wami, by w imieniu swojego narodu mówić do Ameryki, do obywateli państwa i kontynentu, u którego wrót stoi słynna Statua Wolności. [...] Nie prosimy o żadne datki ani filantropię, pragniemy natomiast, aby nasz kraj był traktowany jako partner i przyjaciel. [...] Usłyszeliśmy już wiele pięknych słów zachęty. To dobrze, ale jako robotnik i człowiek konkretnej pracy powiem, że podaż słów na świecie jest wielka, ale popyt na nie maleje”.

Nikt przed nim ani nikt po nim tak w Kongresie nie przemawiał. Próbuję, choć nie jest to łatwe, takim go zapamiętać. 🍷

TAJNE
spec.znacz.

w filmie wykorzystano
autentyczne materiały
jednej z wielu spraw
prowadzonych przez
Departament I – MSW

Fot. AIPN

„POZNAŁEM GO W LOS ANGELES”

Radosław Poboży

„11 czerwca 1985 roku na moście Glienicke prowadzącym z Berlina do Poczdamu została przeprowadzona największa od czasu II wojny światowej operacja wymiany pracowników wywiadu i agentów pomiędzy Wschodem a Zachodem. Trudności w uzgodnieniu jej warunków spowodowały dwukrotne przełożenie ostatecznego terminu realizacji. W końcu akta kandydatów do wymiany trafiły na biurko prezydenta Reagana. Zgodnie z obowiązującą konstytucją Stanów Zjednoczonych tylko prezydent może dokonać aktu łaski. W październiku 1984 roku Amerykanie wyrazili gotowość do przystąpienia do tzw. pakietowej wymiany. Taki był finał trwających ponad trzy lata negocjacji między Moskwą a Waszyngtonem” – tak brzmi relacja berlińskiego korespondenta amerykańskiej telewizji, wykorzystana w filmie szkoleniowym dla funkcjonariuszy wywiadu PRL.

Ten fabularyzowany film w reżyserii Jerzego Oblamskiego został zrealizowany w 1989 roku z myślą o szkoleniu słuchaczy Ośrodka Kształcenia Kadry Wywiadowczej Departamentu I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Starych Kiejkutach. Film trwa 74 minuty, odsłania kulisy działalności kapitana Mariana Zacharskiego i jest jednym z wielu materiałów filmowych, złożonych w archiwum Instytutu Pamię-

ci Narodowej. Wykorzystano w nim autentyczne materiały jednej z wielu spraw prowadzonych przez Departament I MSW, a występują sam Zacharski oraz aktorzy. Większość materiałów audiowizualnych, znajdujących się w zasobie IPN, została wytworzona przez organa bezpieczeństwa państwa. W tym wypadku – przez specjalną komórkę Wydziału XII Biura „B”, tzw. zespół realizatorów filmowych „SEKTOR”, co sprawia, że materiały



Fot. AIPN



Fot. AIPN

niający się młody handlowiec szybko znalazł się w gronie pracowników przewidzianych do rotacji. Kierownictwo Metalexportu zdecydowało się wysłać go do pracy w spółce o kapitale mieszanym POLAMCO, zajmującej się sprzedażą polskich maszyn przemysłowych na rynku amerykańskim” – słyszy widz w tekście lektorskim.

Marian Zacharski: „Do pracy w USA zostałem oddelegowany pod pseudonimem »Ken«. Postawiono mi w instrukcji wyjazdowej następujące zadania: 1. przeprowadzić na miejscu zadania mające na celu ugruntowanie tzw. legendy wobec otoczenia polskiego i amerykańskiego; 2. systematyczne rozpoznanie polskich i amerykańskich pracowników oraz nawiązanie nowych znajomości z osobami z przemysłu elektronicznego i zbrojeniowego, pracującymi w rejonie zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych; 3. nawiązanie kontaktów towarzyskich z osobami, które w przyszłości mogłyby stanowić źródło potrzebnych nam informacji”.

Dyplomata PRL w Chicago: „Wkrótce po włączeniu Zacharskiego w system pracy rezydentury w Chicago kierownictwo POLAMCO mianowało go dyrektorem nowo utworzonego oddziału tej firmy w Los Angeles. Podczas swoich wizyt w polskim konsulacie Zacharski dostarczał materiały operacyjne pod przykryciem załatwiania przez niego spraw służbowych”.

• **Funkcjonariusz I:** „Wszyscy pracują w firmach zachodnich należących do największych wykonawców zamówień dla Pentagonu. Szczególną



Fot. AIPN

te cechują specyficzną treść i formą. Dla potrzeb tekstu dokonałem niezbędnych skrótów, starając się jak najlepiej oddać swoistą nowomowę i charakter oryginalnego filmu.

„Realizacja postawionych wywiadowi naukowo-technicznemu zadań daje wymierne korzyści gospodarce narodowej poprzez niwelowanie negatywnych skutków polityki »embargowej«, jaką od lat prowadzą główne kraje kapitalistyczne, oraz zmniejszenie kapitału i czasochłonnych nakładów na rozwój własnych badań i doświadczeń w wielu dziedzinach nauki. Ma w tym swój udział kapitan Marian Zacharski, urodzony w 1951 roku. Będąc pracownikiem Metalexportu, przystąpił do służby w wywiadzie MSW. Przeszkolenie operacyjne otrzymał w trybie indywidualnym. Jako wyróż-



Fot. AIPN



Fot. AIPN

uwagę należy zwrócić na Bella. Pozostałymi zajmiemy się później. Czy »Ken« nadal poszukuje mieszkania?»

Funkcjonariusz II: „Tak, dotychczasowe oferty odrzucił”.

Funkcjonariusz I: „To się dobrze składa. Powinni zamieszkać obok siebie. Przygotuj instrukcje i depesze”.

• **Zacharski:** „Te paszporty proszę załatwić w trybie przyspieszonym”.

Zacharski: „Udało mi się w końcu wynająć mieszkanie w tym samym budynku, w którym mieszkał William Bell. W dość szybkim tempie zaprzyjaźniłem się z sąsiadami, co pozwoliło mi nawiązać kontakt z Bellem. W trakcie rozmów z nim zorientowałem się, że jest on wielkim miłośnikiem tenisa i że szuka partnera do gry. Zapropnowałem mu swoje usługi. Następnego dnia spotkaliśmy się na korcie. Spotykaliśmy się dość często. Nie ukrywał, że zależało mu na tych spotkaniach”.

Bell: „Marian, będzie nam miło gościć was w sobotę na kolacji. Ricie bardzo zależy na waszej obecności. Staruszek Bell kończy 45 lat. Czekamy o 19.00”.



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Bell: „Bardzo lubię [Leonarda] Cohena. Zauważyłeś, że jego twarz jest naznaczona cierpieniem? Powiedz, Marian, dlaczego jednym wszystko się udaje, a drugim nic? Wszystko mi się wali. Rozwód z Alice drogo mnie kosztował. Jeżeli nie wykupię mieszkania do końca tego kwartału, będę musiał się wyprowadzić. Mężczyzna, który nie potrafi zapewnić kobiecie dostatniego życia, nie jest wart tej kobiety. Mnie są potrzebne po prostu pieniądze”.

Zacharski: „Myślę, że mógłbym ci pomóc”.



Fot. AIPN

Kilka dni później...

Zacharski: „To pismo wydawane przez twoją firmę?”

Bell: „Tak, to takie nowinki techniczne – interesuje cię to!?”

Zacharski: „Tak, owszem”.

Bell: „To obejrzyj sobie to, tylko pamiętaj, są to materiały poufne”.

Zacharski: „Nie musisz mi tego mówić. Masz tego więcej?”

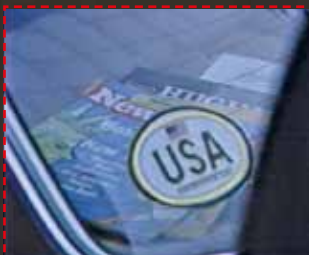
Bell: „Wpadnij do mnie we wtorek, pokażę ci tego więcej”.

W domu Bella

Bell: „Każdy obiekt zostawia tzw. ciepły cień, uchwytny tylko przez promieniowanie podczerwone... Dobra ta polska wódka... Te detektory reagują na promieniowanie podczerwone... ich czułość jest fenomenalna”.

Zacharski: „Chciałbym to zabrać do domu i dokładnie przestudiować”.

Bell: „...dobrze, oddaj mi to jutro rano”.



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. AIPN

W biurze POLAMCO Zacharski kseruje dokumenty.

Tymczasem...

Funkcjonariusz I: „Mam dobrą wiadomość. Jest zgoda na rozpoczęcie drugiej fazy werbunku”.

Funkcjonariusz II: „Musimy zmienić rolę »Kena«. Jedną dokładniejszą kontrola *security* na lotnisku i nie chciałbym być w jego skórze”.

Funkcjonariusz I: „Materiały powinien wozic sam Wilson tutaj do Europy. My będziemy odbywać z nim spotkania z pozycji centrali. »Ken« musi namówić Wilsona na przyjazd do Austrii lub Szwajcarii. Tam na neutralnym gruncie przeprowadzimy z nim rozmowę werbunkową, uzgodnimy warunki

współpracy i wynagrodzenia. Natomiast »Ken« powinien kontrolować Wilsona i służyć mu doradztwem operacyjnym”.

• **Los Angeles**

Zacharski: „Nasi przyjaciele z Polski ponownie zapraszają cię na poufne konsultacje. Potrzebne będzie mi twoje aktualne zdjęcie”.

Bell: „Po co?”.

Zacharski: „Muszą wiedzieć, jak wyglądasz”.

Bell: „Kto musi wiedzieć?... Aha...”.

• **Bell:** „Do Zurychu przylecę dwudziestego szóstego. Tam wynajmę samochód, którym dwudziestego ósmego przyjadę do Innsbrucku, wynajmę pokój w hotelu. Następnego dnia zejdę ▶



Fot. AIPN



Fot. AIPN





Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. AIPN

o 9.20 na śniadanie i po śniadaniu 5 minut przed 10.00 wyjdę przed hotel. Na lewym ramieniu mam torbę z napisem PANAM, podejdzie do mnie mężczyzna i spyta, czy jestem przyjacielem Mariana, odpowiem – tak, poznałem go w Los Angeles”.

• Innsbruck

Funkcjonariusz I: „Czy jest pan przyjacielem Mariana?”

Bell: „Tak, poznałem go w Los Angeles”.

Funkcjonariusz I: „Nasze wspólne spacerowanie nie powinny nikogo dziwić. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś pana zapytał o to, niech mu pan powie, że rozpoznałem w panu Amerykanina. Reprezentuję ministerstwo przemysłu maszynowego. Jak panu zapewne wiadomo, oficjalne zabiegi nie zawsze dają możliwości zdobycia interesujących nas nowości. Dlatego też jesteśmy szczerze zainteresowani konsultacjami nieoficjalnymi. Pod warunkiem

że będą przebiegać z zachowaniem całkowitej dyskrecji”.

Bell: „Problemy te są mi znane, konsultacje z zachowaniem ich pełnej dyskrecji w pełni mi odpowiadają”.

Funkcjonariusz I: „To bardzo ułatwi nam dalszą rozmowę. Przejrzałem dokumentację, którą przekazał pan Marianowi. Pan wie, że ma charakter fragmentaryczny?”

Bell: „Tak, ale istnieje możliwość jej uzupełnienia. W zamian oczekuję zabezpieczenia finansowego na przyszłość!”.

• Kilka dni później

Bell: „Mogę mieć dostęp do materiałów, które dostaną się w moje ręce w sposób naturalny i niebudzący podejrzeń”.

Funkcjonariusz I: „Dobrze. Niech pan to jeszcze pokwituje. To na pokrycie kosztów, jakie pan poniosł”.

Bell: „Przyjaciele do mnie mówią Bill”.

Funkcjonariusz I: „Pieniądze, Bill... Nie muszę ci mówić, do czego może doprowadzić nieumiejętne ich wydawanie”.

Bell: „Nie musisz”.

Funkcjonariusz I: „Dostaniesz od nas kamerę filmową przystosowaną do zdjęć poklatkowych. Naświetlony film będziesz przechowywać i przenosić w specjalnych opakowaniach i skrytkach. Będę je odbierał od ciebie osobiście. Kamery, kasety i skrytki otrzymasz od Mariana”.

Bell: „Chyba przeceniłem swoje możliwości. Sfotografowanie dokumentacji samolotów B-1 i F-15 wydaje się niemożliwe. Dokumentacja ta jest bardzo obszerna. Tak w sensie objętości, jak i formatu. Żeby ją wynieść z biura, musiałbym posłużyć się dużą teczką, a takiej do pracy nigdy nie nosiłem”.

Zacharski: „Skoro wyniesienie dokumentacji jest niemożliwe, sfotografuj ją w biurze. Rzyko to samo.



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Pomyśl, jak wnieść do biura kamerę w sposób bezpieczny”.

Bell: „Marian, chciałbym kupić nowy samochód. Ten grat już się rozsypuje”.

Zacharski: „To nie jest najlepszy pomysł, Bill. Możesz mieć kłopoty”.

Bell: „Marian, po co mi ta forsa, jeżeli nie można mi jej wydawać?!”

• **Zacharski:** „Nie posłuchałeś mojej rady?”

Bell: „Daj spokój”.

Zacharski: „Sam zakładasz sobie pętlę na szyję”.

Bell: „Rita zagroziła mi, że jeżeli nie zapewnię jej odpowiedniego standardu życia, to odejdzie”.

Linz

Funkcjonariusz I: „Niepokoi mnie sposób, w jaki wydajesz pieniądze!”.

Narrator: „23 czerwca 1981 roku FBI wezwało Bella na rozmowę, podczas której szczególny nacisk położono na stosunki z Zacharskim. W zamian

za łagodny wymiar kary Bell zgodził się na współpracę z FBI. Informacje te dotarły do nas za późno, co uniemożliwiło podjęcie w porę działań za-

bezpieczających kapitana Mariana Zacharskiego”.

Radosław Poboży – starszy archiwista w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Marian Włodzimierz Zacharski

Urodzony 15 sierpnia 1951 roku w Gdyni, generał brygady. Funkcjonariusz Departamentu I MSW odpowiedzialnego za wywiad. Dostarczał najbardziej tajnych informacji na temat amerykańskiego przemysłu wojskowego. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zdobył najważniejsze plany radarów używanych w systemach antyrakietowych, m.in. Hawk, oraz systemów rakietowych Cruise Missile. Zdekonspirowany przez pracownika ONZ, który przeszedł na stronę Zachodu. Aresztowany przez FBI 28 czerwca 1981 roku pod zarzutem szpiegostwa. Wymieniony na moście Glińieckie w pobliżu Berlina na 25 oskarżonych o szpiegostwo na rzecz USA, w tym pięciu Polaków: Leszka Chrósta, Norberta Adamaschka, Bogdana Walewskiego, Jerzego Pawłowskiego i Jacka Jurzaka. Do końca PRL dyrektor przedsiębiorstwa państwowego Pewex. W 1994 roku mianowany Dyrektorem Zarządu Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa, po kilku dniach złożył rezygnację i został doradcą płk. Gromosława Czempińskiego, ówczesnego szefa UOP. Awans generalski otrzymał z rąk Prezydenta RP Lecha Wałęsy. W 1995 roku, w związku z tzw. aferą „Olina” (oskarżeniem ówczesnego premiera Józefa Oleksego o szpiegostwo), usunięty z UOP i zmuszony do wyjazdu z Polski. Autor książek: *Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski. Wbrew regulom oraz Rosyjska ruletka*. Przez wielu zwany polskim Jamesem Bondem.

Uratowali mnie Polacy

Z Filipem Białowiczem, jednym z ostatnich żyjących uciekinierów z niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze, rozmawia Maciej Foks

Izbica to Pana rodzinna miejscowość. Jak zapamiętał ją Pan sprzed wojny?

Przed wojną tętniło tu życie społeczności żydowskiej. Podczas wojny do Izbicy przywieziono Żydów z Niemiec, Czechosłowacji i Austrii. Miejscowość nie była w stanie przyjąć tylu ludzi – umierali na tyfus, również lekarze. Niektórzy Żydzi z Niemiec nosili odznaczenia z I wojny światowej. Nic im to nie pomogło. Judenrat dokwaterował nam rodzinę Rosenbergerów. W 1942 roku pod nasz dom podjechał mercedes, z którego wysiadł mężczyzna w mundurze SS. Byłem pewny, że przyjechał nas zabić. Schowałem się. Po wejściu esesman przywitał się z Rosenbergerami jak z rodziną! Zrobili mu kawę. Kiedy poszedł, zapytałem Hertę, jedną z dwóch córek Rosenbergerów, co się tutaj dzieje. „Nie mogę ci powiedzieć, to tajemnica rodziny” – odrzekła. Dopiero po drugiej wizycie Niemca dowiedziałem się, że esesman jest ich kuzynem – Żydem – i pracuje w Krasnymstawie. „Na pewno ma dużo Żydów na sumieniu” – powiedziałem. „Nikogo nie zabił. Zajmuje się transportami do Rosji” – odpowiedziała. Przyjechał jeszcze kilka razy, ale w końcu Niemcy dowiedzieli się, że jest Żydem, wyciągnęli go z pociągu w Krakowie i zabili. Nie mógł już pomóc Rosenbergerom, wszyscy pojechali do Sobiboru.

Niewiele brakowało, a Pan sam zginąłby w getcie.

Stałem w grupie rozstrzeliwanych Żydów, padłem jednak na ziemię i udałem, że nie żyję. Moja matka została zastrzelona przez Niemców na cmentarzu w Izbicy.

Kiedy trafił Pan do obozu w Sobiborze?

Razem z bratem, Symchą, dwiema siostrami i siedmioletnią siostrzenicą zostałem tam przywieziony samochodem ciężarowym – w 1943 roku w izbickim getcie zostało tylko kilkaset osób. Wiedzieliśmy, że to jest obóz śmierci. Z jednej strony pomyślałem, że nie będę musiał się więcej męczyć w getcie, bez jedzenia, i umrę tutaj w spokoju. Z drugiej – byłem tylko nastolatkiem i chciałem żyć...

Co działo się po przyjeździe?

Esesman zapytał nas o zawody. Poszukiwano fachowców. Brat wziął mnie za rękę, podszedł do niego i powiedział, że jest farmaceutą, a ja jego pomocnikiem. Wtedy Symcha dał mi szansę



Fot. M. Foks

Filip (Fiszel) Białowicz urodził się 25 listopada 1929 roku w Izbicy. W 1943 roku trafił do obozu zagłady w Sobiborze (SS-Sonderkommando Sobibor). W październiku tego roku zdołał uciec z obozu w czasie powstania więźniów. Po wojnie wyemigrował z Polski. Występował jako świadek na procesach zbrodniarzy wojennych.

przeżycia. Pożegnaliśmy się z rodziną. Myślę, że nawet moja siedmioletnia siostrzenica wiedziała, że idzie na śmierć. Pracowałem w magazynie, gdzie zajmowałem się sortowaniem rzeczy odebranych Żydom przywożonym do obozu – o wspomnianym przez brata zawodzie farmaceuty nie miałem pojęcia. Przy sortowaniu znalazłem dużo kosztowności, nie chciałem jednak pomagać niemieckiej machinie wojennej – 90 proc. z nich wrzuciłem do toalety. To była moja zemsta. Starłem się ukryć znalezione w rzeczach z Holandii jedzenie, które przynosiłem do baraków i dzieliłem się nim z kolegami.

To było ryzykowne.

Pewnego razu przyszedł kolega, Mordechaj, i poprosił o paczkę z jedzeniem. Dostał ją. Po wyjściu zatrzymał go SS-Oberscharführer Karl Frenzel. Wiedziałem, że znajomy zginie. Ukryłem się w toalecie. Usłyszałem przez głośnik swoje nazwisko. Musiałem wrócić. Mordechaj trząsł się ze strachu. Kiedy Frenzel zapytał go, kto mu dał tę paczkę, wiedziałem, że teraz decyduje się również mój los. „Paczkę wziąłem sam” – odpowiedział. Uratował mi życie, poświęcając swoje. Później dowiedziałem się, że przywieźli jego rzeczy do sortowania...

Kiedyś podczas sortowania zauważyłem paczkę z napisem „Ratuj moje dziecko”. Zostawiła ją zapewne matka, zanim zabrano ją do komory gazowej. Dziecko w środku płakało. Zawołałem kapo, który zabrał dziecko. Zapewne przekazał esesmanowi w obozie III.

Czy uczestniczył Pan w przyjmowaniu transportów?

Holenderscy Żydzi nie wiedzieli, że idą na śmierć. Przyjechali w wagonach pasażerskich. Otoczenie było ładnie utrzymane, nie było żadnego znaku, że to jest obóz śmierci. Kiedy pomo-

głem im z bagażem, chcieli mi wręczyć napiwek. Moje serce krwawiło. Wiedziałem, że za pół godziny będzie z nich popiół. Jeden z esesmanów wygłosił do nich przemowę. „Proszę o ciszę, przyjechaliście do miejsca, gdzie będziecie pracować, po wojnie wrócić do waszego domu” – powiedział. Przeprosił za niewygodną podróż i za to, że nie mogą iść na kwatery odpoczywać, że z względów sanitarnych muszą wziąć prysznic, poddać się dezynfekcji. Prosił, żeby zanim się rozbiorą, brali przyszykowane kartki pocztowe i napisali do krewnych w Holandii, że są w przyzwoitym miejscu, bardzo zadowoleni. Niektórzy zaczęli bić brawo. W drodze do komory gazowej strażnik wziął od nich zegarki i pierścionki, dając w zamian fikcyjne numerki, by mogli odebrać cenne przedmioty po prysznicu. Wszystko było dopracowane. Na podwórku już stała druga grupa. Usłyszała takie samo powitalne przemówienie.

Jak Pan zapamiętał strażników ukraińskich?

Byli tacy, którzy przywozili wódkę i kiełbasę, dawaliśmy im w zamian biżuterię znalezionej w podczas sortowania. Byli też tacy, którzy zachowywali się gorzej od Niemców. Mój brat miał plan, by otruć esesmanów morfiną. Podobny los miał spotkać Ukraińców. W ukraińskiej jadalni pracowała dziewczyna, która o tym wiedziała. Znała ukraińskiego strażnika, który – jak jej się wydawało – był trochę lepszy. Powiedziała mu, by nie przychodził w tym dniu na posiłek. Dowiedział się o tym SS-Oberscharführer Gustav Wagner. Przyszedł do mojego brata. Symcha stwierdził, że wszystkie medykamenty są numerowane, trucizna zatem nie może stąd pochodzić. Wagner chciał go zastrzelić. W tym momencie przyszedł Niemiec, farmaceuta, któremu podlegała apteka. Bał się o swoją skórę. Potwierdził słowa mojego brata i tym samym uratował mu życie.

Wspomniał Pan o Wagnerze – czy kogoś jeszcze z członków załogi szczególnie Pan zapamiętał?

Pamiętam, jak w którąś niedzielę Frenzel wziął nas, młodych chłopców, byśmy pomogli wyładować ludzi z wagonów. Kiedy otworzyliśmy wagony, zobaczyłem... spuchnięte ciała. Druga połowa przybyłych jeszcze żyła, ale oni nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, niemal oszaleli. Zrobiło mi się niedobrze. Kiedy chciałem wyjąć ciało pewnej kobiety – z powodu rozkładu zwłok skóra została mi w rękach – do dziś mi się to śni. Położyłem się na ziemi. „Przyjdzie esesman i mnie zabije, ale i tak nie przeżyję Sobiboru, po co mam przejść taką Syberię?” – pomyślałem. Przyszedł Frenzel. Pobił mnie, a potem... dał mi papierosa, bo rozkładające się ciała cuchnęły. Musiałem dalej wyjmować trupy.

► Fragment toru kolejowego na terenie byłego SS-Sonderkommando Sobibor

► Filip Białowicz w młodości



Fot. ze zbiorów F. Białowicza

Pamiętam też SS-Oberscharführera Huberta Gomerskiego – był jednym z najgorszych bandytów. W 1949 roku zaproszono mnie do Frankfurtu, by go rozpoznać i zeznawać przeciw niemu. Kiedy go zobaczyłem, wziąłem krzesło i chciałem w niego rzucić. „Morderco! Zabiłeś moją całą rodzinę!” – krzychałem. Zatrzymali mnie strażnicy. Powiedzieli, że jak nie będę się dobrze zachowywał, to będę siedział razem z nim.

Czy pamięta Pan próby ucieczki z obozu?

Pamiętam, jak kiedyś uciekli więźniowie z komanda pracującego w lesie. Zebrano nas wówczas na placu niedaleko obozu III, a następnie przyprowadzono tam członków Waldkommando, których udało się złapać (tylko polskich Żydów, ponieważ Holendrzy nie uciekali). Byli pobici tak, że nie można ich było poznać. Przed ich rozstrzelaniem Wagner powiedział, że jak zrobimy to samo, to czeka nas taki sam los.

Scena ta ukazana jest w filmie fabularnym *Ucieczka z Sobiboru...*

W filmie pokazano, że każdy z przeznaczonych do rozstrzelania więźniów został zmuszony do wybrania spośród zebranych na placu osoby, która podzieli jego los. Tak nie było. Protestowałem u producenta, powiedziałem, ►

że to jest fałszowanie historii. Przecież byłem świadkiem, stałem tam. Producent odpowiedział, że dostali znaczną kwotę i muszą mieć dużą oglądalność, a jeżeli nawet tak nie było w Sobiborze, to było gdzie indziej. To była jedyna rzecz, która nie była prawdziwa. Miałem wziąć udział w tym filmie, byłem wówczas za granicą. Jest tam moje i brata nazwisko. Teraz staram się zrobić nowy film na podstawie mojej książki. Chciałbym, żeby wyreżyserował go Roman Polański – jeżeli to zrobi, dostanie Oscara. Tylko nie może przyjechać do USA...

Kiedy doszło do ucieczki?

Wiedzieliśmy, że nasze dni są policzone, że nas wszystkich zabiją. Obóz otaczały pola minowe, druty kolczaste, wieże, Ukraińcy z cekaemami. Wiedzieliśmy, że mamy małe szanse. Woleliśmy jednak umrzeć od kuli niż od gazu. Mieliśmy nadzieję, że parę osób się wydostanie i opowie, co tutaj się działo. Nikt nie wiedział o Sobiborze. My daliśmy go na mapę. Architektem buntu był syn rabina, Leon Feldhendler, z tym że nie mieliśmy żadnej wiedzy wojskowej, jak plan zrealizować. Przywieziono jednak do obozu transport jeńców sowieckich – Żydów, gdyż tylko Żydzi trafiali do Sobiboru. Niemcy wybrali spośród nich osiemdziesięciu, którzy mieli nam pomagać. I to był ich największy błąd. Gdyby nie sowieccy jeńcy, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Feldhendler nawiązał kontakt z por. Saszą Peczerskim.

W plany buntu było wtajemniczonych tylko czterdzieści osób, wśród nich ja z bratem. Zostałem jednym z kilku tzw. łączników. Naszym zadaniem podczas akcji było powiedzieć Niemcom, że znaleźliśmy dla nich wartościowe rzeczy – skórzane buty i płaszcze – i tym sposobem zwabić do magazynów. Tam mieli zostać zlikwidowani nożami i siekierami.

14 października poszliśmy normalnie do pracy. Zwabieni esesmani przychodzili do pomieszczenia pojedynczo. Czekala na nich trójka, w której byli przeważnie jeńcy z siekierkami i nożami. Kiedy esesman, zwabiony przez jednego z chłopców, wszedł włożyć ubranie, czekałem parę minut. Byłem bardzo ciekawy, co się z nim stało. Wchodzę do środka, leży pokrwapiony na podłodze. Jeńcy schowali go pod odzież. Pomyślałem sobie: „To za moją rodzinę i wszystkich, którzy tutaj zginęli. Nieważne, co się stanie później. Zemściliśmy się”. Byłem bardzo zadowolony. Kiedy zwołano nas na apel, Sasza i Leon weszli na stół. Usłyszeliśmy przemówienie. „Bracia, godzina nasza wybiła. Powstańmy i zniszczmy to miejsce. Większość Niemców jest zabitych. Mamy bardzo małe szanse, by przetrwać, ale przynajmniej będziemy walczyć z honorem. Jeżeli

któs przeżyje, niech będzie świadkiem i opowiada światu, co było w Sobiborze”. Więźniowie starali się przedostać przez druty kolczaste. Do dziś mam bliznę na palcu. Zaczęły wybuchać miny, było jak na froncie.

Czy byli więźniowie, którzy nie chcieli uciekać?

Tak, siedzieli na podwórku i modlili się. Dokąd mieli pójść więźniowie z Holandii, Francji, Austrii? Nie znali ani języka, ani okolicy. Niektórzy wyszli z obozu i doszli z powrotem do głównej bramy.

Dotarł Pan do lasu...

Spotkałem brata. Kiedy leżeliśmy ukryci przy drodze do Chelma, obudził nas sygnał przejeżdżających ambulansów, prawdopodobnie transportowały zabitych esesmanów. Czuliśmy satysfakcję. Pewna osoba z naszej grupy miała znajomego w miejscowości niedaleko Izbicy. Poszliśmy do niego. Przygotował nam kryjówkę na górze w stajni. Mieliśmy trochę pieniędzy i złota, mogliśmy mu zapłacić. Pewnego dnia zobaczyliśmy biegnącą z wiadrem w naszą stronę gospodynię, która krzyczała: „Dzieci, ratujcie się”. Okazuje się, że przyszła po nas grupa cywilów. Gospodarz wydawał ostatnio dużo pieniędzy na wódkę. Być może tym wzbudził podejrzania. Wypadliśmy ze stajni jeden za drugim. Uciekliśmy. W Polsce nie było tak łatwo przeżyć. Życie uratowała mi polska rodzina, ale byli i tacy, którzy współpracowali z Niemcami. I byli też ludzie pasywni, którzy tylko patrzyli.

Później spotkaliśmy mężczyznę, nazywał się Duczy, mieszkał w miejscowości Tarzymiechy. Znał mojego brata. Znalazł nam miejsce u rodziny Mazurków. Zrobiliśmy tam kryjówkę i przebywaliśmy prawie cały rok. Mazurkowie poświęcili życie, żeby nam pomóc. Zrobili wszystko, żebyśmy przeżyli wojnę. Nie wydali nas. Dotrzymali tajemnicy. Mieli trzech synów, którzy należeli do Armii Krajowej.

Jak wyglądała Panów kryjówka?

Była w stajni, miała dwanaście na dwanaście metrów. Mazurkowie dawali nam posiłki dwa, trzy razy dziennie. Dziś jeszcze pamiętam kraszoną zupę, taką białą, z ziemniaków. Przynosili ją w wiadrach, jakby szli doić krowy.

Czy w trakcie ukrywania się u państwa Mazurków zdarzyła się niebezpieczna sytuacja?

Kiedyś partyzanci podłożyli ładunek wybuchowy na torach. Przyjechała żandarmeria w poszukiwaniu sprawców. Rodzi-

na Mazurków schroniła się u księdza, uprzednio zostawiwszy nam jedzenie, zostaliśmy sami. Niemcy chodzili nad naszymi głowami. „Komm raus!” [„Wychodź!”] – słyszeliśmy. Myśleliśmy, że chodzi o nas. Mieliśmy, co prawda, karabinek, ale i tak nie pomógłby nam – wystarczyłby przecież jeden granat wrzucony do środka. Okazało się jednak, że Niemcy nie wölali na nas, lecz na... zającą. Co roku odwiedzam Mazurków, pomagam im. Mazurkowie otrzymali w Yad Vashem medale Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Mają zasadzone drzewko. Przez resztę życia będę im wdzięczny, że zaryzykowali życie, by nas ratować.

Ukrywaliście się do końca wojny?

W lipcu 1944 roku, kiedy weszła Armia Czerwona, wyszliśmy z kryjówki. Pierwszego czy drugiego dnia po wojnie zostałem aresztowany przez polską milicję. Zabrali mnie do UB. Oskarżano mnie, że jestem niemieckim szpiegiem. Kazano okazać dokumenty. „Jak mogę mieć dokumenty? Jestem z Sobiboru” – powiedziałem. Myślałem, że będą mnie wozić od miasta do miasta, bo przeżyłem Sobibór, a zamiast tego po wyzwoleniu trafiłem do piwnicy. Ubecy pobili mnie. Wiedzieli, że jestem Żydem. Rozmawiałem z nimi po polsku – jak mogłem być Niemcem?

Czy spotkał Pan kogoś z byłych więźniów po wojnie?

Spotkaliśmy się w Lublinie w 1944 roku, opowiadaliśmy o przeżyciach po ucieczce. Później rozjechaliśmy się po świecie. Pojechałem do Niemiec. Amerykanie przygotowali tam tzw. DP camps – przechodnie obozy dla wszystkich, którzy przeżyli. Stąd wyjeżdżano do rozmaitych krajów – do Izraela (wówczas była jeszcze Palestyna), Ameryki, Kanady, Australii. Przebywałem tam do roku 1950. Miałem jechać do Palestyny. Brat pojechał przede mną, od razu go wzięli do wojska. Pracowałem trochę przy dentystyce. Musiałem skończyć tę pracę i miałem pojechać trochę później. Dostałem list do brata, żeby nie przyjeżdżał, bo jest już w wojsku. Jak przyjadę, obaj zginiemy i nie będzie nazwiska Białowicz. Dlatego pojechałem do Ameryki. Wiele osób pyta mnie, dlaczego nie przyjechałem do Izraela. Mówię im, że mam tam dobrą reprezentację. Mam córkę, dwanaścioro wnuków, brata, który był ze mną w Sobiborze. Ma teraz 102 lata. Co roku przyjeżdżam do Izraela, mam wykłady dla dyplomatów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, na Uniwersytecie Ben Guriona, do oficerów. Mówią, że jestem *maccabi* (hebr. bojownik) Sobiboru.

Czy był Pan na procesie Frenzla?

Tak, w 1983 roku. Przychodził do sądu ubrany tak, jakby sam był adwokatem. Było go stać na najlepszych prawników. Adwokat Frenzla zaczął mnie wypytywać,



Fot. D. Pawłós / FPNP

► Filip Białowicz przy tablicy w Muzeum Byłego Obozu Zagłady w Sobiborze

jakbym to ja był oskarżonym. „Przyjechałem tu jako świadek. Kto jest tutaj zbrodniarzem?” – zapytałem sądu. Do obrońcy powiedziałem: „Jak włożysz mundur esesmana, może ciebie też poznam z profilu”. W przerwie podszedł do mnie. „Panie Filipie, nie jestem esesmanem, mam żydowskich przyjaciół” – powiedział. „Kurt Waldheim, sekretarz ONZ, też miał żydowskich przyjaciół, a służył w Wehrmachcie. Jak rozmawiasz ze mną, musisz to robić delikatnie” – odparłem. Przeprosił mnie. Do Frenzla powiedziałem: „Przyjechałeś do Sobiboru na wakacje? Przyjechałeś, by bić i zabijać ludzi, gazować ich i męczyć”.

Jak skończył się proces?

Został skazany na dożywocie. Były apelacje. Ostatecznie wypuszczono go z więzienia ze względu na stan zdrowia. Umarł w 1996 roku. Czy słyszał pan, co było z Gustavem Wagnerem? Dostał się do Brazylii, pracował tam. Znalezione go. Jego tożsamość potwierdził Stanisław Szmajzner, ocalały z obozu w Sobiborze. O ekstradycję wystąpiły Izrael, RFN, Polska i Austria. Do Polski nie chciano go posłać, gdyż PRL nie była krajem demokratycznym. Gdyby przyjechał tutaj, nie przeżyłby ani jednego dnia, od razu by go zastrzelono. Państwu Izrael odmówiono, ponieważ nie istniało w czasie II wojny światowej. Niemcom powiedziano, że zrobili błąd w dokumentach. Austrii odpowiedziano, że Wagner nie jest obywatelem austriackim. W rezultacie uwolniono go w roku 1979. Rok później znaleziono go zabitego. W prasie pisano, że popełnił samobójstwo. To nieprawda – na zdjęciu było widać, że go zabito nożami. Hubert Gomerski również trochę siedział, później go wypuszczono. Też już nie żyje... Nie wszystkich dosięgła sprawiedliwość. ■



Fot. D. Pawłós / FPNP

► Dyplom Honorowy nadania tytułu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata Michałowi i Marii Mazurkom

Rozmowę przeprowadzono w Austriackim Forum Kultury

W spuściznie po aparacie bezpieczeństwa PRL można odnaleźć nie tylko materiały wytworzone przez rozmaite organa bezpieczeństwa, lecz także dokumenty zebrane przez nie w toku ich działalności. Dzisiaj – co oczywiste, wbrew intencjom funkcjonariuszy ówczesnych tajnych służb – są one niejednokrotnie jedynym źródłem wiedzy na temat niektórych aspektów funkcjonowania opozycji w okresie Polski Ludowej.

Obok przykład dokumentu przejętego przez Służbę Bezpieczeństwa – jeden z wielu listów skierowanych do peerelowskich władz przez polskich pisarzy i naukowców w latach siedemdziesiątych. Tym razem akurat w obronie aresztowanych i skazanych przywódców „Ruchu”, nielegalnej antykomunistycznej organizacji konspiracyjnej, powstałej w połowie lat sześćdziesiątych. W okresie swej największej aktywności liczyła ona około stu działaczy i wydawała dwa pisma – „Biuletyn” oraz „Informator”. Najbardziej spektakularną akcją „Ruchu” było zrzućenie z Rysów tablicy poświęconej Włodzimierzowi Leninowi w sierpniu 1968 roku (po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację).

Działacze organizacji aresztowano w 1970 roku, po tym jak rozpoczęli przygotowania do podpalenia Muzeum Lenina w Poroninie i wysadzenia w powietrze pomnika wodza rewolucji październikowej. Na ławie oskarżonych zasiadło ponad trzydzieści osób. Oskarżono je „o próbę obalenia siłą ustroju i terroryzm”. Wyroki zapadły w październiku 1971 roku i były bardzo surowe. Andrzej

Czuma i Stefan Niesiołowski zostali skazani na siedem lat więzienia, Benedykt Czuma na sześć lat, Marian Gołębiowski i Bolesław Stolarz na 4,5 roku, a Emil Morgiewicz na cztery lata.

Adresatem zamieszczonego obok listu z maja 1974 roku była Rada Państwa PRL. Jego inicjatorami byli: Władysław Bartoszewski, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Jan Olszewski i Antoni Słonimski. Za namową mec. Olszewskiego uznano, że najlepszą formułą będzie apel o ułaskawienie. Pod pismem przekazanym Radzie Państwa podpisało się jedenaście osób: Władysław Bartoszewski, Karol Estreicher, Zbigniew Herbert, Jan Kielanowski, Tadeusz Konwicki, Edward Lipiński, Maria Ossowska, Antoni Słonimski, Julian Strykowski, Jan Strzelecki i Stefan Żółkiewski. W licznych publikacjach są podawane błędne informacje na temat sygnatariuszy, np. taka, jakoby list podpisał Lipski. W rzeczywistości był on inicjatorem listu, ale sygnatariuszem – już nie. Podobnie Olszewski.

Autorzy apelu zwracali się o wcześniejsze zwolnienie Czumów, Gołębiowskiego, Morgiewicza, Niesiołowskiego i Stolarza. Z jednej strony wskazywali na surowość wyroków – „najwyższych po roku 1956” (czyli po okresie stalinowskim), z drugiej zaś na zbliżające się obchody dwudziestolecia Polski Ludowej i konieczność zapewnienia im właściwej atmosfery.

Nie była to pierwsza interwencja w sprawie skazanych opozycjonistów. Najbardziej chyba znany był tzw. list siedemnastu z listopada 1972 roku, skierowany do ministra sprawiedliwości Włodzimierza Berutowicza. Jego sygnatariuszami spośród osób podpisanych pod apelem z maja 1974 roku byli Herbert i Konwicki.

W sprawie uwięzionych działaczy „Ruchu” interweniowali również (w styczniu 1974 roku) prymas Polski kard. Stefan Wyszyński oraz

metropolita krakowski kard. Karol Wojtyła. Do sprawy członków „Ruchu” wracał też kilkakrotnie, podczas audiencji u I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edwarda Gierka, Edward Lipiński. U Gierka interweniował także prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej – Alojzy Mazewski.

Trudno powiedzieć, w jakim stopniu listy, petycje i interwencje kierowane do peerelowskich władz okazały się skuteczne. W każdym razie ostatni opozycjoniści (bracia Czumowie i Niesiołowski), w których sprawie interweniowano, zostali zwolnieni przedterminowo, we wrześniu 1974 roku. Wcześniej, na mocy lipcowej amnestii, wolność odzyskali ich koledzy. Zapewne nie bez wpływu na taki rozwój wypadków pozostawała zaplanowana na październik wizyta I sekretarza KC PZPR w Stanach Zjednoczonych i chęć uniknięcia w jej trakcie drażliwych pytań o skazanych, a nawet manifestacji Polonii amerykańskiej w ich obronie.

Warto na zakończenie przypomnieć, że sygnowanie tego rodzaju „politycznych” petycji w okresie Polski Ludowej skutkowało co najmniej zainteresowaniem ze strony Służby Bezpieczeństwa i rozmową operacyjną czy objęciem rozpracowaniem, a często również innymi represjami (np. zakazem cenzorskim).

Prezentowany obok egzemplarz (kopia) listu zachował się w aktach rozpracowania Zbigniewa Herberta – sprawa operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Herb”. Tak na marginesie, w ocenie SB to właśnie Herbert „dwukrotnie inspirował środowisko literackie w celu wystosowania petycji do władz państwowych w obronie skazanych b[yłych] członków nielegalnej organizacji »Ruch«”. ■

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Andrzej Czuma – w 1965 roku współzałożyciel „Ruchu”, współautor jego deklaracji programowej *Mijają lata...* (1968), w czerwcu 1970 roku aresztowany, w październiku 1971 roku skazany na siedem lat więzienia, zwolniony we wrześniu 1974 roku

Benedykt Czuma – w 1965 roku współzałożyciel „Ruchu”, w 1968 roku współautor jego deklaracji programowej, w czerwcu 1970 roku aresztowany, w październiku 1971 roku skazany na sześć lat więzienia, zwolniony we wrześniu 1974 roku

Naczelny organ wykonawczy władzy państwowej w PRL, do jej kompetencji należało m.in. stosowanie prawa łaski

W 1965 roku współzałożyciel „Ruchu”, w 1968 roku współautor jego deklaracji programowej, w czerwcu 1970 roku aresztowany, w październiku 1971 roku skazany na siedem lat więzienia, zwolniony we wrześniu 1974 roku

Nielegalna antykomunistyczna organizacja konspiracyjna, stawiająca sobie za cel odzyskanie niepodległości przez Polskę i likwidację komunistycznej dyktatury

W 1965 roku współzałożyciel „Ruchu”, w czerwcu 1970 roku aresztowany, w październiku 1971 roku skazany na 4,5 roku więzienia, zwolniony na mocy lipcowej amnestii w sierpniu 1974 roku

Edward Lipiński – profesor ekonomii, redaktor naczelny pisma „Ekonomista” (1947–1978), członek PZPR (1948–1975), od 1951 roku członek Polskiej Akademii Nauk, od połowy lat sześćdziesiątych sygnatariusz listów do władz PRL

Antoni Słonimski – poeta, publicysta, dramatopisarz i krytyk teatralny, członek zarządu polskiego Pen Clubu (1955–1976), od połowy lat sześćdziesiątych sygnatariusz listów do władz PRL, obserwator w czasie procesu rewizyjnego przywódców „Ruchu”

Jan Kielanowski – profesor zootechniki, założyciel i dyrektor Instytutu Fizjologii i Żywienia Zwierząt Polskiej Akademii Nauk w Jabłonie (1955–1974), od 1961 roku członek PAN

Zbigniew Herbert – poeta i pisarz, członek Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich (1972–1975), wykładowca na Uniwersytecie Gdańskim (1973–1974), w 1971 roku obserwator podczas procesów kierownictwa „Ruchu”, współautor listów w obronie jego działaczy i sygnatariusz innych listów do władz PRL

Karol Estreicher – historyk sztuki, muzeolog, bibliograf, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyrektor Muzeum UJ (1951–1976)

Władysław Bartoszewski – od 1963 roku współpracownik Radia Wolna Europa, wykładowca na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (1973–1981), opiekun grupy studentów KUL wydających niezależny miesięcznik „Spotkania”

Tadeusz Konwicki – pisarz, twórca filmowy, członek Związku Literatów Polskich (1948–1983), kierownik zespołu filmowego *Przymat* (1972–1978), od połowy lat sześćdziesiątych sygnatariusz listów do władz PRL

Stefan Żółkiewski – krytyk literacki, publicysta, minister szkolnictwa wyższego (1956–1959) i kierownik Wydziału Kultury i Nauki KC PZPR (1955–1956), od 1968 roku profesor Instytutu Badań Literackich PAN

Julian Strykowski (właściwie Pesah Stark) – prozaik i scenarzysta, kierownik działu prozy miesięcznika „Twórczość” (1954–1978), od końca lat sześćdziesiątych sygnatariusz listów do władz PRL

Od 1966 roku członek „Ruchu”, współautor jego deklaracji programowej, redaktor wydawanego przez „Ruch” pisma „Biuletyn” (1969–1970); w czerwcu 1970 roku aresztowany, w październiku 1971 roku skazany na cztery lata więzienia, zwolniony w czerwcu 1974 roku

Od 1968 roku członek „Ruchu”, należał do kierownictwa tej organizacji; aresztowany w lipcu 1970 roku, skazany na 4,5 roku więzienia, zwolniony w sierpniu 1974 roku

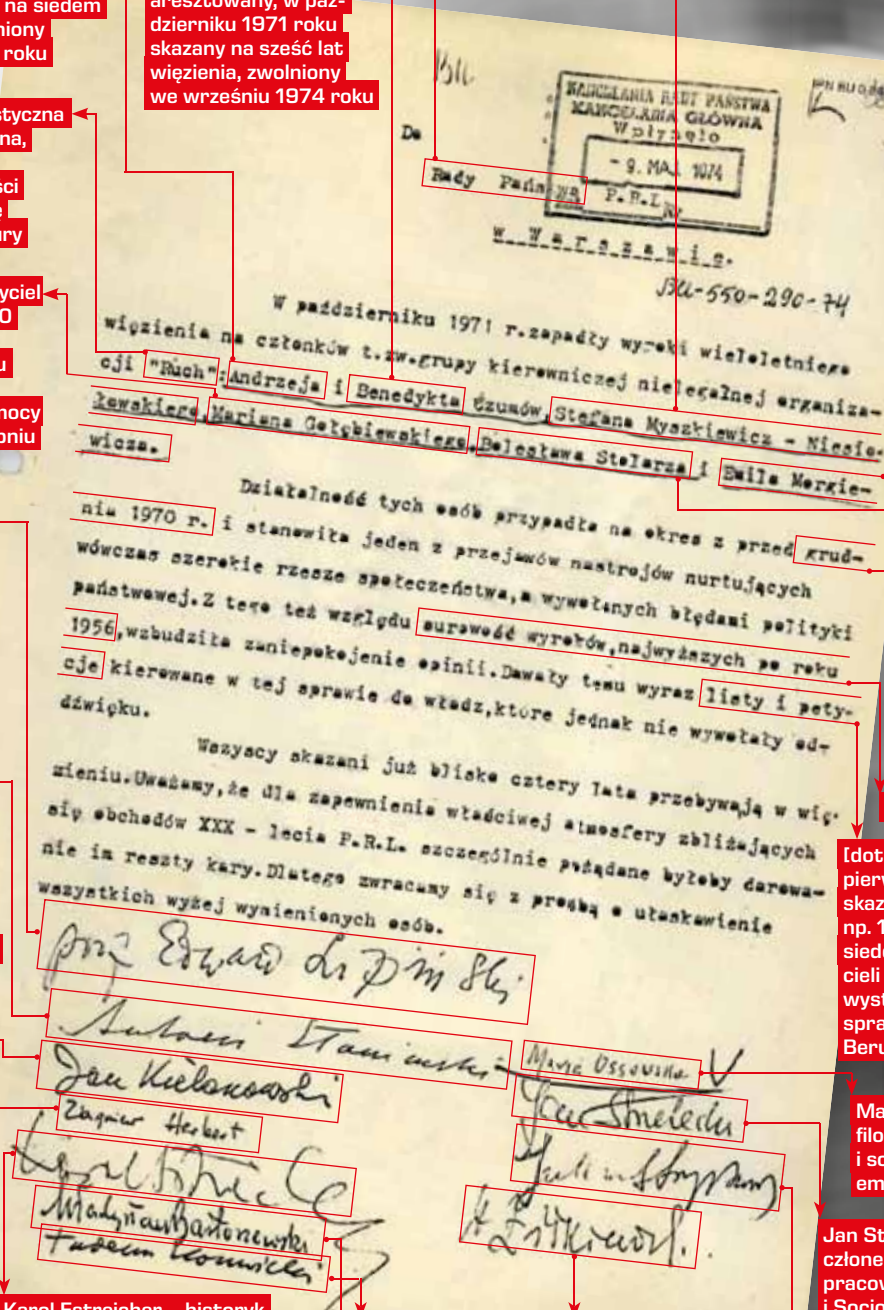
Chodzi o masakrę robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, według oficjalnych (zapewne niepełnych) danych zginęło 45 osób, a 1165 zostało rannych

Czyli po okresie stalinowskim

[dot. wyroków] – nie był to pierwszy list w obronie skazanych działaczy „Ruchu”, np. 10 listopada 1972 roku siedemnaścioro przedstawicieli środowiska literackiego wystosowało list do ministra sprawiedliwości Włodzimierza Berutowicza

Maria Ossowska – profesor, filozof, teoretyk moralności i socjolog, od 1966 roku na emeryturze

Jan Strzelecki – socjolog, członek PZPR (1948–1979), pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN (1957–1988), od początku lat siedemdziesiątych współpracownik środowisk opozycyjnych o proweniencji katolickiej



Szwajcar, czyli szpion

Filip Gańczak

Mija 70 lat od śmierci Eugeniusza Bodo. Słynny w II RP aktor zmarł w sowieckim łagrze. Zgubiły go szwajcarskie obywatelstwo, udział w filmie o szpiegach i zagraniczne podróże.

Był czwartek, 26 czerwca 1941 roku – piąty dzień wojny III Rzeszy ze Związkiem Radzieckim. Oddziały Wehrmachtu posuwały się szybko na wschód, ale sowiecka bezpieka nadal pracowała. W mieszkaniu Eugeniusza Bodo przy ulicy Kogonowskiej we Lwowie pojawiło się tego dnia dwóch enkawudzistów. „Byłem przekonany, że chcą mnie uratować przed niemiecką okupacją” – powie potem współwięźniowi. W rzeczywistości sowieccy funkcjonariusze przyszli z nakazem aresztowania.

Słodkie życie

Bohdan Eugène Junod – bo tak naprawdę się nazywał – urodził się w 1899 roku w Genewie. Był synem Szwajcara i polskiej szlachcianki. Jako dziecko przeniósł się z rodzicami do Łodzi. Ojciec, Théodore, otworzył tam kino „Urania” – jedno z pierwszych na ziemiach polskich.

W Łodzi chłopak ukończył gimnazjum, ale nie w głowie mu były studia. Od 1917 roku z powodzeniem występował na scenie jako pieśniarz i tancerz – w teatrzykach rewijowych, kabaretach, musicalach. Od połowy lat dwudziestych grał także w filmach, początkowo niemych, później dźwiękowych. W tym czasie mieszkał już w Warszawie i był znany pod artystycznym pseudonimem Bodo, będącym połączeniem pierwszych sylab imion jego (Bohdan) i matki (Jadwiga Anna Dorota z Dylewskich).

„Był bardzo szarmancki, inteligentny, dowcipny” – wylicza w filmie Katarzyny

➤ Eugeniusz Bodo w filmie *Czy Lucyna to dziewczyna?*, 1934 rok

Kąckiej *Tragedia Amanta* Stanisław Janicki, autor poświęconego Eugeniuszowi Bodo dokumentu *Za winy niepopelnione* (1997). „To był amant przedwojennego kina” – dopowiada prof. Stanisław Nicieja, historyk i historyk sztuki. Bodo występował głównie w komediach i melodramatach, ale zdarzały mu się również ambitniejsze role. W *Policmajstrze Tagiejewie* (1929) wcielił się w oficera carskiej ochrony. W filmie *Na Sybir* (1930) sam ginął z rąk rosyjskich żandarmów. W *Wietrze od morza* (1930) grał niemieckiego oficera marynarki wojennej. Do wybuchu II wojny światowej wziął udział w ponad trzydziestu filmach.

Eugeniusz Bodo nie miał wyjątkowego głosu. Ale piosenki, które wykonywał, wpadały w ucho. „Baby, ach te baby! Człek by je tyżkami jadł” – śpiewał w *Zabawce* (1933). „Już taki jestem zimny drań. I dobrze mi z tym, bez dwóch zdań” – zawodził w *Pieśniarzu Warszawy* (1934). Zdjęcia realizował nie tylko w Polsce, ale też w Niemczech, USA i francuskiej wówczas Algierii. W czasach, gdy zagraniczne wojaże były rzadkością, zwiedził również Palestynę, gdzie koncertował dla żydowskich emigrantów, oraz turystycznie Włochy, Egipt czy Syrię. W 1929 roku spowodował wypadek samochodowy, w którym zginął aktor Witold Roland. Został skazany na pół roku więzienia w zawieszeniu. Nie przerwało to jednak jego kariery. W 1938 roku za działalność artystyczną został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Także rok 1939 długo układał się dla Bodo dobrze. Wiosną przy ul. Pierackiego (dziś Foksal) w Warszawie otwarto kawiarnię jego imienia. Za użyczenie lokalu w nazwiska inkasował co miesiąc kilkusetzłotową gażę. Latem zaangażował się do nowego teatryku „Tip-Top”. Poświęcił się również pracy nad filmem *Uwaga! Szpieg*. Podjął się reżyserii, a jednocześnie miał grać oficera kontrwywiadu, który demaskuje niemieckich szpiegów.

Wojenna tułaczka

Zachowało się zdjęcie, na którym widać, jak u progu wojny Eugeniusz Bodo kopie na warszawskiej ulicy rów przeciwczol-

gowy. Wówczas jeszcze powszechnie wierzono w pomoc sojuszników i zwycięstwo nad Niemcami. 6 września 1939 roku płk Roman Umiastowski, szef propagandy w Sztabie Naczelnego Wodza, apelował w przemówieniu radiowym, by wszyscy mężczyźni zdolni do walki opuścili stolicę i udali się na wschód. Bodo zezna później: „W tym czasie przyszli do mnie znajomi i opowiedzieli, jak Niemcy zajęli Poznań, rozstrzelali tam jednego aktora, który grał w antyfaszystowskich sztukach. Wtedy moja matka zaczęła mnie namawiać, żebym ja tak samo wyjechał, gdyż również uczestniczyłem w realizacji antyfaszystowskiego filmu”. Chodzi oczywiście o niedokończoną produkcję *Uwaga! Szpieg*. Ale zaszkodzić mogły mu też antyniemieckie żarty – choćby w kabarecie „Cyganeria”, gdzie parodiował Adolfa Hitlera.

Artysta opuścił więc Warszawę i dotarł do Równego na Wołyniu. „Miałem zamiar wyjechać do Ameryki. Myślałem, że wojna nie będzie trwała długo” – zezna po trzech latach. Innym razem powie enkawudziście, że zastanawiał się też nad emigracją do Szwajcarii. Nic z tego nie wyszło, bo Równe zostało zajęte przez Armię Czerwoną. Bodo szybko przeniósł się do Lwowa, także okupowanego przez Sowietów. „Znaleźli się tam w nadziei przetrwania wojennej zawieruchy znamienici twórcy polskiej literatury, sztuki i nauki” – pisze w biografii *Eugeniusz Bodo*. „Już taki jestem zimny drań” (2012) Ryszard Wolański.

Początkowo sowieckie władze zostały polskim artystom pewien margines swobody. Bodo znalazł się wśród założycieli Lwowskiego Państwowego Teatru „Miniatury”, a później figurował jako pracownik lwowskiej filharmonii. Jednocześnie z grupą artystów „Tea Jazz” Henryka Warsa jeździł m.in. do Moskwy, Leningradu, Kijowa i Odessy. Był w tym zespole konferansjerem i śpiewał. „To był sposób uratowania życia, uniknięcia obozów koncentracyjnych, wywożenia ludzi do obozów Syberii czy gdziekolwiek, a nawet śmierci” – wspominał później Wars.

Utwory Warsa i Bodo zostały wykorzystane w propagandowym sowieckim

filmie *Marzenie* Michaiła Romma, pokazującym w krzywym zwierciadle sytuację na przedwojennych polskich Kresach. „Ciekawe tylko, czy obaj, Bodo i Wars, zdawali sobie sprawę, w jakim przedsięwzięciu uczestniczą? Czy treść filmu i jego antypolska wymowa były im znane? Wszystko przemawia za tym, że nie” – pyta i odpowiada Wolański. Artyści nie byli bowiem obecni podczas montażu filmu i prawdopodobnie nie znali nawet scenariusza. Bodo – wykorzystując swoje kontakty z ambasadą Szwajcarii – miał za to udział w skutecznym ściągnięciu rodziny Henryka Warsa z warszawskiego getta.

Na okupowanych Kresach narastał tymczasem sowiecki terror. „Pod radziecką jurysdykcją stał się Lwów miejscem licznych aresztowań przedstawicieli polskich i ukraińskich elit politycznych i artystycznych, masowych wywózek i grabieży majątku, o czym zresztą nie wszyscy wiedzieli. Z premedytacją, planowo i bez rozgłosu sowieckie władze Lwowa niszczyły naukę i kulturę polską, a przedstawiciele inteligencji, Kościoła, wojska, działacze społecznych i politycznych [...] deportowały na Syberię lub po prostu mordowały” – wylicza Ryszard Wolański. Artyści z grupy Henryka Warsa odczuwali coraz większą ingerencję cenzury. Wykonywanej przez Eugeniusza Bodo piosenki „Tylko we Lwowie” nie pozwolono śpiewać po polsku.

Aktor wystosował do władz sowieckich pismo z wnioskiem o umożliwienie mu wyjazdu do USA. Powoływał się na to, że miał od urodzenia obywatelstwo neutralnej Szwajcarii. Okazało się to straszliwym błędem. 26 czerwca 1941 roku został aresztowany jako „podejrzany o działalność wywiadowczą na korzyść Polski i Niemiec”. Nie przedstawiono mu jednak żadnych zarzutów. Został wywieziony na wschód. Przez Moskwę 9 lipca trafił do więzienia w Ufie w dalekiej Baszkirii.

Śmierć z wycieńczenia

Na pierwsze przesłuchania musiał czekać do stycznia 1942 roku. „Jakie mieliście gospodarstwo w Polsce?”, „Jakie mieliście źródła dochodu oprócz płacy?”, ▶

Милоно-Бодо. дкт. форми.
 Евгений - Богдан.
 26 июля 1899 Место рождения Швейцария (Швейцария)



► Karta więzienna Eugeniusza Bodo; Ufa, 26 lutego 1942 roku

„W jakich państwach byliście, kiedy i cel podróży?” – wypytywał enkawudzista. Aktor niczego nie ukrywał. Czy nie przypuszczał, że opowieści o Café Bodo i zagranicznych wyjazdach mogą zostać zinterpretowane przez sowieckich funkcjonariuszy na jego niekorzyść?

7 lutego artysta napisał do naczelnika więzienia, prosząc o przyjęcie na rozmowę. Poskarżył się: „znajduję się od 8 miesięcy w więzieniu i nie przedstawiono mi żadnego oskarżenia”. Wspomnił też: „chcę wyjaśnić sprawę zaliczenia mnie do Legionu Polskiego”. Liczył więc najwyraźniej na to, że zostanie zwolniony i skierowany do utworzonej w ZSRR armii gen. Władysława Andersa. Tak się jednak nie stało, bo Sowietrzy traktowali Bodo jako obywatela Szwajcarii i odmawiali mu amnestii przysługującej polskim więźniom politycznym na mocy układu Sikorski-Majski.

Choć aktor skarżył się już wówczas na chorobę, w maju 1942 roku został uznany za zdrowego. Z Ufy wysłano go do moskiewskiego więzienia na Butyrkach. „Gdyby się nie przedstawił, nie poznałbym go. Był przygarbiony. [...] Postarzał się o jakieś piętnaście lat” – powie potem prof. Alfred Mirek, który Eugeniusza Bodo najpierw podziwiał w czasie występów na scenie, a później spotkał w więzieniu w Moskwie.

W stolicy ZSRR artysta był już przesłuchiwany bardziej szczegółowo i natarczywie: „Skąd znacie język niemiecki?”, „Wymieńcie waszych znajomych zamieszkujących za granicą”, „Czy będąc za granicą, byliście zatrzymywani przez policję lub inne organa?”. Kapitan NKWD chciał wiedzieć, czy Bodo nie dostał propozycji współpracy od Oddziału II Sztabu Generalnego (od 1928 roku: Głównego), czyli przedwojennego wywiadu Wojska Polskiego. Pytał też, czy ofert nie składały mu służby wywiadowcze innych państw.

Duże zainteresowanie innego enkawudzisty wzbudziła prywatna wizyta

► Pismo do Wsiewołoda Mierkułowa, zastępcy szefa NKWD, z wnioskiem o zamknięcie Eugeniusza Bodo w obozie „na termin do 5 lat”; październik 1942 roku

ЗАМЕСТИТЕЛЮ НАРОДНОГО КОМИССАРА ВЪТРЕШНИХ ДЕЛ СССР
 Комиссару Гос. Безопасности 3-го ранга -
 тов. МЕРКУЛОВУ
 РАПОРТ
 26 июня 1941 года КРО УНКВД Львовской области по подозрению в разведывательной деятельности в пользу Польши и Германии был арестован ЮНО-БОДО Евгений-Богдан Федорович, 1899 года рождения, швейцарец по национальности, данный Швейцарий, -артист, холост.
 При отступлении из Львова арестованный ЮНО-БОДО был эвакуирован в НКВД Башкирской АССР, однако подлинных материалов, уличающих его в разведывательной деятельности, туда не поступило, за исключением выписки из списка, в которой указывается, что ЮНО-БОДО подозревается в принадлежности к разведкам Польши и Германии. Выписка из принадлежности ни числа не имеет и откуда она получена неизвестно. Допросить лиц, знающих ЮНО-БОДО, не представляется возможным, так как весь состав дивизии, в котором работал ЮНО-БОДО, выехал в Иран.
 Проведенным следствием разведывательная деятельность ЮНО-БОДО не подтвердилась.
 Однако, подозрения ЮНО-БОДО в принадлежности к польской разведке имеют какие-то обоснования, так как в представленных в свое время в НКВД поляками списках разыскиваемых польских граждан фигурировал и ЮНО-БОДО, в то время как он является швейцарским гражданином и заинтересованность поляков его судьбой нельзя считать случайной.
 Учитывая, что ЮНО-БОДО является лицом подозрительным, полагаю бы целесообразным доложить его дело на Особом Совещании при НКВД и заключить в лагерь сроком до 5 лет.
 Нач. 2 УПРАВЛЕНИЯ НКВД СССР
 Комиссар Гос. Безопасности 3 ранга -
 ФЕДОРОВ
 30 октября 1942 года

Bodo w Niemczech w 1938 roku. „Na jakie wiece albo zebrania chodziliście?“, „W jakich prywatnych domach bywaliście?“ – dopytywał oficer. Nie chciał uwierzyć, że aktor wybrał się do III Rzeszy, żeby odwiedzić tamtejsze teatry, kina i muzea, a przy okazji zabawić się na wieczornych dansingach. Jeszcze bardziej podejrzany wydał się przesłuchującemu udział Eugeniusza Bodo w produkcji *Uwaga! Szpieg*. „Z czyjej inicjatywy zrobiono ten film?“, „Czy cenzura interesowała się tym filmem?“, „Co macie wspólnego z pracą kontrwywiadowczą?“ – brzmiały pytania.

Dziś wiadomo, że uwięzionemu aktorowi próbowały pomóc polskie władze. W sierpniu 1942 roku list do Eugeniusza Bodo skierował Aleksander Mniszek, I sekretarz ambasady RP w ZSRR. Dyplomata informował, że w sprawie uwolnienia artysty interweniowano już w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych ZSRR. Zawiadamił też, że po wyjściu na wolność Bodo może liczyć na wsparcie finansowe.

Wysiłki polskiej dyplomacji, zamiast pomóc, dodatkowo pogrzyżyły aktora. 30 października 1942 roku na biurko Wsiewołoda Mierkułowa, zastępcy szefa NKWD Ławrientija Berii, trafiło absurdalne pismo komisarza Fiedotowa: „Przeprowadzone śledztwo nie potwierdziło działalności wywiadowczej JUNODA-BODO. Podejrzenia co do przynależności JUNODA-BODO do polskiego wywiadu mają jednak jakieś podstawy, gdyż w przedłożonych w swoim czasie przez Polaków [...] spisach poszukiwanych obywateli polskich figurował także JUNOD-BODO, podczas gdy jest on obywatelem szwajcarskim i zainteresowania Polaków jego losom nie można uznać za przypadek. Uwzględniając, że JUNOD-BODO jest osobą podejrzaną, uważałbym za celowe przedstawienie jego sprawy na Naradzie Specjalnej przy NKWD i zamknięcie w obozie na termin do 5 lat”.

Dzień później zapadła formalna decyzja o zastosowaniu aresztu. „Do 4 listopada 1942 roku »postanowienie« [...] krążyło po różnych gabinetach ▶

▶ Enkawudziści posądzali Eugeniusza Bodo o znajomość z polskimi dyplomatami; oryginał i tłumaczenie protokołu przesłuchania

Fot. AIPN

Protokół

przesłuchania uzupełniającego oskarżonego Junoda-Bodo Eugeniusza Bohdana Fiodorowicza

z 16 listopada 1942 roku

- Pytanie: Powiedzcie, czy nie znaliście Aleksandra Mniszka?
- Odpowiedź: Aleksandra Mniszka nie znałem i o tym człowieku nigdy nie słyszałem.
- Pytanie: Czy znaliście profesora Kot?
- Odpowiedź: Profesora Kot również nie znałem.
- Pytanie: Co jeszcze chcecie zeznać?
- Odpowiedź: Proszę o poprawienie w protokole przesłuchania z 28 października 1942 roku moich zeznań odnośnie tego, że po przyjeździe do m. Berlina trudno mi było załatwić sobie pracę i załatwiłem sobie pracę tylko dzięki listowi polecającemu od inżyniera Celnik. W protokole natomiast zapisano, że znalazłem pracę bez trudności, to nie jest dokładnie tak.
- Pytanie: Jeżeli nie znaliście Aleksandra Mniszka, to wytłumaczcie, dlaczego on przysłał do Was do więzienia m. Ufy list z 20 sierpnia 1942 roku, który zostaje Wam przedłożony?
- Odpowiedź: W 1938 roku w wyniku nalegań mojej matki i pod wrażeniem otrzymania od rządu polskiego „Złotego Krzyża Zasługi” za działalność artystyczną rozmawiałem z jakimś urzędnikiem z ministerstwa spraw zagranicznych w sprawie przyjęcia polskiego obywatelstwa. Oprócz tej rozmowy żadnych starań o przyjęcie polskiego obywatelstwa więcej nie podjąłem.

Nie wykluczone, że Aleksander Mniszek albo w ogóle polska ambasada na podstawie powyższego uważali mnie za obywatela polskiego. W 1939 roku w ministerstwie spraw zagranicznych wypełniłem specjalną ankietę w celu przyjęcia obywatelstwa polskiego, możliwe, że także to dla ambasady stało się podstawą do uważania mnie za obywatela polskiego.

Протокол
дополнительного допроса обвиняемого
Юнода-Бодо Евгения Фёдоровича
от 16 ноября 1942 года

Вопрос: Скажите не Вам ли был известен Александр Мнишек? Ответ: Я Александром Мнишкой и его сына человека никогда не слышал. Вопрос: Вам ли был известен профессор Кот? Ответ: Профессором Котом мне не известен. Вопрос: Кто еще коммунистический работник? Ответ: Я не знаю коммунистического работника и не помню допроса, который состоялся в октябрь 1942 года, мои показания мне было выдано в арх. Берлина и депонировано в архиве на заседании ревизионной комиссии только в декабре 1942 года. В этом...

Александр Мнишек...
профессор Кот...
1942 года?
наиболее...



Fot. AIPN

▶ Fotografie więzienne Eugeniusza Bodo

sowieckiego NKWD, nabierając z każdym kolejnym podpisem i pieczęcią większej wagi” – czytamy w biografii *Eugeniusz Bodo*. „Już taki jestem zimny drań”. Ostatecznie los artysty został przypieczętowany 13 stycznia 1943 roku podczas Narady Specjalnej NKWD. Jako „społecznie niebezpieczny” Bodo miał spędzić w obozach pracy poprawczej pięć lat, licząc od dnia zatrzymania we Lwowie.

Nie miało znaczenia, że w sprawie brak było dowodów rzeczowych lub choćby istotnych zeznań. „Winą” Eugeniusza Bodo były „podejrzane podróże do Niemiec” i „podejrzane kontakty z polskimi instytucjami oficjalnymi”. „Nie mieściło się po prostu enkawudzistom w głowie, że można być sławnym polskim aktorem, obywatelem Szwajcarii, mieszkać wśród Niemców i z łatwością porozumiewać się w ich języku, spędzać urlop we Włoszech, mieć żydowskich przyjaciół, wyjeżdżać na wycieczki do Francji, kręcić filmy w Afryce i Ameryce, mówić świetnie po rosyjsku, śpiewać dla szerokiej publiczności od zachodu po wschód Europy” – tłumaczy Ryszard Wolański. Bodo padł ofiarą sowieckiej szpiegomanii, szczególnie silnej w czasie wojny.

Z moskiewskich Butyrek trafił do łagru w Kotlasie w obwodzie archangielskim. Był już wtedy cieniem dawnego człowieka. Dowodzi tego protokół badania lekarskiego z 19 czerwca 1943 roku. W dokumencie jest mowa o tym, że od półtora roku Bodo skarży się na „duże osłabienie ogólne, szybkie męczenie się, gwałtowne chudnięcie”. Diagnoza nie pozostawia złudzeń: „pelagra wraz ze skrajnym wycieńczeniem”. Lekarze stwierdzili, że Bodo jest inwalidą, który w warunkach więziennych nie będzie w stanie odzyskać zdolności do pracy. Postulowali, by sąd rozpatrzył jego zwolnienie.

Decyzja jednak nie nadeszła. Eugeniusz Bodo zmarł 7 października 1943 roku i został pochowany w bezimiennej mogile. W akcie zgonu czytamy: „gruźlica płuc przy towarzyszącej pelagrze”. Ukochana matka aktora, która pozostała w Warszawie, przeżyła go o trzy miesiące.

Życie po życiu

W 1972 roku Stanisław Janicki poprosił widzów telewizyjnego programu *W starym kinie*, by nadsyłali wspomnienia o Eugeniuszu Bodo. Przyszło sporo listów z różnymi wersjami śmierci artysty. Niektóre głosiły, że w 1941 roku został rozstrzelany przez Niemców.

Takie pogłoski były na rękę władzom komunistycznym. W PRL nie było zresztą szans na wyjaśnienie losów aktora. W *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN* z 1963 roku napisano: „zaginął ok. 1941”. W innych książkach pojawiały się wręcz informacje, że został zamordowany „po 4 lipca 1941 roku”, a więc w okresie, gdy Lwów był już okupowany przez Niemców. Poprawna data śmierci pojawiła się po raz pierwszy w wydanej przez PWN *Encyklopedii Warszawy* z 1975 roku. Ale i tam zabrakło wyjaśnienia, w jakich okolicznościach zginął.

Dopiero w 1989 roku Alfred Mirek wydał w ZSRR autobiograficzne *Notatki więźnia*, w których wspomniął o swoim spotkaniu z Eugeniuszem Bodo na Butyrkach i jego tragicznej śmierci w łagrze. Wiele dla ustalenia prawdy o losach aktora zrobiła po 1989 roku Wiera Rudź, jego krewna z Tomaszowa Mazowieckiego. Słała listy m.in. do sejmu, do prezydentów Polski Lecha Wałęsy i Rosji Borysa Jelcyna. W 1994 roku z Rosyjskiego Czerwonego Krzyża nadeszły dwie więzienne fotografie Bodo oraz podstawowe informacje o jego aresztowaniu i śmierci. Towarzyszyło im zapewnienie, że artysta został pośmiertnie zrehabilitowany zgodnie z ustawą z 1991 roku o ofiarach represji politycznych.

Czerwony Krzyż opierał się na informacjach uzyskanych z Centralnego Archiwum Federalnej Służby Kontrwywiadu Federacji Rosyjskiej. Doktor Grzegorz Jakubowski, zmarły w 2001 roku pierwszy dyrektor archiwum IPN, zdołał uzyskać kopie przechowywanych tam dokumentów. Dzięki temu udało się dość dobrze odtworzyć wojenne losy Eugeniusza Bodo i ostatecznie rozwikłać zagadkę jego tragicznej śmierci.

Dwa lata temu w Kotlasie odsłonięto pomnik aktora w kształcie płyty nagrobnej. W warszawskiej dzielnicy Wawer jest dziś niewielka ulica Eugeniusza Bodo. Wciąż jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że zbyt mało mówi się i pisze o tym słynnym przed wojną artyście. ■

Załączek siedemnastej republiki

Sergiusz Kazimierzczuk

W latach 1925–1935 w ZSRR przeprowadzono eksperyment – stworzono dwa polskie okręgi narodowościowe, w których przygotowywano komunistyczne kadry dla mającej powstać w przyszłości Polskiej Republiki Rad. Mimo olbrzymich nakładów finansowych już w połowie lat trzydziestych eksperyment uznano za nieudany i rejony zlikwidowano, a zamieszkałych tam Polaków poddano masowemu represjom.

Po podpisaniu przez Polskę w 1921 roku traktatu pokojowego w Rydze, kończącego wojnę z bolszewikami, po drugiej stronie granicy została liczna polska mniejszość. Według spisu powszechnego z 1926 roku w ZSRR mieszkało 783 300 Polaków. Faktycznie było ich znacznie więcej – historyk Mikołaj Iwanow podaje, że od 1,2 do 1,5 mln osób. Najwięcej ludności pochodzenia polskiego zamieszkiwało sowiecką Ukrainę, Białoruś oraz Rosyjską Federacyjną Republikę Radziecką.

Prapoczątków polskich rejonów narodowych w ZSRR należy szukać w okresie wojny polsko-bolszewickiej, kiedy to komuniści szykowali się do podboju Polski i utworzenia na jej terenie kolejnej republiki radzieckiej. Na terytorium państwa bolszewików i terenach czasowo opanowanych przez Armię Czerwoną powstały wówczas zaczątki komunistycznych organizacji administracyjnych, propagandowych i politycznych, zaczęto również tworzyć Polską Armię Czerwoną.

Po przegranej wojnie polscy komuniści próbowali uzasadnić dalsze istnienie powołanych instytucji. Na IV Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej

w 1922 roku Feliks Kon i Julian Marchlewski apelowali o powołanie polskich jednostek terytorialno-administracyjnych przy granicy z Polską. Władze sowieckie postanowiły wykorzystać miejscowych Polaków w celach propagandowych – pokazać, że możliwe jest utworzenie komunistycznej Polski, w czym kluczową rolę mieliby odegrać robotnicy i chłopci. Rejony polskie miały się stać zaczątkiem tego nowego państwa.

Polityka autonomii miała również destabilizować politykę wewnętrzną w II RP, gdzie, jak głosiła propaganda komunistyczna, gnębiono i wynaradawiano ludność białoruską i ukraińską. Chciano pokazać, że Polacy w „ojczyźnie proletariatu” mogą bez żadnych problemów kultywować swój język i kulturę.

Bolszewicy byli również przeświadczeni o tym, że znacznie łatwiej i skuteczniej można przekonać ludność do komunizmu, stosując propagandę w jej języku narodowym.

Autonomie narodowe miały obejmować liczne mniejszości mieszkające na terenie państwa sowieckiego. Opracowano w tym celu trójstopniowy system autonomii. Grupy narodowe liczące ponad 100 tys. osób, mieszkające na zwanym terytorium, miały utworzyć republiki



► „Sierp” i „Orka” – propagandowe gazety wydawane w polskich rejonach narodowościowych



Fot. Ośrodek KARTA

► Spotkanie członków Klubu Polskiego zorganizowane dla uczczenia pamięci zmarłego Juliana Marchlewskiego; za stołem prezydiąlnym trzeci od lewej siedzi Feliks Kon; hasła na scenie: „W sercach klasy robotniczej żyć będzie wieczna pamięć o pracy tow. Marchlewskiego dla sprawy wyzwolenia wyzyskiwanych”, „Niech żyje Polska Republika Rad”, „Młodzieży komunistyczna! Niechaj kryształowo czysta z jednego złomu wykuta postać zmarłego wodza będzie wam wzorem!”, „Wiercem na grób naszego wodza, nauczyciela, tow. Marchlewskiego, jest nieugięta walka o nową Polskę Radziecką!”; Moskwa, 1925 rok

autonomiczne, ponad 10 tys. – rejon, a ponad 500 osób – rejon wiejskie.

Utopijne huty

Polskie rady wiejskie zaczęto organizować w 1924 roku. Rok później na terenie Ukrainy sowieckiej przy granicy z Polską powstał Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego (potocznie: Marchlewszczyzna). Stolicą rejonu zostało miasteczko Dołbysz, przemianowane w następnym roku na Marchlewsku. Patron rejonu i miasteczka, pochodzący z Włocławka komunista Julian Marchlewski, zmarł w marcu 1925 roku.

Polscy komuniści w ZSRR przyjęli powstanie nowego tworu z ogromnym entuzjazmem – była to przecież namiastka ich wymarzonej sowieckiej Polski. Na uroczystościach z okazji jego powołania pojawili się czołowi działacze, m.in. Feliks Dzierżyński, Feliks Kon, Tomasz Dąbal i Józef Unszlicht.

Rejon był zamieszkały w prawie 70 proc. przez Polaków – w większości chłopów – a ponadto przez Ukraińców, Niemców i Żydów. Marchlewszczyzna

miała się stać wzorowym rejonem autonomicznym. Na jej rozwój nie szczędzono więc pieniędzy. Szczególnie intensywnie inwestowano w infrastrukturę. W Marchlewsku wybudowano elek-

rownię, rozwinięto sieć telefoniczną, w 1928 roku wybudowano nowoczesny, jak na warunki sowieckie, szpital. Starano się rozwijać, nieliczną jak dotąd, klasę robotniczą i w latach 1928–1931 wybudowano dwie nowe huty szkła (w Bykówce i Marianówce), zmodernizowano również istniejące już huty w Marchlewsku i Kamiennym Brodzie. Projekt ten był jednak mocno utopijny – fabrykom doskwierały problemy ze zbytem produkcji, m.in. z powodu braku stacji kolejowej. Tworzono również polskie szkoły, ukazywały się polskojęzyczne gazety, m.in. „Marchlewszczyzna Radziecka”.

W 1932 roku powołano drugi rejon polski, tym razem na sowieckiej Białorusi – Kojdanowski Narodowościowy Rejon Polski. W kwietniu, w czasie oficjalnych uroczystości z udziałem władz republiki, nadano mu imię Feliksa Dzierżyńskiego – twórcy sowieckich służb bezpieczeństwa. Stolicą rejonu – Kojdanów – przemianowano na Dzierżyńsk, w centrum miasta postawiono pomnik patrona.

Inaczej niż na Ukrainie, na Białorusi powstanie rejonu napotkało spore przeszkody – polska diaspora żyła tutaj rozproszona równomiernie na całym terytorium. Wydzielenie odpowiedniego obszaru nie było łatwe. Innym proble-



Fot. AIPN

► Założyciele Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polskiego, który próbował przejąć władzę na terenach polskich zajętych przez bolszewików w 1920 roku; w drugim rzędzie – Feliks Dzierżyński i Julian Marchlewski (drugi i trzeci od lewej) – patroni rejonów polskich w ZSRR

mem był sprzeciw władz Białoruskiej Republiki Radzieckiej, które prowadziły politykę białorutenizacji. Twierdzono, że polscy komuniści będą chcieli polonizować białoruskich katolików. Ostatecznie rejon powołano w wyniku interwencji władz centralnych z Moskwy.

Dotacje dla rejonu polskiego dwukrotnie przewyższały środki kierowane do sąsiednich rejonów białoruskich. W Dzierżyńsku powstały nowe budynki administracji, szkoły, kluby; otwarto technikum budowlane kształcące kadry dla polskich kolchozów. Dzierżyńszczyzna miała się stać rzeczywistym centrum polskim na sowieckiej Białorusi, zamierzano przenieść tam wszystkie polskie instytucje i organizacje działające na jej terytorium. W konstytucji sowieckiej Białorusi język polski uznano za jeden z języków państwowych.

Dzierżyńszczyznę zamieszkiwali głównie potomkowie drobnej szlachty – lepiej wykształceni i zorientowani w sytuacji politycznej w ZSRR niż Polacy z Marchlewszczyzny.

Ortografia do lamusa

We wszystkich partyjnych i państwowych instytucjach obu rejonów językiem urzędowym był polski, chociaż część miejscowych Polaków ojczystą mową już się nie posługiwała. Otwierano polskie teatry i gazety; roczny nakład polskojęzycznych książek w latach 1930–1933 wyniósł ponad milion egzemplarzy. Były to oczywiście głównie materiały propagandowe, uzasadniające sowiecką politykę narodowościową. Powstały w ZSRR dwie polskie szkoły wyższe – Polski Instytut Pedagogiczny w Mińsku i Instytut Wychowania Społecznego w Kijowie, a na wyższych uczelniach Białorusi i Ukrainy oraz w Moskwie i Leningradzie otwierano fakultety w języku polskim.

Komuniści mieli również pomysł, aby stworzyć „polską kulturę proletariacką” w oderwaniu od kultury II Rzeczypospolitej. Literatura miała przemówić nowym językiem polskiego proletariatu. Innym pomysłem było uproszczenie pisowni, usunięcie takich dwuznaków jak „rz” czy „ch” – miała zostać przyjęta zasada: „Jak



Fot. Ośrodek KARTA

► Wystawa malarstwa polskiego zorganizowana przez wydawany w języku polskim tygodnik „Trybuna Radziecka” – organ KC WKP(b); Moskwa, 1934 rok

się mówi, tak się pisze”. Wszystko po to, jak tłumaczyła propaganda, aby dzieciom chłopów i robotników ułatwić naukę języka polskiego.

Głównymi problemami obu rejonów był brak kadr posługujących się językiem polskim (i to pomimo ściągnięcia do pracy działaczy komunistycznych – emigrantów z Polski), a przede wszystkim nieufność i wrogość miejscowych Polaków wobec komunistów. Pisała o tym w swoich wspomnieniach Ester Rozental-Szneiderman, oddelegowana do pracy na Marchlewszczyźnie, przytaczając słowa innego działacza – Barucha Hubermana: „Gdy sekretarz partii [w czasie wiecu] zaczął odczytywać słowa Dzierżyńskiego: »Wasz udział w tutejszej pracy praktycznej jest najlepszą szkołą przygotowawczą do waszej działalności w polskiej republice sowieckiej«, dobiegł z sali groźny pomruk: »Czego jeszcze mu się zachciało!... Wara mu od Polski!«”. W ZSRR nie było wystarczającej liczby rdzennych Polaków-komunistów gotowych do prowadzenia działalności wychowawczo-ideologicznej. Partia wykorzystywała więc również emigrantów żydowskich z Polski.

Kącik ateisty

Rozental-Szneiderman wspominała też, że duży problem dla komunistów stanowiło przywiązanie Polaków do Kościoła. „Ja również należałam do tych bezczel-

nych osobników, którzy pozwalali sobie wstąpić o świcie do kościoła, by sprawdzić ogrom naszej kłębki. Jakież to dla mnie było przerażenie, gdy na własne oczy ujrzałam naszych wychowanków, mniejszych i większych, kłęczących nabożnie przed ołtarzem i modlących się w skupieniu”.

Religia dla Polaków stanowiła bowiem jeden z głównych – jeśli nie najważniejszy – elementów tożsamości narodowej. Władze zdawały sobie z tego sprawę i prowadziły kampanie antyreligijne. Od 1929 roku ateizacją polskiej ludności zajmowała się komisja antyreligijna Biura Polskiego Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). W polskich gazetach pojawiły się „kąciki ateisty”, dużą rolę przywiązywano do ateistycznego wychowania dzieci i młodzieży, które zmuszano do składania przyrzeczeń ateistycznych i zachęcano do przeszkadzania w praktykach religijnych rodziców. Jednak podobne kampanie nie przynosiły zbyt widocznych rezultatów, zdecydowano się więc na inną formę walki z religią – represje wobec duchownych. Księża katolickich oskarżano o szpiegostwo na rzecz Polski, sianie propagandy antysowieckiej i pospolite przestępstwa. Wielu kapłanów skazano na długoletnie więzienie lub karę śmierci. Dyplomacja polska starała się skazać i oskarżanych



o rzekome przestępstwa księży ratować, przenosząc ich poza granice Związku Radzieckiego. Było to, w gruncie rzeczy, na rękę władzom sowieckim, ponieważ w ten sposób malała liczba księży katolickich w ZSRR.

Na Marchlewszczyźnie Kościół został wyeliminowany w zasadzie już w 1931 roku, gdzie – co prawda – wciąż otwarte były trzy kościoły i cztery kaplice, ale nie pozostał żaden duchowny. Na sowieckiej Białorusi proces eliminacji Kościoła trwał dłużej – jeszcze w 1936 roku działało tam dwadzieścia kościołów, a pracę duszpasterską prowadziło ośmiu księży.

Oporna kolektywizacja

Zarządzona przez władze sowieckie pod koniec lat dwudziestych kolektywizacja rolnictwa, która miała uczynić z chłopów podporządkowanych państwu robotników rolnych, spotkała się z czynnym i biernym oporem Polaków na Marchlewszczyźnie. W roku 1930 dochodziło nawet do zbrojnych potyczek między miejscową ludnością a komunistycznymi aktywistami. Stopień kolektywizacji w polskim rejonie był znacznie niższy niż na całej sowieckiej Ukrainie – w 1932 roku w polskim rejonie skolektywizowano jedynie 16,9 proc. gospodarstw, podczas gdy w całej republice 72 proc. Opór zaczął wygasać w 1933 roku wo-

bec szalejącej na Ukrainie klęski głodu, sztucznie wywołanej decyzjami władz, a także wskutek wywózek i przesiedleń najbardziej opornych chłopów.

Na Białorusi o opór było trudniej z powodu większego rozproszenia polskiej ludności. Poza tym od początku zastosowano tam skrajne środki przymusu, także dlatego, że polscy komuniści próbowali wykazać się przed centralą. W 1931 roku aż 70 proc. polskich gospodarstw było już wcielonych do kolchozów.

Niezadowolenie władz centralnych z wyników kolektywizacji i postępów w sowieetyzacji Polaków na Marchlewszczyźnie dość szybko objawiło się represjami – zaczęto od nieustannej wymiany kadr partyjnych w rejonie w latach 1931–1935. W latach 1933–1934 ruszyły aresztowania wśród polskich komunistów oraz szefów rejonu, przy okazji „ujawniono” rzekomą polską siatkę szpiegowską pod nazwą Polska Organizacja Wojskowa, która miała stać za masowym wśród Polaków oporem wobec kolektywizacji.

Areszt za nazwisko

W 1935 roku wymieniono kierownictwo rejonu, tym razem na przedstawicieli innych narodów, co oznaczało, że polski eksperyment dobiegał końca. Wbrew nadziejom władz sowieckich nie udało się

wykorzystać Polaków w ZSRR przeciwko Polsce. Nie bez wpływu na zmianę polityki Moskwy były również podpisanie w 1934 roku polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy, a także ogólny zwrot w sowieckiej polityce narodowej – ograniczenie praw mniejszości i wzrost centralizacji.

17 sierpnia 1935 roku rozwiązano rejon polski na Ukrainie, a co za tym idzie – zamknięto polskie instytucje i szkoły. Terytorium Marchlewszczyzny podzielono pomiędzy sąsiednie rejonny.

W 1936 roku rozpoczęły się wysiedlenia Polaków z Ukrainy do Kazachstanu i na Syberię. Deportacje nastąpiły już wcześniej, w czasie kolektywizacji, teraz jednak postanowiono usunąć wszystkich Polaków z rejonów przygranicznych.

Dzierżyńszczyznę zlikwidowano postanowieniem władz sowieckiej Białorusi 31 lipca 1937 roku, polską ludność w znacznej mierze wymordowano i wysiedlono, oskarżając zarówno zwykłych obywateli, jak i kierownictwo rejonu o szkodnictwo i szpiegostwo. Polska mniejszość mieszkająca przy granicy państwowej została potraktowana jako piąta kolumna, która może zagrozić państwu sowieckiemu w przypadku wybuchu wojny. Polaków uznano za wrogów systemu i represjonowano za samo pochodzenie narodowe. Niejednokrotnie powodem aresztowania było polsko brzmiące nazwisko.

W 1937 rozpętano masowy terror wobec Polaków na terenie całego ZSRR, który kosztował życie 111 091 obywateli polskiego pochodzenia; ponad 28 tys. osób skazano na pobyt w łagrach. Była to największa operacja NKWD skierowana przeciwko członkom konkretnej narodowości, choć oprócz Polaków represjonowano także m.in. Koreańczyków, Niemców, Łotyszy, Estończyków, Finów, Greków, Chińczyków.

Wszelki ślad po istnieniu polskiej autonomii w Związku Radzieckim miał zniknąć. Temat ten nie istniał w oficjalnych publikacjach w ZSRR i Polsce aż do upadku komunizmu. ❀

Sergiusz Kazmierczuk – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



Fot. z arch. Stefana Kuriaty

► Jedna z polskich szkół na Żytomierszczyźnie, druga połowa lat dwudziestych



► Osiemnaście czaszek z żuchwami wydobytych z piaskowni w 1974 roku

Im Namen des Führers

Tomasz Ceran

Ludobójstwo z okresu II wojny światowej to nie tylko obozy koncentracyjne i komory gazowe. O nich wiemy najwięcej, bo zachowały się relacje więźniów i dokumenty. Ale były też egzekucje, które odbywały się niemal zawsze bez świadków – w piaskowniach i dołach śmierci. Rzadko kiedy pozostały jakiegokolwiek zapiski na ten temat. Warto więc te zbrodnie przypominać, jeśli tylko mamy o nich chociażby skromne informacje.

Po wkroczeniu armii niemieckiej do Polski w 1939 roku zaczęły działać bojówki Volksdeutscher Selbstschutz (samoobrony obywateli polskich niemieckiego pochodzenia). Organizacja powstała rzekomo w celu zapewnienia spokoju i porządku na terenach zajętych przez Niemców, w praktyce jednak zajmowała się niemal wyłącznie dokonywaniem egzekucji na Polakach o „antyniemieckim nastawieniu”, których nazwiska umieszczano na listach proskrypcyjnych już od maja 1939 roku. Niemcy założyli, że członkowie samoobrony po wykonaniu swego „zadania”,

czyli eksterminacji przywódczej warstwy narodu polskiego, zasilą szeregi SS.

Jesienią 1939 roku bojówki Selbstschutz przeprowadziły masowe egzekucje polskiej ludności cywilnej w co najmniej 359 miejscowościach w całej Polsce, mordując ponad 40 tys. osób, z czego 30 tys. w nowo utworzonym Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, 10 tys. – w Kraju Warty, 1500 – na Górnym Śląsku i około tysiąca w rejencji ciechanowskiej. W Generalnym Gubernatorstwie zamordowano 5 tys. osób. Liczby ofiar wymagają weryfikacji, nie zmienia to jednak faktu, że skala zbrodni była ogromna.

Na Kujawach i Pomorzu Południowym jest jedenaście miejsc, gdzie zamordowano tysiące Polaków. Jednym z nich jest niewielka wieś Łopatki koło Wąbrzeźna.

Metoda Selbstschutzu

Członkowie samoobrony niemieckiej, mordując polską ludność cywilną w pierwszych miesiącach okupacji, wypracowali efektywną technikę masowego zabijania. Polegała ona kolejno na: uwięzieniu Polaków w aresztach i tymczasowych obozach internowania, wytypowaniu osób przeznaczonych do rozstrzelania, znalezieniu miejsca na egzekucję oraz transporcie więźniów i fizycznym zgładzeniu. Podobną metodę mordowania zastosowano podczas zbrodni w Łopatkach.

Największym miejscem zbiorczym, w którym zgromadzono i uwięziono okoliczną ludność, był budynek dawnej fabryki Polskiego Przemysłu Gumowego w Wąbrzeźnie – PePeGe. Internowano w nim łącznie od ośmiuset do tysiąca ►

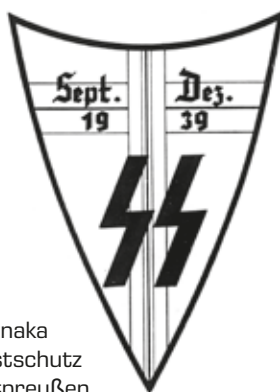


WAS DU FÜR VOLK UND HEIMAT TUST,
IST IMMER RECHT GETAN!

Fot. AIPN

► Motto z albumu *Selbstschutz Westpreußen*
„Co czynisz dla narodu i ojczyzny jest zawsze słuszne!”

Selbstschutz Westpreußen



► Odznaka Selbstschutz Westpreußen

osób. Więźniów mierzono głodem i często zmuszano do ciężkich, bezsensownych prac. Nie było umywalk, kranów z bieżącą wodą czy łózek. Polacy spalili na cementu i przez kilka dni nie otrzymywali pożywienia. W obozie panowała brutalna, prymitywna przemoc. Więźniów bito deskami z gwoździami. Zdarzały się przypadki śmiertelnego pobicia. Juliusz Lewandowski w swoich wspomnieniach z 1975 roku określił obóz w byłej fabryce jako „obóz egzaminacyjny” (*Prüfungslager*). Większość obywateli polskich tego „egzaminu”, którego stawką było ich życie, nie zdała. Osadzeni w PePeGe byli przesłuchiwanymi w siedzibie Selbstschutzu przy ulicy Żwirki i Wigury. Jedno z pierwszych pytań brzmiało: „Ilu zabiłeś Niemców?”. Uwięzionych Polaków pytano ponadto o przynależność do Związku Zachodniego, uczestnictwo w Powstaniu Wielkopolskim oraz o udział w strajkach szkolnych w okresie zaborów.

Na miejsce straceń Polaków wybrano piaskownię we wsi Łopatki, oddalonej

od Wąbrzeźna o 11 km. Znajdował się tam wykop o średnicy siedemdziesięciu metrów, z którego przed wojną wydobywano piasek dla celów budowlanych.

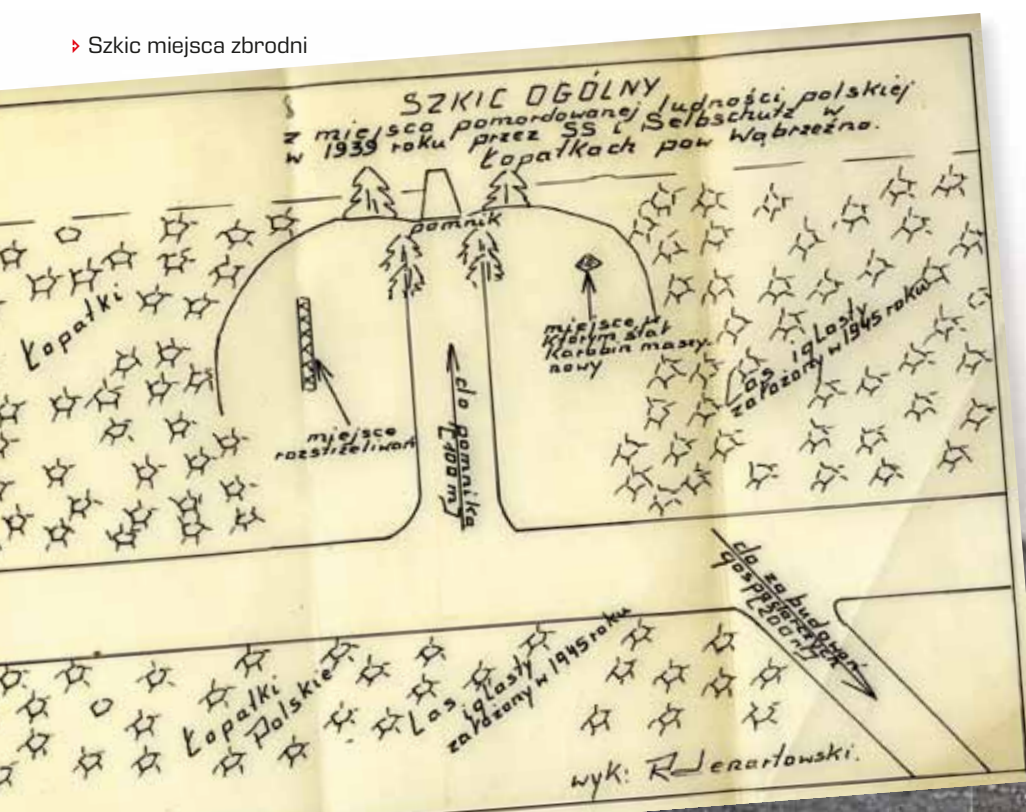
Mieszkańców pomorskich wsi i miast wyciągano w nocy siłą z domów i zabierano do rozmaitych więzień i aresztów takich jak obóz PePeGe. Członkowie Selbstschutzu na pytania Polaków, jakim prawem to robią, odpowiadali, że czynią to „w imieniu Führera”. Masowe egzekucje trwały około ośmiu tygo-

dni: od października do początku grudnia 1939 roku. Straceńców wywożono ciężarówkami z obozu w fabryce (najprawdopodobniej 30–50 osób w każdym samochodzie). Polaków transportowano do piaskowni, a następnie ustawiano na skraju wykopu i strzelano do nich z karabinu maszynowego ukrytego w zaroślach. Inna wersja wydarzeń mówi, że więźniom kazano wbiegać na wzniesienia i wtedy strzelano. Tych, którzy nie zmarli natychmiast, dobijano z karabinów i pistoletów.

Czteromiesięczny „element antyniemiecki”

Jedną z ofiar była Maria Lewandowska, która przed egzekucją prosiła, by ktoś zaopiekował się jej dziećmi: dwu- i czteroletnim. Była ponadto w czwartym miesiącu ciąży. Zrozpaczona matka podjęła próbę ucieczki sprzed lufy karabinu. Jeden z członków Selbstschutzu, Willi Schesinger, który znał Lewandowską, nie chciał jej zabić. Zrobili to za niego koledzy, którzy złapali kobietę za włosy, wciągnęli do rowu i rozstrzelali. W chwili śmierci Polka miała 31 lat. Jej mąż, Antoni Lewandowski, gdy interweniował u władz niemieckich o wypuszczenie ciężarnej żony, trafił do KL Stutthof. Z obozu koncentracyjnego wypuszczono go w 1944 roku z powodów zdrowotnych. Zmarł kilka dni później. Dziećmi Lewandowskich zaopiekowała się babcia – Franciszka Mitrowska. Schesingera rozbrojono, kazano mu pożegnać się z matką, a następnie został wcielony do armii niemieckiej i trafił bezpośrednio na front. Wcześniej zdążył opowiedzieć bliskim Lewandowskiej, w jaki sposób została zamordowana.

► Szkic miejsca zbrodni



Fot. AIPN



Fot. AIPN

▶ Hubert Rauch, starszy brat Heinza, z żoną – jeden z morderców Polaków w piaskowni w Łopatkach

Kaci i chlubne wyjątki

Katami polskiej ludności byli ich niemieccy sąsiedzi. Z zawodu byli oni rolnikami, kowalami, właścicielami ziemskimi, chałupnikami, malarzami, listonoszami, krawcami. Hannah Arendt napisałaby „banalnymi”, „zwyyczajnymi” ludźmi. Wojna i narodowy socjalizm uaktywniły tkwiące w nich najgorsze instynkty. Najmłodszy z katów, piętnastoletni Heinz Rauch, mordowanie Polaków traktował jako dobrą zabawę i młodzieńczą przygodę. Z kolei Franz Noetzel po powrocie z Warszawy w 1944 roku, kiedy jako ochotnik zgłosił się do tłumienia Powstania Warszawskiego, miał powiedzieć, że zastrzelił dwieście „psów-Polaków” i gdyby każdy Niemiec

Fot. AIPN



▶ Selbstschutz wykonujący zadanie

w 1939 roku zrobił tak, jak on to czynił w Łopatkach, to do żadnego powstania by nie doszło. Z około trzydziestu osób, które brały udział w zbrodni, tylko Heinz Borrmann, przywódca Selbstschutzu z Kowalewa Pomorskiego, stanął przed sądem i w 1949 roku został skazany na karę śmierci.

Wśród Niemców zdarzały się też jednak chlubne wyjątki. Hermann Korthals uratował Polaka Bolesława Tryczka, zabiegając o jego zwolnienie z „Pepegówek”. Jan Maćkowiak uniknął rozstrzelania, ponieważ w jego obronie wystąpiła miejscowa Niemka o nazwisku Dobrychowa. Ferdinand Templin, „Niemiec niepewny politycznie”, po wojnie nie uciekł z Łopatek, bo miał „czyste sumienie”. Jego syn Fritz ze łzami w oczach prosił swoich rodaków, by nie kazali mu doprowadzić na egzekucję rodziny Leśniewskich, bo Kazimierz – syn Franciszka – był jego bliskim przyjacielem. Brat

Wandy Mierzwy, Edward, po ucieczce we wrześniu 1939 roku wrócił na Pomorze. Został zatrzymany przez miejscowy Selbstschutz. Po pięciodniowym areszcie zwolniono go tylko dlatego, że wstawił się za nim miejscowy Niemiec – Erich Pitschke.

„Bezimmieni” i „imienni”

Nie wiemy, ile osób zostało zamordowanych w piaskowni w Łopatkach. W 1944 roku bliżej niezidentyfikowane oddziały niemieckie wydobyły ciała zamordowanych w piaskowni i je spaliły. Po wojnie w tym miejscu znaleziono jedynie kilka monet. Podczas ekshumacji w 1974 roku wydobyto osiemnaście czaszek z żuchwami, ale najprawdopodobniej nie były to szczątki Polaków rozstrzelanych w 1939 roku, tylko żołnierzy Armii Czerwonej, zamordowanych przez Wehrmacht pod koniec wojny. Najbardziej wiarygodne protokoły zeznań świadków mówią o tysiącu polskich ofiar. Liczba sama w sobie nie robi być może wrażenia, ale jeśli pomyślimy, że ▶

Fot. AIPN

▶ Zdjęcie piaskowni w Łopatkach wykonane w 1966 roku

Fot. ze zbiorów prywatnych H. W. Klimka



Władysław Klimek



► Zdjęcie Władysława Klimka w mundurze ochotniczej straży pożarnej i jego legitymacja poselska z 1938 roku



Fot. A. Czarnecki

► Bolesław Szczuka – ofiara mordu w Łopatkach

Fot. ze zbiorów prywatnych H. W. Klimka



chodzi o tysiąc konkretnych osób z planami, marzeniami, nadziejami, to odbiór jest zupełnie inny... Pozostałe dane szacunkowe (2500, 8000 czy nawet 10000) mają wątplą podstawę źródłową.

Historykom udało się zidentyfikować z imienia i nazwiska jedynie 94 ofiary. Jeżeli do tej liczby dodamy osoby z powiatu wąbrzeskiego, zamordowane w nieznanym miejscu jesienią 1939 roku, to liczba ta wyniesie ok. 150.

Najbardziej znanymi ofiarami mordu w Łopatkach byli poseł na sejm V kadencji – Władysław Klimek z Pływaczewa i właściciel zakładów drukarskich w Wąbrzeźnie – Bolesław Szczuka. Najmłodszą ofiarą (nie licząc nienarodzonego dziecka Marii Lewandowskiej) był Benedykt (Walenty) Siekierski, mieszkaniec Książek. W chwili śmierci miał 13 lat. Najstarszym Polakiem zamordowanym w piaskowni, którego udało się zidentyfikować, był sześćdziesięciosiedmioletni Leonard Rajnik, rolnik z Łopatek.

Nowoczesność metod zła?

Zabijanie na masową skalę jest proste. Nie wymaga broni wysoko zaawansowanej technologicznej, skomplikowanej techniki czy wytrenowanych jednostek wojskowych. Nie wymaga także całko-

wicie zdemoralizowanych ludzi, „urodzonych morderców” i psychopatów. Żeby dokonywać zbrodni na masową skalę, wystarczy ciężarówka, piaskownia lub inne zagłębienie terenu położone w lesie z dala od zabudowań mieszkalnych oraz pluton egzekucyjny uzbrojony w karabiny. Żeby dokonywać masowych zbrodni, wystarczy uruchomić złe instynkty tkwiące w człowieku: zawiść, podłość, zazdrość, pychę, zachłanność, zemstę. Wystarczy dać ludziom całkowitą swobodę, znieść sankcje za popełnione zbrodnie, zachęcić, a nawet tylko dać przyzwolenie na popełnianie zbrodni w majestacie prawa. Wystarczy znieść indywidualną odpowiedzialność za popełnione czyny i zastąpić ją abstrakcyjną odpowiedzialnością zbiorową. Wystarczy przekonać ludzi, że żyją w otoczeniu utajonych partyzantów i morderców, którzy z zimną krwią brali udział w mordowaniu ich rodaków. Wystarczy zapomnieć o indywidualnym sumieniu i dokonywać zbrodni *Im Namen des Führers*, będąc przekonanym, jak głosiło motto Selbstschutzu, że „wszystko, co czynisz dla narodu i ojczyzny, jest zawsze słuszne”.

dr Tomasz Ceran – historyk, pracownik OBEP IPN w Gdańsku; na początku 2014 roku ukaże się jego książka „*Im Namen des Führers...*” *Zbrodnia w Łopatkach w 1939 r.*



► Uroczystości upamiętniające ofiary zbrodni Selbstschutzu; Łopatki, 2012 rok

Fot. Gminny Ośrodek Kultury w Książkach

Walka do południa, do wieczora...

Dorota Sula

Mordercza praca w kamieniołomie obozu Groß-Rosen sprawiała, że więźniowie byli gotowi zjeść cokolwiek, nawet zwierzę domowe.

Pierwszy transport obejmujący stu więźniów przybył z KL Sachsenhausen 2 sierpnia 1940 roku. Tę grupę przywieziono samochodami niemal pod samą bramę obozową. Większość kolejnych transportów przybywała na małą stację Groß-Rosen. Drogę długości około 3 km ze stacji do obozu więźniowie pokonywali pieszo. Często w czasie drogi spotykały ich szykany ze strony mieszkańców, o czym jeden z więźniów, Kazimierz Wrycza, po latach napisał w swoich *Wspomnieniach*: „Przemarsz takiej dużej ilości ludzi wzbudził zainteresowanie ludności. Zgromadziła się ona przed domami i z nienawiścią spoglądała na nas. Smarkacze z Hitlerjugend podszczucili przez starszych mieszkańców obrzucali nas kamieniami i wyzwiskami. Zauważyłem, że również kobiety rzucały w więźniów kamieniami. Znaleźliśmy się wśród innych ludzi. Tam w Polsce każdy nam, jak mógł, pomagał, tu na każdym kroku wróg, gotowy pomóc SS-manom, by nas zniszczyć”.

„Cenny granit dla Wielkiej Rzeszy”

Przy bramie obozowej sprawdzano listę transportową, a konwojenci otrzymywali pokwitowanie. Stanisław Wądołowski,

który znalazł się w pierwszym transportcie, swój przyjazd do obozu wspominał tak: „Nowo mianowany Lagerführer SS-Oberscharführer Anton Thumann wygłosił do nas przemówienie mniej więcej takiej treści: »Przyjechalście tutaj budować nowy obóz. Po was będą przychodzić następne transporty więźniów. Będziecie wydobywać cenny granit dla potrzeb wielkiej Rzeszy. Wy – jako rasa niższa – podludzie, musicie ze wszystkich sił pracować i tylko pracować. Ociąganie się w pracy, niedbałe jej wykonywanie będzie natychmiast surowo karane, do śmierci włącznie«. Był wtedy piękny, słoneczny dzień, 2 sierpnia 1940, godzina około szóstej po południu”.

Przybycie każdego transportu było w życiu obozowym ważnym wydarzeniem i budziło spore emocje. Więźniowie często wspominają wielkie poruszenie, które wywołało przybycie transportów z powstańczej Warszawy. Dopiero gdy w następnych transportach przywieziono kolejnych uczestników Powstania, więźniowie poznali rozmiar walk i tragizm walczących. Pozyskiwane w ten sposób informacje były niejednokrotnie przekazywane współwięźniom i dość szybko się rozchodziły.

„W pierwszych latach przekroczenie bramy obozu następowało zwykle w biegu, wśród bicia, krzyku esesmanów

i szczekania psów. [...] Bieg kończył się przed łaźnią. Tam odbywał się pierwszy przegląd ustawionych w piątki i zneruchomiałych na baczność więźniów i ponowne sprawdzanie ich liczby. Następnie na komendę więźniowie zrzucali cywilne ubrania, wiążąc je w tobołki. [...] Gołono błyskawicznie owłosienie, po czym następowiała kąpiel, na przemian w ukropie, to znów w lodowatej wodzie” – wspominał Mieczysław Mołdawa, więzień Groß-Rosen i innych niemieckich obozów.

Potem więźniowie musieli w locie chwycić części ubrania, przydzielane jak popadło, i w ciągu paru sekund włożyć je na mokre ciało. Trzeba było jeszcze podać, kogo zawiadomić na wypadek śmierci. Wtedy więzień po raz ostatni słyszał swoje nazwisko. Tracił je z chwilą doręczenia mu numeru, który przeważnie musiał naszyć na bluzę i spodnie. Stały przydział do bloku mieszkalnego i do komanda pracy nowo przybyły otrzymywał po dwóch, trzech dniach, maksymalnie po tygodniu. W tym czasie uczono go błyskawicznego ustawiania się w szeregu, maszerowania krokiem defiladowym przy komendzie „Czapki z głów!”, zwyczajowego i oficjalnego regulaminu obozowego oraz śpiewu piosenek niemieckich. Więźniem nowo przybyłym, czyli cugangiem, przestawał być każdy, kto przeżył w obozie około sześciu miesięcy. Latem więźniów budzono o brzasku, zimą o 5.30. Ubierali się błyskawicznie, po czym przybiegali do miejsca, w którym stało kamionkowe koryto. Tam myli się w strumieniach lodowatej wody. Następnie wypijali zupę. Porannego przeglądu więźniów i sprawdzenia porządku dokonywał blokowy. Jeśli stwierdził drobne uchybienie, wymierzał karę natychmiast, gdy brak było ▶



Obóz koncentracyjny Groß-Rosen założono w sąsiedztwie kamieniołomu we wsi Groß-Rosen (Rogoźnica), położonej w paśmie Wzgórz Strzegomskich na Dolnym Śląsku, należącym wówczas do Niemiec. Walory kamieniołomu granitu sprawiły, że zainteresowało się nim przedsiębiorstwo SS, występujące pod nazwą Deutsche Erd- und Steinwerke GmbH (w skrócie: DEST). 11 maja 1940 roku spółka DEST odkupiła zakład w Groß-Rosen od dotychczasowej właścicielki, Margaretę Hay, za 0,5 mln marek. Jednocześnie przedstawiciele DEST zawarli umowę dzierżawy gruntów położonych wokół kamieniołomu, należących do barona Georga von Richthofena. Nowe kierownictwo kamieniołomu, chcąc zwiększyć produkcję kamienia, postanowiło skorzystać z rozwiązania przyjętego już w zakładzie obróbki granitu spółki DEST, zlokalizowanym przy obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, w którym wykorzystano więźniów tego obozu. Podjęto więc decyzję o utworzeniu w Groß-Rosen filii Konzentrationslager (KL) Sachsenhausen. Pierwsza grupa więźniów przybyła do Groß-Rosen – wówczas mającego status obozu pracy (Arbeitslager) – w sierpniu 1940 roku. Interesy gospodarcze SS i względy praktyczne przesądziły o przekształceniu podobozu Groß-Rosen w samodzielny obóz koncentracyjny. 1 maja 1941 roku Arbeitslager Groß-Rosen został wyłączony spod administracji KL Sachsenhausen. W latach 1942–1944 obóz rozbudowano – powstało m.in. około stu podobozów. Przez KL Groß-Rosen przeszło co najmniej 120 tys. więźniów, pochodzących z ponad dwudziestu państw. Przeważali obywatele polscy (w tym narodowości żydowskiej). Znaczącą grupę stanowili węgierscy Żydzi i obywatele Związku Radzieckiego. Około 40 tys. więźniów straciło życie.

czasu – wieczorem wzywał więźnia na „ćwiczenia”, jak eufemistycznie określano tortury. Apel zaczynał się od wysłuchania meldunku o liczbie więźniów. Jeśli suma żywych i umarłych się zgadzała, to po trwającym mniej więcej pół godziny przeliczaniu więźniów, padał rozkaz odnalezienia swojego komanda roboczego. Zimą kolumny wychodziły z obozu, gdy tylko się rozwidniało, latem przed 6.00. Kolejny apel był w porze obiadowej, w południe. Obiad trwał ok. 10 minut; w niektórych blokach nie dawano łyżek, więźniowie wypijali zupę, a „gęste” wybierali ręką.

W kamieniołomie więźniów dzielono na komanda. „Jedni podążają do baraków obsługiwać wyciągi, krany, maszyny. Inni stają przy kolibach i wózkach. Nieduża stosunkowo liczba więźniów ma nosić bloki skalne na przestrzeni 100, 200 i 300 czasem metrów od miejsca wylądowania z wyciągów do kolib. Najlicniejsza partia, licząca ponad 500 straceńców, schodzi upłazami po drewnianych, zmurszałych drabinach z jednej półki skalnej na drugą, w pięćdziesięciometrową czelusć” – opisywał w *Powrocie z piekła hitlerowskiego* Antoni Gładysz.

Zjeść choćby kota

Pierwsze lata funkcjonowania obozu to dla więźniów szczególnie ciężki okres. Przyczyną tego były prymitywne warunki mieszkaniowe – w niewykończonych

barakach brakowało łóżek, sienników – i sanitarne: w obozie nie było bieżącej wody ani umywalni. Więźniowie kąpali się w basenach z wodą niezmienną przez dłuższy czas. Brakowało mydła i ręczników. Do tego dochodziły ciężka praca, głód, szykanowanie przez esesmanów i więźniów funkcyjnych. Bardzo często trzeba też było pracować w nocy, a także w niedziele i święta. „Cały tryb życia w obozie był nastawiony metodycznie na znęcanie się i złamanie więźnia fizyczne i psychiczne” – podsumowuje historyk Zdzisław Łukaszkiewicz.

Z czasem więźniowie przyzwyczajali się do ekstremalnych warunków panujących w obozie. Antoni Gładysz: „Oswajałem się z niebezpieczeństwami i przykrościami, jakie na nas co krok czyhały. Trudniej było pogodzić się z widokiem potworności, na jakie ciągle musiało się patrzeć. Ale – wstyd powiedzieć – najtrudniej było zwalczyć uczucie głodu. Tego nikt nie potrafił. [...] W obozie każdy dzień schodził na ciężkiej, wyczerpującej pracy, na przemarszach z obozu do kamieniołomu i z powrotem, na staniu w kolejkach i na długich, bardzo uciążliwych apelach. Wieczory były koszmarnie. [Błokowy Karol] Kirchmann nie pozwalał na rozmowy, a my pomimo ogromnego zmęczenia długo nie mogliśmy zasnąć, gdyż sen ploszyły różne dolegliwości i uczucie głodu. Dokuczały wszy i inne kaśliwe robactwo. Walczyliśmy wszyscy z tą plagą i chyba dość skutecznie, gdyż owa armia nie zwiększała się, a w pewnych okresach nawet malała”.

To, że najtrudniej było oswoić się z głodem, potwierdzał Jerzy Jędrzejczyk. Najgorsze, jak wspominał, były godziny między wydawaniem posiłków. Wielu więźniów próbowało zaspokoić głód wszystkim, co uznali za możliwe do zjedzenia. Skutki tego były często tragiczne. „Myśl o najedzeniu się do syta była jednym z głównych pragnień. Dla zaspokojenia tego marzenia wielu więźniów gotowych było na wszystko. Tak np. w kuchni kamieniołomów uwagę więźniów przykuwał dobrze upasiony kot. [...] Niesamowitym wydarzeniem stał się fakt, kiedy kot ten już zabity, znalazł się na

► Kamieniołom – źródło „cennego granitu dla Wielkiej Rzeszy”



Fot. M. Fokas

Fot. M. Foks



► Zrekonstruowana izba więzienna

bloku siódmym. Kilku ryzykantów podjęło trud jego ugotowania” – pisał z kolei Roman Olszyna.

W tak ekstremalnych warunkach konieczne było wypracowanie „strategii przeżycia”. Jedną z reguł polegała na tym, aby być niezauważalnym, nie zwracać na siebie uwagi któregoś z ewentualnych dręczycieli. Ważne było również szybkie zrozumienie faktu, że nie można uratować się samemu, lecz tylko z pomocą innych. Z tego względu każdy z więźniów próbował znaleźć w bloku lub gdziekolwiek jakiegoś sprzymierzeńca. Ważne było też pozyskanie kontaktów z kuchnią czy rewirem (szpitalem obozowym). Poczucie więzi rozwijało się wśród więźniów tej samej narodowości, przekonań politycznych lub kategorii obozowej. „Trzymali się zwykle razem więźniowie pochodzący z jednej miejscowości lub o podobnych zainteresowaniach. Dziwna rzecz, łączył z sobą ludzi sam fakt przybycia w jednym transporcie, choć o zestawieniu tych transportów decydował czysty przypadek. Tym, co spajało, była chyba wspólność pierwszych obozowych przeżyć” – oceniał Antoni Gładysz.

Pejcz, słupek, nocne odwiedziny

12 grudnia 1942 roku komendant obozu wydał regulamin, zgodnie z którym pobudka następowała w czasie oznaczonym przez komendanta, a koniec dnia (cap-

stryk) o 21.00 w lecie i 20.00 w zimie. Każdy rozkaz miał być spełniany natychmiast i bez sprzeciwu. Więźniowie mieli być karani za upór, ale też za załatwianie naturalnych potrzeb w dowolnych miejscach. Regulamin głosił ponadto: „odzież więźnia (spodnie, kurtka, buty i czapka) stanowi własność państwa i powinna być utrzymywana w stałej czystości. W razie ustalenia, że odzież została rozmyślnie rozerwana, zostanie wymierzona najsurowsza kara. [...] Więźniowie mogą otrzymywać produkty żywnościowe. Paczka powinna zawierać taką ilość pożywienia, jaką więzień jest w stanie skosztować w ciągu jednego dnia. [...] Każdy, kto czynnie napada albo przyjmuje groźną postawę wobec SS-mana będącego na warcie lub nadzorującego, zostanie zastrzelony”.

Jako karę najczęściej wymierzano razy bykowcem lub pejczem. Bardziej wymyślne sposoby znęcania się to chłosta na „koźle” (czyli na stojaku, taborecie lub skrzyni) albo kara „słupka”. Ta ostatnia wzięła swą nazwę od słupa oświetleniowego. Więzień, początkowo stojąc na stołku, wieszany był na słupie z rękami związanymi do tyłu. Po wykopnięciu stołka ramiona więźnia się wykręcały. Uwalniano go najczęściej dopiero po kilku godzinach cierpienia. Nie wszyscy więźniowie przeżyli te okrutne tortury. Podczas chłódów stosowano jeszcze jedną formę dręczenia: członkowie SS lub

kapo oblewali więźnia wodą i zmuszali go do stania przez jakiś czas na zimnie, czego następstwem w najlepszym wypadku było zapalenie płuc. Niektórzy blockführerzy mieli zwyczaj nocnych odwiedzin, podczas których zmuszali więźniów do musztry lub ćwiczeń.

Dopiero od jesieni 1943 roku, gdy komendantem obozu został Johannes Hassebroek, zmieniły się stosunki w KL Groß-Rosen. Hassebroek zezwolił na karanie biciem na „koźle”, ale zabronił samowolnego znęcania się nad więźniami, co za rządów poprzednich komendantów było codziennością. Ograniczone zostały „nocne odwiedziny” członków SS w barakach więźniów oraz rozstrzeliwania „podczas ucieczki”, czyli pod pretekstem rzekomej próby ucieczki. Dzięki rozbudowie niektórych urządzeń sanitarnych nastąpiła również poprawa warunków higieny.

Los więźniów był szczególnie tragiczny w pierwszych dwóch latach funkcjonowania KL Groß-Rosen. Prawie każdy miał opuchnięte stopy i ropiejące rany. Zdecydowana większość cierpiała na niedożywienie oraz przewlekłe biegunki, powodujące ogólne wycieńczenie, co przy niewystarczającej opiece medycznej i braku leków prowadziło do dużej śmiertelności. Warunki w obozie głównym uległy znacznemu pogorszeniu w ostatnim kwartale 1944 roku, kiedy zaczęły napływać liczne transporty ewakuacyjne oraz transporty z powstańczej Warszawy. Przepelnienie obozu było tak duże, że zapewnienie dachu nad głową stanowiło duży problem. Brakowało również wyżywienia, a paczki, które dotychczas były jakimś ratunkiem, przestały dochodzić. W tym czasie śmiertelność przybrała ogromne rozmiary.

Życie w obozie koncentracyjnym było ciągłą walką – „walką prawie beznadziejną o przetrwanie, o przeżycie do południa, do wieczora”, jak to określił Stanisław Wądołowski. O wielkim szczęściu mogli mówić ci, którzy wyszli z niej zwycięsko. ■

dr Dorota Sula – historyk, starszy kustosz w Muzeum Gross-Rosen; autorka m.in. książek *Arbeitslager Riese. Filia KL Gross-Rosen* (2003) oraz *Życie kulturalne i religijne więźniów w KL Gross-Rosen* (2007)

Pamiętki ocalone od zapomnienia

Leszek Zachuta

Marię Fieldorf, studentkę Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, poznałem w lecie 1957 roku na obozie studenckim w Czeskim Raju koło Jičina. Nazwisko mojej późniejszej żony nic mi nie mówiło, wiedziałem tylko, że jego pisownia jest niemiecka. Koligacje rodzinne poznałem stopniowo. Tę powściągliwość zrozumiałem dopiero później, kiedy opowiedziano mi o okrutnej śmierci stryja Marii, Emila – generała „Nila”.

Wiedza o jego działalności konspiracyjnej była w rodzinie bardzo skąpa. W przekonaniu brata Emila, Józefa, tak było bezpieczniej. Do anegdoty przeszła jego okupacyjna odpowiedź na pytanie żony, Marii Anny: „Józek, gdzie idziesz?”. Jeszcze przez jakiś czas po zakończeniu wojny, z przyzwyczajenia, odpowiadał niezmiennie: „W jedno miejsce”. Nie dzielił się z nikim informacją, że brat był w konspiracji. Przez całą okupację wypełniał jego polecenia i wykonywał zadania, łącznie z prowadzeniem punktu kontaktowego – pod przykrywką

► Album fotograficzny rodziców Emila



Fot. ze zbiorów Marii Fieldorf i Leszka Zachuty



► Bracia Fieldorfowie; Emil – pierwszy z prawej

kramu z pasmanterią w Sukiennicach. Do końca życia ludził się, że brat żyje, wywieziony gdzieś za Ural.

Wymazane imiona

Najwcześniejsza fotografia późniejszego generała „Nila” ukazuje chłopca w wielkim kapeluszu przeciwśłonecznym na głowie, siedzącego przed grupką dzieci i opiekunką. Każdą z postaci oznaczono numerem: 1. Sługa pani Dulębowej, 2. Henryk Dulęba, 3. Florentyna Dulębianka, 4. Zofia Dulębianka, Anna (nieczytelne nazwisko), 6. wyskrobane imiona, pozostało nazwisko Fieldorf. Czas niestety bardzo zatarł pismo. Według przekazu kuzynki, Stefani Władar, w czasie okupacji dla bezpieczeństwa rodziny wyskrobała ona imiona August Emil, w tajemnicy przed domownikami. Z młodzieńczego okresu Emila zachowały się również dwa jednakowe zdjęcia w mundurku gimnazjalnym i tylko jedno świadectwo z gimnazjum, z roku szkolnego 1906/1907.

Więcej jego zdjęć pochodzi ze służby w Legionach Polskich i Wojsku Polskim. Najwcześniejsze zostało zrobione 22 sierpnia 1915 roku. Przedstawia Emi-

► Metalowa wizytówka z drzwi do mieszkania Andrzejostwa (Andrzeja i Agnieszki) Fieldorfów, rodziców Emila



la w mundurze legionowym z narzuconym na ramiona kożuskiem kawalerskim. Na odwrocie skreślił kilka słów do matki, m.in.: „Dałem się zdjąć w Lublinie. Nie bardzo porządnie, ot tak po chłopsku, jak na wojnie”. W domu rodzinnym zachował się jedynie orzełek pamiątkowy z napisem „Cześć Legionom” po Emilu lub po jego bracie Janku, również legionście.

Trzy fotografie Emila w ubraniu cywilnym, zrobione jesienią 1918 roku w Krakowie, zamykają umownie pierwszy rozdział jego żołnierskiej drogi – służbę legionową i pobyt na froncie włoskim w Tyrolu Południowym (od września 1917 do września 1918 roku, po wcieleniu do armii austro-węgierskiej). Uczestniczył wówczas w wydarzeniach historycznych – upadku zaborcy – rozbijając żołnierzy austriackich w ostatnim dniu października, a w listopadzie witał wskrzeszoną Rzeczpospolitą. W tym samym zakładzie fotograficznym Zygmunta Garzyńskiego uwiecznił się w mundurze podporucznika WP (awansowany 24 grudnia 1918 roku) z braćmi Janem i Józefem oraz sam w kilku różnych ujęciach. Uniesieni dumą z odzyskanej niepodległości i przepelnieni patriotyzmem, bracia zapragnęli spolszczyć rodowe nazwisko Fieldorf na Wielowiejski. Ojciec nie wyraził na to zgody, tłumacząc, że nazwisko to najcenniejsza rzecz, jaką odziedziczyli po przodkach.

Później – z odległego Wilna – rzadko nadchodziły do rodziców listy od Emila, biorącego udział w walkach o północne ziemie Rzeczypospolitej. Toteż zaskoczeniem było, kiedy dowiedzieli się, że 18 października 1919 roku poślubił Janinę Kobylańską. Z zachowanych dedykacji na przysyłanych fotografiach czy laurkach rysowanych przez córki, Krystynę i Marię, przebijają jej serdeczne uczucia do rodziny męża i dbałość o dobre wza-

Fot. ze zbiorów Marii Fieldorf i Leszka Zachuty

jemne relacje. Z pierwszego pobytu Janiny w Krakowie zachowały się: jej karta biblioteczna, wizytówka z nadrukiem: „z Kobylańskich Janina Fieldorfowa” i fotografia wykonana w Wilnie w 1919 roku.

Z okresu międzywojennego – oprócz okolicznościowych fotografii wileńskiej rodziny stryja Emila – pochodzą: książka jego autorstwa, wydana w Paryżu, gdy był komendantem Zachodniego Okręgu Związku Strzeleckiego we Francji (1931–1932) i zaparzaczka do kawy, kładziona na szklance. Nałogowo pił kawę i palił papierosy. Swoją srebrną papierośnicę zostawił we wrześniu 1939 roku, przed wyruszeniem przez zielone granice do Francji. Papierośnica rozbudzała wyobraźnię monogramem i dedykacją. Złocisty inicjał „E. F.” skrzył się na srebrzystym tle, a wygrawerowana wewnątrz dedykacja w starofrancuszczyźnie brzmiała tajemniczo: „Honi soit qui mal y pense” (hańba temu, kto widzi w tym coś złego). Dewiza angielskiego Orderu Podwiązki na papierośnicy!

Ojciec Emila z dumą przechowywał ogłoszony w 1922 roku w „Polsce Zbrojnej” wykaz oficerów i szeregowych z 1. pp Legionów, odznaczonych Orderem Wojskowym Virtuti Militari V kl. Nazwisko por. Emila Fieldorfa wymieniono pod numerem 51. Stefania Władar zachowała *Kalendarzyk Tow[arzystwa] Szkoły Lud[owej] z roku 1931*, z zapisanym adresem Emila w Paryżu.

Kolejne pamiątki związane z Emilem to prezenty od niego dla rodziców. Ku całkowitemu zaskoczeniu bliskich pojawił się znieścacka w rodzinnym domu przy ul. Bosackiej 11 w Krakowie we wrześniu 1940 roku, w drodze do Warszawy. Nie wyjawiał, że jest pierwszym emisariuszem Naczelnego Wodza i rządu RP w Londynie. Powiedział, że został przerzucony z Anglii do kraju. Z Ziemi Świętej przywiózł upominki: matce różaniec, ojcu obrazek *Kwiaty z Ziemi Świętej*. Marysia, córka Józefa i Marii Anny, była wówczas ośmioletnią dziewczynką i nie pamiętała przebiegu odwiedzin stryja, poza tym, że rodzice kategorycznie zabronili jej mówić komukolwiek o jego przyjeździe. W następnych latach, kiedy się pojawiał, przedstawiał się

▶ Album z fotografiami legionowymi Emila Fieldorfa

jako Walenty Gdanicki – kolejarz, daleki krewny. Emil tak dalece przestrzegał zasad konspiracji, że wymagał od ojca i rodziny brata, aby mówili do niego Walenty, Waluś. W okupacyjnej rzeczywistości ślad po płk. Augustynie Emilu Fieldorfie miał zagaść. Przestrzeganie tej zasady potwierdza dedykacja na książce ofiarowanej w dniu imienin bratanicy: „W dniu Imienin – Dzidce – Waluś /2 II 41”. Dla odróżnienia od matki, także Marii, Marysia przez najbliższych była nazywana Dzidką.

Pod koniec marca 1945 roku na Bosacką dotarła porażająca wiadomość: Walentego aresztowano i wywieziono do Rosji! Kiedy władze nagłaśniały moskiewski proces gen. Leopolda Okulickiego, ojciec Emila kupił broszurę poświęconą temu dramatycznemu wydarzeniu. Zapewne czytał ją ze zgrozą, bo



Fot. ze zbiorów Marii Fieldorf i Leszka Zachuty

▶ Orzełek z napisem „Cześć Legionom”, pamiątka Emila lub Jana Fieldorfów

na wielu stronach pojawiało się nazwisko Fieldorf, a syn był przecież w Rosji. A może tej zgrozie towarzyszyła дума?

Pamiątka dzięki recepturze

Z 1947 roku pochodzą fotografie stryja Emila zrobione u państwa Jasińskich w Warszawie po jego powrocie z Syberii. Do Krakowa przyjechał, aby dowiedzieć się o losie swojej rodziny. Wówczas pozostawił zdjęcia ojcu. Maria zapamiętała wyneźdniały wygląd stryja i to, że w skupieniu czytał *Proces Okulickiego*. Fotografia Emila z 1949 roku, układającego pasjans z córką Krystyną, w mieszkaniu nr 15 przy ul. Próchnika 34 w Łodzi, była ulubionym zdjęciem brata Józefa. Nosił ją w portfelu, stąd ślady uszkodzeń.

List Emila do bratowej, Marii Anny – z 23 października 1950 roku – zachował się dzięki temu, że na jego odwrot-

August Emil Fieldorf „Nil” (1895–1953) – generał brygady Wojska Polskiego, żołnierz 1. Brygady Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Po kampanii wrześniowej 1939 roku przedostał się do Polskich Sił Zbrojnych we Francji. W 1940 roku został mianowany pierwszym emisariuszem Rządu i Naczelnego Wodza i wysłany do kraju. W okupowanej Polsce organizator i dowódca Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej. W 1944 roku objął dowództwo nad organizacją „NIE” (nazwa od słowa „niepodległość”), przygotowującą do działań w warunkach okupacji sowieckiej. W październiku 1944 roku mianowany zastępcą Komendanta Głównego AK. 7 marca 1945 roku aresztowany pod fałszywym nazwiskiem przez NKWD w Milanówku i nierozpoznany, zesłany do obozu pracy na Uralu. W październiku 1947 roku wrócił do Polski, w lutym następnego ujawnił przed władzami prawdziwe imię i nazwisko oraz stopień wojskowy. 10 listopada 1950 roku został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i osadzony w areszcie śledczym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Został oskarżony o wydawanie rozkazów likwidowania przez AK partyzantów sowieckich. Pomimo tortur odmówił współpracy z komunistami. 16 kwietnia 1952 roku po sfingowanym procesie został skazany przez Sąd Wojewódzki w Warszawie na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano 24 lutego 1953 roku w warszawskim więzieniu przy ul. Rakowieckiej, a „Nila” pochowano w zbiorowej mogile, prawdopodobnie na „Łączce” Cmentarza Wojskowego na Powązkach. Generał Fieldorf został zrehabilitowany w 1989 roku.

nej stronie zapisała... przepis na ciastka półfrancuskie. W końcowej części czytamy listu m.in.: „Mam nadzieję, że jesteście wszyscy zdrowi i dlatego list mój ma frywolny odcień. Wkrótce się już zresztą zobaczymy, więc na razie możesz już do mnie więcej nie pisać! PP. Jasińscy wyjechali w sobotę do Ełku. On oczywiście na ryby. Ona – jako kochająca żona – do towarzystwa. Powinnaś i Ty z mężem swoim gonić przynajmniej na zawody piłki nożnej [Józef Fieldorf był zagorzałym kibicem KS Cracovia] albo na »szachy«, albo wreszcie w »w jedno miejsce«. [...] Twój najdroższy Emil”. Podobny przepis – na rożki półfrancuskie – sprawił, że możemy przeczytać treść kartki ciocci Janki z 18 marca 1951 roku: „Józku kochany, Tobie osobiście przesyłam najserdeczniejsze życzenia w Dniu Twego ▶

Patrona, a całej krakowskiej Rodzinie nie mniej serdeczne życzenia »pomyślnych i spokojnych Świąt«! Marysia była 12-go w W-wie. Pieniądze uiściła [chodzi o wpłatę na drobne wydatki ojca w więzieniu]. Nowego nic nie zaszło. Adwokata jednak wzięliśmy, a reszta w rękach Boga. Całuję wszystkich – Janka Fieldorfowa”.

Przez wiele lat popełnione 24 lutego 1953 roku morderstwo sądowe na generale „Nilu” kładło się cieniem na życiu rodzinnym. W 1969 roku odwiedziliśmy po raz pierwszy ciocię Jankę w Łodzi. Z tego spotkania pozostał w pamięci obraz kobiety serdecznej, wesołej, pełnej radości z przeżywaną chwilą mimo łez spowodowanych tragicznym losem Emila, przeplatanych jednak śmiechem dzięki wspomnieniom wspólnie spędzonych szczęśliwych lat.

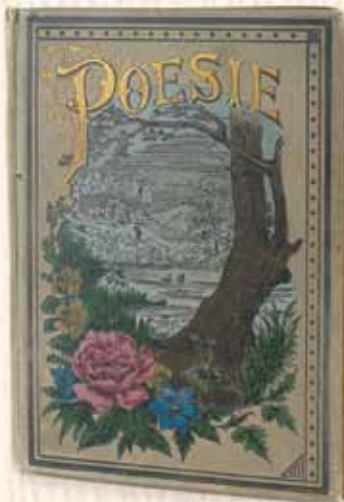
Janina Fieldorfowa, obarczona doświadczeniami z Wilna – z okresu okupacji sowieckiej i niemieckiej – uważała, że ocalałe pamiątki po jej mężu najbezpieczniej będzie przechowywać w kilku miejscach. U krakowskiej rodziny pozostawiła miniaturę sztandaru 1. pp Legionów, którą Emil dostał, gdy odchodził ze stanowiska zastępcy dowódcy pułku, przeniesiony do Korpusu Ochrony Pogranicza. Uznawała ją za najcenniejszą i za najbardziej narażoną na utratę.

Depozytariuszem części ocalonych pamiątek został syn przyjaciółki, Marek Ney-Krwawicz, student historii na Uniwersytecie Warszawskim. Wybrane fotografie męża za pośrednictwem przyjaciół ciocia Janka wysłała do zaufanego znajomego we Francji. Po latach, kiedy czytano w Radiu Wolna Europa fragment maszynopisu naszej pierwszej książki o „Nilu”, przysłano je nam. Niewątpliwym wpływem na decyzję cioci miała też strata osobistych rzeczy męża – dowódcy 51. pp Strzelców Kresowych – z brzeżańskiego mieszkania, po napaści sowieckiej na Polskę. Przepadł też mundur połowy wraz z oporządzeniem i osobistymi drobiazgami Emila, ukryty w Borowcu, w powiecie biłgorajskim.

Dla żony, córek, rodziny, przedmioty z nim związane przywoływały wspomnienia kochanej osoby. Wówczas nie traktowano ich w kategoriach historycznych – zachowanych po bohaterze narodowym.

Dopiero bowiem po latach Polacy poznali jego działalność konspiracyjną, przymioty charakteru i okrutny los. Janina Fieldorfowa miała jednak świadomość pozycji, którą zajmował mąż w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej, toteż z wielką determinacją starała się o ich zachowanie. Jej zawdzięczamy to, że zostały ocalone.

Ostatni raz ciocia odwiedziła nas w 1973 roku, przed przeprowadzką do Gdańska, do córki. Opowiadała o prośbie skierowanej do ówczesnego ministra obrony narodowej, gen. Wojciecha Jaruzelskiego, o odnalezienie miejsca pogrzebania zwłok „Nilu”, o tym, jak doszło do ufundowania przez ministra obrony symbolicznego nagrobka, i jaką stoczyła bata-



Fot. ze zbiorów Marii Fieldorf i Leszka Zachuby

► Pamiątnik Agnieszki Fieldorf z d. Szwandy, matki Emila, założony w 1887 roku; notes jest prezentem od narzeczonego, późniejszego męża, Andrzeja Franciszka Fieldorfa

lię o treść napisu. Odnieśliśmy wrażenie, że cioci zależało na tym, aby osobiście opowiedzieć o swoich staraniach i wytłumaczyć kompromisową inskrypcję: „Zginął śmiercią tragiczną”. Zostawiła nam fotografie dwóch symbolicznych nagrobków stryja Emila: pierwszego, wzniesionego kosztem jej i córek na początku lat sześćdziesiątych, i drugiego, ufundowanego w 1972 roku przez ministra.

Walka z niepamięcią

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy ustabilizowała się nasza sytuacja

osobista i zawodowa, mogliśmy poświęcać coraz więcej czasu poznawaniu działalności „Nilu”, nawiązywaniu kontaktów z osobami, które los z nim związał, a następnie podjąć próbę przeciwstawienia się skazaniu go na zapomnienie przez czynniki partyjno-rządowe PRL. Nieocenioną w naszej pracy okazała się znakomita pamięć mojej żony, jej skrupulatność i dociekliwość, a odziedziczony po Fieldorfach urok i wyniesiona z domu kultura osobista zjednywały jej życzliwość, co w połączeniu z nazwiskiem rodowym przełamywało bariery nieufności i skłaniało do udzielania nam pomocy. Krąg osób znających w przeszłości Emila Fieldorfa, z którymi udało nam się skontaktować, poszerzał się z roku na rok, udostępniano nam kolejne adresy, polecano i rekomendowano naszą działalność. Przybywało informacji i relacji, kopii dokumentów, fotografii. W połowie 1986 roku nawiązaliśmy kontakt ze Studium Polski Podziemnej w Londynie. Przez wiele lat wspierało naszą działalność, przekazując nieodpłatnie fotografie ppłk. Fieldorfa i kopie dokumentów z przełomu lat 1939/1940.

Bardzo wiele zawdzięczamy Instytutowi Polskiemu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, a w szczególności panu Andrzejowi Suchcitzowi. Materiały otrzymywane z tych instytucji były bardzo ważnymi źródłami dla naszych publikacji, które zaczęły się ukazywać w różnych periodykach. Posłużyły nam – niehistorykom – do uwiarygodnienia podania o udostępnienie akt procesowych „Nilu”, które złożyliśmy w Prokuraturze Generalnej w Warszawie wiosną lub latem 1988 roku. Rozpoczął się dla nas okres kwerend zasobów archiwalnych i pozyskiwania kserokopii do archiwum rodzinnego; intensywnych prac nad ukończeniem monografii „Nilu”.

Córka generała, Maria Czarska (od połowy lat dziewięćdziesiątych używała tylko nazwiska po mężu), doceniała ten wysiłek, przekazała nam dokumenty i druki pamiątkowe ojca: stan służby st. sierż. Emila Fieldorfa, wystawiony przez dowództwo 5. pp WP, dwa listy Emila do żony, dyplom nadania Złotego Krzyża Zasługi z 24 maja 1928 roku; wydanie

francuskie książki jego autorstwa *Union polonaise de Tir en France*; rocznik: *Filarecja – Korporacja Polskiej Młodzieży Akademickiej – w Paryżu w roku 1933* z notatką: *Pożegnanie komendanta Fiedorfa*); zaproszenie ppłk. Emila Fiedorfa na uroczystość wręczenia sztandaru 1. Pułku Artylerii Lekkiej Legionów w Wilnie (11–12 listopada 1937 roku); dyplom nadania Brązowego Medalu za Długoletnią Służbę z 11 maja 1938 roku. Ponadto kilka książek z jego biblioteczki. Były to dla nas bezcenne pamiątki i nieocenione źródła poznawcze, tak jak tajna broszura *Obóz reakcji polskiej w latach 1939–45*, wydana przez Główny Zarząd Informacji Wojska Polskiego w maju 1948 roku. Otrzymał ją od Stefana Waltera, męża Anny, córki płk. dypl. Stanisława Fiedorfa, brata stryjecznego Emila.

Po ogłoszeniu w marcu 1989 roku rehabilitacji generała Naczelną Prokuraturą Wojskową zwróciła nam pięć fotografii odebranych po jego aresztowaniu. Opatrzono je adnotacją wykonaną jego ręką: „Znaleziono w czasie rewizji osobistej, 10 XI 50, Fiedorf”. Uświadamiały zapoczątkowanie gehenny więziennej, zakończonej morderstwem sądowym. Na zbiorowym zdjęciu z rodziną Jasińskich jest dedykacja: „Panu Walentemu na pamiątkę szczerzy i życzliwi – Jasińscy”. Wpisując formułkę „Znaleziono w czasie...”, generał coś zakreślił. Intrygowało nas to tak bardzo, że poszukaliśmy pomocy w laboratorium policyjnym. Okazało się, że chciał zamazać datę dedykacji: „14 XI 47 r.”. Któryś z policyjnych techników wpisał ją nad skreśleniem i obrysował prostokątną ramką dla wyróżnienia. Każdy kontakt z tymi fotografiami przywoływał tragiczne wspomnienia. Podobnie jak z oryginalną fotografią więźnia nr 378 Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, przekazaną

z kolei przez Centralny Zarząd Zakładów Karnych w Warszawie w tym samym roku. Był to szczególnie rok, w innym czasie tych fotografii nigdy byśmy nie otrzymali.

Kilka pamiątek po Emilu Fiedorfie trafiło do nas dość nieoczekiwanie. Pierwsza to *Feldpostkorrespondenzkarte* wysłana przez niego z Jarosławia 20 kwietnia 1916 roku do Jana Stefańskiego, przyjaciela rodziny Fiedorfów, mieszkającego po sąsiedzku. Emil nie byłby sobą, gdyby nie zażartował. „Wesołego Jajka życzy...” – i tu roi się od różnych podpisów, a pomiędzy nimi – podpis nadawcy: „Fiedorf Emil”. Kartkę podarowała nam cór-



Fot. ze zbiorów Marii Fiedorf i Leszka Zachuty

► Klamra pasa głównego munduru żołnierzy 5. pp Legionów

ka pana Jana, Zofia Stefańska. Drugą pamiątką była metalowa tabliczka z napisem: „Dowódca 51 p.p. Kres.”, którą Dariusz Kaszuba znalazł w lesie koło Piotrowego Pola, w pięćdziesiątą rocznicę bitwy stoczonej przez pułk w rejonie Ilży. Jest to jedyna zachowana pamiątka z września 1939 roku po ppłk. Fiedorfie, dowódcy 51. pp Strzelców Kresowych z Brzeżan.

Z kolei Książeczkę Wojskową kpr. pchor. Stanisława Okolskiego kupiono na giełdzie staroci i nam ofiarowano. Na szóstej stronie widnieje podpis i odcisk pieczętki zastępcy dowódcy 1. pp Legionów ppłk. Emila Fiedorfa. Ostatnia z pamiątek to tajemniczy prezent od anonimowego darczyńcy. Wąska kartka papieru zaadresowana: „Jakób Alek. Le Caire Zamalek 3, rue Amie Tomsson Przyjechałem. Odebrać 40 funtów egipskich od Cooka, który zwiódł Emil Wielowiejski”. „Alek” to kryptonim placówki łączności Samodzielnego Wydziału Krajowego przy Naczelnym Dowództwie (potem Wydziału VI Sztabu Naczelnego Wodza) w Kairze. Kartka musiała być pisana w pośpiechu, o czym świadczą skreślenia. Dla nas jest

bezcenna z uwagi na podpis kuriera dyplomatycznego. Fiedorf pod tą przykrywką odbył część podróży z Londynu do kraju w 1940 roku, jako pierwszy emisariusz Naczelnego Wodza i rządu.

30 lipca 2006 roku z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego Maria Fiedorf-Czarska odebrała Order Orła Białego przyznany pośmiertnie ojcu. Dla rodziny uhonorowanie „Nila” było wyrazem dziejowej sprawiedliwości. Krzyż z gwiazdą Orderu Orła Białego wraz z ozdobną kasetą Maria podarowała w 2009 roku Muzeum Armii Krajowej w Krakowie, którego jej ojciec jest patronem.

Na początku 2010 roku, kiedy rozpoczęliśmy prace nad albumem poświęconym gen. „Nilowi”, Maria przysłała nam do wykorzystania nie tylko wszystkie zachowane listy rodziców, lecz także album ojca z fotografiami legionowymi, znajdujący się w zbiorach prof. Marka Ney-Krwawicza, i kilka nieznanych nam zdjęć z pierwszego pobytu we Francji.

Po śmierci Marii Fiedorf-Czarskiej (21 listopada 2010 roku) jej spadkobierczynią została wnuczka generała, Zofia Zarkadas, córka Krystyny Gierwiatowskiej, *secundo voto* Ney. Po dziadkach zatrzymała listy i fotografie, które zabrała ze sobą do Kanady. Pozostałe pamiątki przysłała do Krakowa, abyśmy zadysponowali nimi stosownie do ich przydatności dla wybranych ośrodków naukowych i muzeów. Podzielała nasz zamiar przekazania rodzinnych pamiątek do zbiorów krakowskich.

Na Antypody, do dalekiej Australii zawędrował srebrny krzyż *Virtuti Militari*. Dla Emila Neya, wnuka generała, jest pamiątką po dziadku i ojczystym kraju. Wiele z przedmiotów codziennego przeznaczenia, okazjonalnych upominków od Emila, uległo naturalnemu zużyciu i uleciało z pamięci najbliższych. Nieubłagane przemijanie skłoniło mnie do napisania tego, co kiedyś usłyszałem, zapamiętałem, i co było ważne w moim życiu. 🍷

Leszek Zachuta – mąż Marii Fiedorf, bratanicy gen. „Nila”, współautor (wraz z żoną) albumu *General August Emil Fiedorf 1895–1953*, który właśnie się ukazał nakładem IPN



Fot. ze zbiorów Marii Fiedorf i Leszka Zachuty



► Srebrna papierośnica z monogramem Emila Fiedorfa, lata trzydzieste XX wieku

Jak cudzoziemiec kamienicę kupował

Maciej Nowak

Przed wojną cudzoziemiec, który chciał kupić polską nieruchomość, musiał uzbroić się w cierpliwość i przedrzeć się przez gąszcz procedur. Próba ominięcia biurokracji mogła się skończyć fatalnie, co pokazuje historia pewnego Rosjanina zakochanego w sprytniej Polce.

Przed I wojną światową obywatel rosyjski Michał A. poznał Polkę, Ludwikę C. Szybko zamieszkali razem, a Michał przez całą wojnę utrzymywał Ludwikę i jej rodziców. Również po wojnie dysponował on znacznym kapitałem. Jednym słowem – historia przypominająca tę z *Lalki* Bolesława Prusa.

Ominiąć biurokrację

Ludwika oraz jej ojciec Władysław postanowili sytuację wykorzystać i w latach dwudziestych przekonali Michała do nabycia kamienicy położonej na terenie II Rzeczypospolitej. Jak się okazało – nie było to takie proste. Michał bowiem, ponieważ był cudzoziemcem, musiał uzyskać zezwolenie Rady Ministrów, co wiązało się z uciążliwą procedurą.

Aby uniknąć spędzania długich godzin w urzędach, formalnie nabywcą nieruchomości (za pieniądze Michała) został w roku 1920 Władysław, który osiem lat później własność przepisał na Ludwikę. Zarówno ojciec, jak i córka zapewniali Rosjanina, że tylko formalnie są właścicielami, ale faktycznie to on może dysponować nieruchomością.

Wszystko wyglądało bardzo dobrze do momentu, gdy w roku 1930 Michał dowiedział się, że panna Ludwika zamierza wyjść za mąż za kogo innego, a w małżeńskim posagu wnieść... kupioną za jego pieniądze kamienicę. Czując się podwójnie (uczuciowo i finansowo) oszukany, Rosjanin skierował sprawę do sądu. Niestety, po licznych perypetiach również

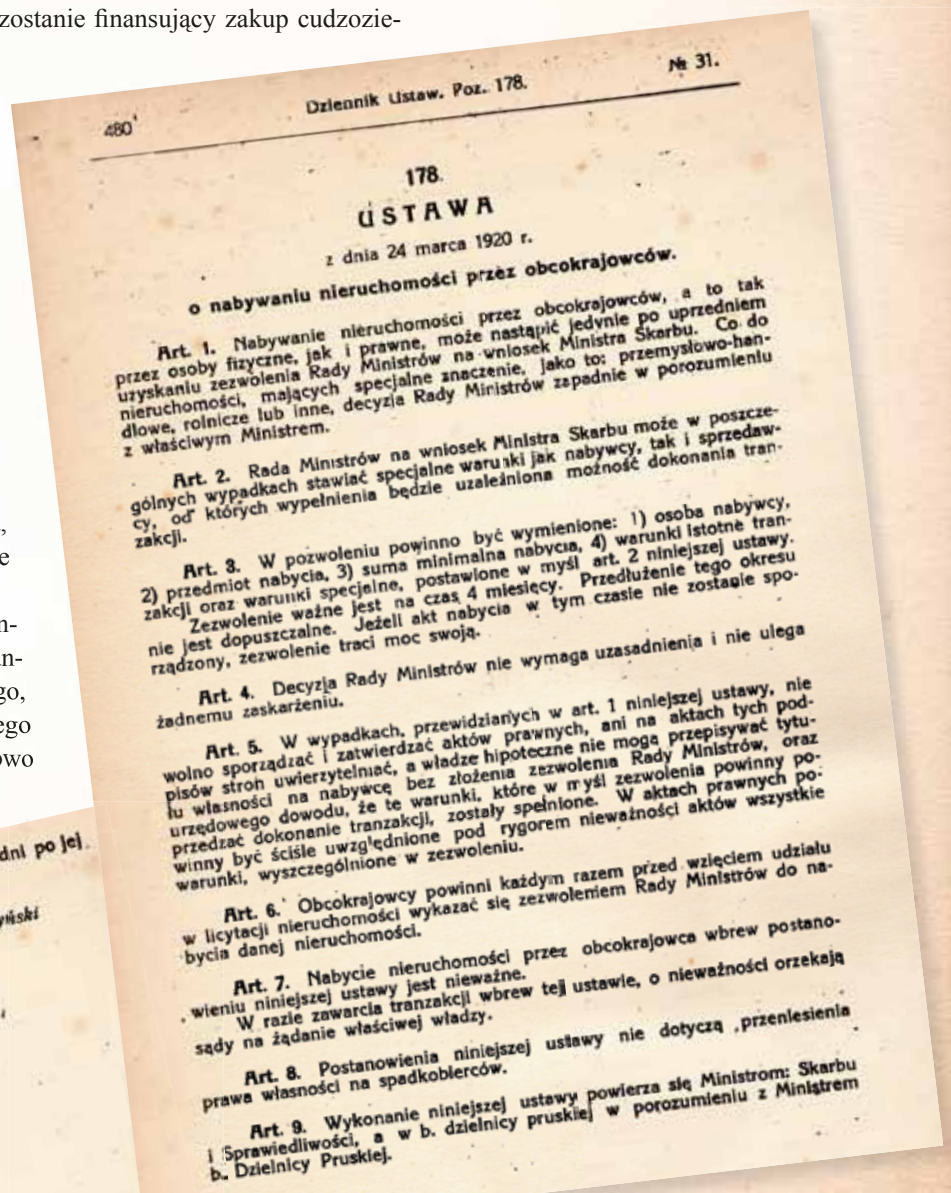
to przegrał. Sąd Najwyższy w orzeczeniu z 24 lutego 1936 roku stwierdził, że umowę między Michałem a Ludwiką i Władysławem, sprowadzającą się do założenia, że obywatel polski będzie podstawionym tylko nabywcą nieruchomości, a faktycznym jej dysponentem zostanie finansujący zakup cudzo-

miem, trzeba uznać za nieważną. Główną przyczyną finansowych perypetii Michała były przepisy obowiązującej do dzisiaj ustawy o nabywaniu nieruchomości przez cudzoziemców.

Lata dwudzieste: po pierwsze bezpieczeństwo

Oczywiście, przez ponad dziewięćdziesiąt lat obowiązywania ustawa ta została prawie w stu procentach zmieniona. Niemniej ustawodawca nie zdecydował się zastąpić jej innym aktem prawnym. Dzięki temu można próbować śledzić, jak przez lata modyfikowano poszczególne postanowienia.

Rok jej uchwalenia (1920) to jednocześnie czas kształtowania się naszej państwowości i granic polskich. W tamtym okresie wprowadzanie ograniczeń dotyczących nabywania położonych



BIBLIOTEKA ORZECZNICTWA POLSKIEGO

dla b. zaboru austriackiego.

pracowana przez

Dr. JARÓRA REINHOLDA, adwokata we Lwowie.

w Polsce nieruchomości przez cudzoziemców musi być więc postrzegane również w tym kontekście – zdecydowanie większej ochrony państwa przed zagrożeniami zewnętrznymi niż dziś. Dlatego zrozumiała wydaje się wprowadzona w roku 1920 w art. 1 omawianej ustawy zasada, zgodnie z którą nabywanie nieruchomości przez obcokrajowców (zarówno osoby fizyczne, jak i prawne) mogło mieć miejsce dopiero po uzyskaniu stosownego zezwolenia od Rady Ministrów. Formalnie do Rady Ministrów wnioski w tym zakresie mógł kierować przede wszystkim Minister Skarbu, a zatem w praktyce na pierwszym etapie była też wymagana jego zgoda.

Jeżeli natomiast jakkolwiek cudzoziemiec spróbowałby nabyć nieruchomość bez tego rodzaju zezwolenia – to ustawa z góry przesądzała o nieważności takiej transakcji. Tak więc zawarcie umowy – złożenie podpisów, dokonanie precyzyjnych ustaleń – nie powodowało żadnej zmiany skutków prawnych: dotychczasowy właściciel nieruchomości (sprzedawca) wciąż pozostawał właścicielem. Wśród nielicznych wyjątków od tej zasady można wskazać na przypadki nabycia nieruchomości przez cudzoziemców na podstawie dziedziczenia. Tutaj zezwolenie nie było potrzebne. Sama decyzja Rady Ministrów o wydaniu zezwolenia lub odmowie nie wymagała żadnego uzasadnienia ani nie podlegała zaskarżeniu.

W roku 1933 (6 kwietnia) dokonano nowelizacji ustawy. Zgodnie ze zmianami, zezwolenie było wydawane już nie przez rząd, ale przez ministra spraw wewnętrznych w porozumieniu z ministrem spraw wojskowych. Z uwagi na rozwój tego typu spraw i powiększającą się liczbę ludności słusznie stwierdzono, że zbyt skomplikowana procedura na najwyższym szczeblu nie jest potrzebna. Uznano, że sprawą nie musi zajmować się cały rząd, ale wystarczający jest tutaj

w zupełności udział dwóch ministerstw. Wciąż jednak decyzja ministra nie podlegała zaskarżeniu i nie wymagała żadnego uzasadnienia.

Polska Ludowa: kim jest cudzoziemiec

W okresie komunizmu zmiana ogólnych zasad funkcjonowania państwa miała znaczący wpływ na wykładnię poszczególnych aktów prawnych. O ile w czasach II RP decyzja w sprawie wyrażenia zgody na nabycie nieruchomości przez cudzoziemców była uznaniowa, o tyle w Polsce Ludowej stała się już zupełnie subiektywna. Przy okazji nowelizacji prawa cywilnego, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, zdecydowanie mocniej zaczęto akcentować różnicowanie podmiotów prawnych. Musiało to znaleźć również odzwierciedlenie w przepisach omawianej ustawy. Ustawodawca doprecyzował bowiem kategorie podlegających wskazanym wymogom cudzoziemców, wśród których poza osobą fizyczną bez obywatelstwa polskiego i osobą prawną mającą siedzibę za granicą wymienił „osobę prawną mającą siedzibę na terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, kontrolowaną bezpośrednio lub pośrednio” przez podmioty wskazane powyżej. Sposób rozumienia w ustawie zakresu pojęcia „cudzoziemców” był więc zdecydowanie szerszy od potocznego znaczenia tego słowa. Ostatnia z wymienionych grup „cudzoziemców” została wyodrębniona ze względu na zmieniające się stosunki gospodarcze dopiero 1 stycznia 1989 roku. Wówczas bowiem mogło się zdarzyć, że np. spółka kapitałowa założona w Polsce byłaby zarządzana przez obywateli innych państw.

Przedwojenna ustawa w UE

W III Rzeczypospolitej, wraz z radykalną zmianą stosunków gospodarczych,

społecznych i politycznych, zaistniała konieczność wprowadzenia dalszych zmian w ustawie o nabywaniu nieruchomości przez cudzoziemców. Zmiany wynikały również z zawierania przez Polskę umów międzynarodowych, w tym traktatów europejskich (przewidujących swobodny obrót ziemią). Mniejszą rolę zaczęły odgrywać kwestie związane z obronnością państwa oraz ingerencją państwa w gospodarkę, a w większym zakresie nowe regulacje wynikały z wymogów wolnego rynku. Dlatego na ministerstwo nałożono obowiązek uzasadniania ewentualnych odmów, a strona niezadowolona ze stanowiska ministra może je zaskarżyć do sądu administracyjnego. Zupełna arbitralność została więc wyeliminowana. Zezwolenie stało się również czasowe – jest wiążące przez dwa lata. Po upływie tego okresu cudzoziemiec musi je uzyskać na nowo.

Ponadto rozszerzono znacznie katalog sytuacji, w których zezwolenie na nabycie nieruchomości przez cudzoziemców nie jest wymagane. Dotyczy to m.in. lokali mieszkalnych czy powiązanych z nimi lokali użytkowych. Osobna sprawa to możliwość nabycia nieruchomości przez obywateli Unii Europejskiej (a ujmując to trochę szerzej – Europejskiego Obszaru Gospodarczego). Z zastrzeżeniem okresu przejściowego dla nieruchomości rolnych – obywatele ci obecnie nie potrzebują zgody ministra ani żadnego innego organu na nabycie nieruchomości.

Opisana na początku tekstu sprawa Michała i Ludwika również dzisiaj ma swoje konsekwencje: orzeczenie sądu w ich sprawie jest przywoływane jako wskazówka interpretacyjna obecnego brzmienia ustawy. Wydaje się, że w tym wypadku w zupełności sprawdziło się zachowanie przez prawie sto lat jednego aktu prawnego (również z uwagi na jego niewielką objętość). Dodatkowo, można go uznać za ciekawy i znaczący łącznik prawny między różnymi epokami naszej historii. 🍷

dr Maciej Nowak – radca prawny, właściciel kancelarii prawniczej w Szczecinie

USTAWY O OCHRONIE LOKATORÓW

ZA LATA 1929–1930.

Art. 1. W stosunku do
brak

ŹRÓDŁA PRAWA

Opisuje: ... Nr. 28, poz. 221)

... i usta-
... iu Prezy-
... rozporzą-
... (2).
... WY.

Szkiełko, nie oko

Patryk Pleskot



► „Dyplomatyczna” obserwacja zza szyby mercedesa; Przytoczna, 1966 rok

Fot. AIPN

Jedną z podstawowych form aktywności wywiadowczej zachodnich ambasad w Polsce Ludowej były próby penetrowania strategicznych obiektów wojskowych. W akcjach tych dyplomaci posługiwali się specjalistycznym sprzętem. Choć rzadko kiedy przypominał on gadzety Jamesa Bonda, i tak wzbudzał zazdrość wśród oficerów peerelowskiego kontrwywiadu.

Wterminologii Służby Bezpieczeństwa próby obserwacji infrastruktury militarnej, rozsia-nej po całej Polsce, określano mianem wywiadu wizualnego. Specjalizowali się w nim przede wszystkim fachowo wyszkoleni pracownicy attachatów wojskowych, działających przy ambasadach najważniejszych państw zachodnich (z USA, Wielką Brytanią i Francją na czele). Od czasu odwilży w 1956 roku, kiedy ta forma działalności mogła się rozwinąć, corocznie decydowali się średnio na kilkaset wyjazdów terenowych, z zamiarem dotarcia w okolice chronionych obiektów ludowego Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej.

Minifon, czyli dyktafon

Najczęstszą i najbardziej typową formą takich penetracji było fotografowanie (nierzadko wraz z filmowaniem) intere-

sujących obiektów. Była to metoda najskuteczniejsza: prostsza, szybsza i dokładniejsza w porównaniu z robieniem notatek, szkiców czy samą naoczną obserwacją; zapewniała ponadto natychmiastową dokumentację i tworzyła materiał do dalszych analiz. Krótki czas pobytu w pobliżu danego obiektu i przeciwdziałania podejmowane przez peerelowskie służby często uniemożliwiały prowadzenie wnikliwej obserwacji, dlatego wykonane fotografie, które można było później w spokoju analizować w bezpiecznym miejscu, stanowiły kluczowe źródło wiedzy. Skuteczność fotografowania brała się poza tym z dużej swobody dyplomatów (cieszących się immunitetami) oraz bezsilności polskich służb – w myśl obowiązującego w PRL kodeksu karnego było zakazane tylko fotografowanie noszące wyraźne znamiona szpiegostwa i ujawnienia tajemnicy państwowej, a to trudno było udowodnić.

By jednak móc wykorzystać te możliwości, trzeba było dysponować jak najlepszym sprzętem. Zatrzymany w 1968 roku podczas fotografowania lotniska wojskowego w Bydgoszczy attaché wojskowy USA miał przy sobie aparat fotograficzny marki Tessina oraz miniaturową kamerę filmową produkcji japońskiej. W tym czasie stosowano też aparaty i kamery działające na podczerwień. Okazywały się one bardzo przydatne w obserwacjach nocnych i w wykrywaniu zamaskowanych obiektów.

Aparaty i kamery nie były jedynym sprzętem specjalistycznym, który wykorzystywali dyplomaci. Dokumenty MSW z połowy lat osiemdziesiątych zawierają informacje, że pracownicy attachatów wojskowych w czasie wyjazdów w teren posługiwali się niekiedy specjalnie przygotowanymi ubraniami ochronnymi, umożliwiającymi podkradnięcie się w okolice penetrowanego obiektu. Na taki strój składały się np. gumowe skarpety i rękawice, zostawiające niewiele śladów, a także kurtki w kolorach ochronnych.

Od końca lat pięćdziesiątych podczas wyjazdów w teren amerykańscy (i zapewne nie tylko) dyplomaci stosowali dyktafony (nazywane w polskich źródłach

minifonami), na których na bieżąco nagrywali swoje uwagi, dzięki czemu nie musieli sporządzać notatek. Te ostatnie były niebezpieczne: gdyby wpadły w ręce peerelowskich służb, mogłyby stać się przyczyną skandalu dyplomatycznego. Dlatego też równolegle do technik dokumentacji rozwijano metody jej niszczenia. Według kontrwywiadu, pod koniec 1960 roku amerykańscy attaché wojskowi rozpoczęli próby wykorzystania bezwytuchowych granatów zapalających, które szybko i skutecznie niszczyłyby gromadzone podczas wypadów w teren materiały w razie zagrożenia ich przejęcia. Podobne granaty termiczne sprowadzono w kilku skrzyniach w 1961 roku do ambasady amerykańskiej. Nie wiadomo, na jaką skalę posługiwano się tą technologią.

Brytyjska superlada

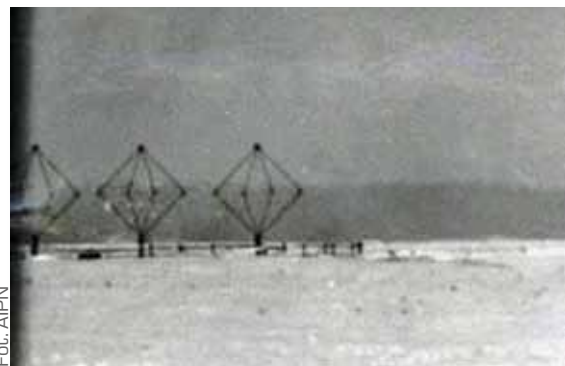
Aby zrobić notatki i zdjęcia danego obiektu, trzeba było najpierw do niego dojechać. Według danych polskiego kontrwywiadu, największe zachodnie ambasady dysponowały specjalnymi „supersamochodami”, dostosowanymi do zadań wywiadu wizualnego i wydatnie ułatwiającymi pracę w terenie. Na przykład w 1961 roku wóz służbowy attachatu wojskowego Kanady został w Londynie poddany gruntownemu tuningowi, w którego wyniku stał się maszyną niczym te z filmów szpiegowskich: zamontowano w nim ukryte reflektory, które ponoć potrafiły emitować promieniowanie podczerwone, a także m.in. urządzenie do wykonywania mikrofilmów. Służba Bezpieczeństwa uzyskała te informacje po włamaniu się do auta – widocznie Kanadyjczycy nie pomyśleli o rzeczy najprostszej: poprawie zabezpieczeń pojazdu.

W stosowaniu zaawansowanego sprzętu samochodowego celowali Brytyjczycy. W 1982 roku attachat wojskowy ambasady brytyjskiej miał sześć specjalnie przerobionych samochodów terenowych marek Land Rover i Range Rover, ponadto kilka samochodów osobowych marek BMW i Ford, a nawet jeden marki Łada. Niektóre modele miały specjalne czujniki rejestrujące każdorazowe otwarcie drzwi, pokrywę bagażnika czy też maski. We-

ług innego źródła, w tym samym roku brytyjski attachat sprowadził do Warszawy dwa pojazdy: range rovera i forda cortinę. Na terenie brytyjskiej bazy wojskowej w Mönchengladbach (RFN) samochody zostały poddane specyficznemu tuningowi: zamontowano w nich dodatkowe zbiorniki paliwa, bezpośrednio połączone z układem paliwowym, dodatkowe reflektory przeciwmgielne, elektryczne wyciągarki, a ponadto wbudowano kompas i lampy punktowe do czytania map.

Brytyjskie pojazdy dyplomatyczne przeznaczone do wyjazdów penetracyjnych zostały również wyposażone w silniki o zwiększonej mocy, ramę ochronną umieszczaną przed przednim zderzakiem (umożliwiająca przejazd przez zarośla i amortyzująca zderzenia), dodatkowe lusterka, specjalną instalację elektryczną do zaciemniania numerów rejestracyjnych, akumulatory o dużej mocy, dodatkowe ogrzewanie, a także zabezpieczenie podwozia, dzięki któremu samochód mógł przejechać przez wodę o głębokości do kilkudziesięciu centymetrów. Dodatko-

▶ Samochód użytkowany przez pracowników Przedstawicielstwa Handlowego RFN; Warszawa, początek lat siedemdziesiątych



Fot. AIPN

▶ Fotografia instalacji radarowej zrobiona przez amerykańskiego dyplomata, 1985 rok

we zbiorniki paliwa montowano do 1983 roku, później zrezygnowano z tego pomysłu. Stało się to po incydencie z 1 marca 1983 roku, kiedy to jeden z brytyjskich samochodów został ostrzelany przez wartowników pewnej jednostki wojskowej. Strzały padły po tym, jak Brytyjczycy nie zatrzymali się na wezwanie interweniującego patrolu i potrącili jednego z wartowników (tak przynajmniej utrzymywała strona polska). Jeden z pocisków omal nie przebił dodatkowego zbiornika na benzynę, co mogło doprowadzić ▶



Fot. AIPN

do katastrofy. Oprócz wymienionych udogodnień, nierzadko w trasę zabierano do pojazdów łopaty, wyciągarki ręczne, ekwipunek turystyczny i inny sprzęt przydatny w nieprzewidzianych sytuacjach.

Swoje „supersamochody” już na początku lat sześćdziesiątych mieli także Amerykanie. W styczniu 1961 roku attachat wojskowy ambasady USA zaopatrzył się w dwa nowe pojazdy marki International, przeznaczone specjalnie do wypadów terenowych. Miały one silniki o mocy 200 KM, dwa dyferencjały i rozwijały prędkość do 165 km na godzinę. Peerelowskie służby nie były w stanie ich dogonić – niekiedy więc dyplomaci nie musieli nawet zasłaniać się immunitetami, ponieważ mogli po prostu uciec śledzącym ich wywiadowcom obserwacyjnego Biura „B” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Dotyczyło to także dyplomatów francuskich. Na początku lat osiemdziesiątych pracownicy attachatu wojskowego Francji wykorzystywali do wyjazdów terenowych specjalnie sprowadzony model samochodu Renault 18, do którego nie mieli dostępu polscy kierowcy zatrudnieni w warszawskiej ambasadzie. Pojazd sprawiał niepozorne wrażenie: nie był ani duży, ani mały, pokryto go nieciekawym,

► Brytyjski dyplomata Paul Stephen Falla (ps. „Jan”, po prawej, w okularach), wicedyrektor Departamentu Studiów i Badań w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii; Warszawa, pl. Konstytucji, 1963 rok



Fot. AIPN

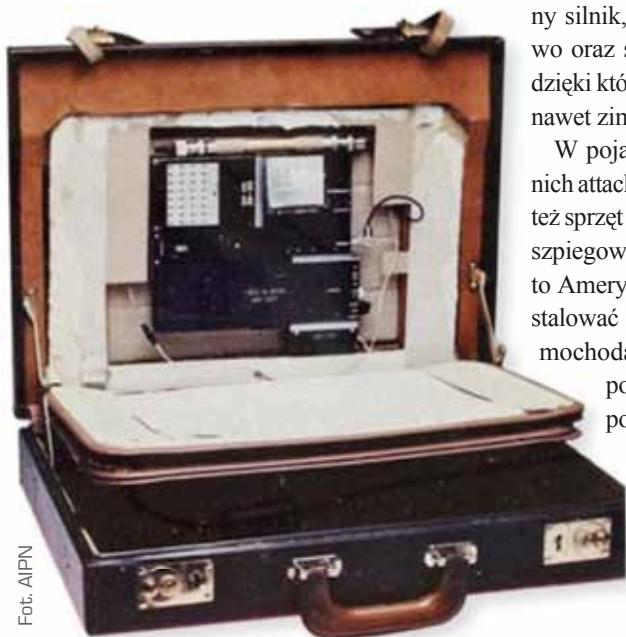
ciemnozielonym lakierem. Tymczasem, jak twierdziła SB, miał on wzmocniony silnik, zwiększony zbiornik na paliwo oraz specjalną instalację grzewczą, dzięki której można w nim było nocować nawet zimą.

W pojazdach należących do zachodnich attachatów wojskowych montowano też sprzęt przeznaczony do zadań typowo szpiegowskich. Według kontrwywiadu, to Amerykanie zaczęli najwcześniej instalować lub po prostu przewozić w samochodach elektroniczne urządzenia pomiarowe. Peerelowskie służby po raz pierwszy odnotowały taki przypadek w maju 1964 roku. Już pół roku później odkryto podobne urządzenia u Brytyjczyków. Jak podkreślano w MSW, miniaturowe, krótkofalowe aparaty nadawczo-pomiarowe służyły do monitorowania pracy specjalistycznych radiostacji woj-

skowych, a także stacji kierujących lotem pocisków balistycznych, przyrządów kontrolno-pomiarowych w raketach itp.

Chusteczka upadła!

W latach osiemdziesiątych pracownicy brytyjskiego attachatu wojskowego posługiwali się urządzeniami elektronicznymi o nazwie Radatec, które umożliwiały nasłuch oraz zakłócanie łączności polskich służb obserwacyjnych, penetrację radiową wojskowych jednostek radarowych i radiolokacyjnych, analizę promieniowania radiowego, a nawet nagrywanie rozmów prowadzonych między załogami samolotów wojskowych a ich naziemną obsługą. Uzyskane informacje, po zaszifrowaniu, były drogą satelitarną przekazywane do central wywiadowczych. Urządzenia te wykorzystywał m.in. brytyjski attaché lotniczy Anthony Ramus w latach 1982–1983. Miał on do dyspozycji nowoczesny radiodbiornik marki



Fot. AIPN

► Przekaznik łączności satelitarnej dalekiego zasięgu

Sony (model ICF 2002), charakteryzujący się świetnymi parametrami technicznymi i niewielkimi rozmiarami. Sprzęt ten wykorzystywał technikę mikroprocesorową i cyfrową. Dysponował programatorem dziesięciu częstotliwości i precyzyjnym mechanizmem kwarcowym. Jego zaletą było błyskawiczne dostrajanie do wybranej fali radiowej, emitowanej np. przez stację nadawczą. Był ponadto zaopatrzony w gniazdo do podłączenia przystawki telegraficznej i mógł służyć do analizy możliwości odbioru i słyszalności przekazu radiowego.

Oprócz obserwacji, fotografowania i nasłuchu, zachodni dyplomaci starali się pobierać próbki z terenu (np. brali garść ziemi pod pozorem podnoszenia upuszczonej chusteczki czy też liście drzew pod pozorem przypadkowego ich zerwania), które potem były analizowane przez specjalistyczne urzędnictwo pod kątem poziomu radioaktywności. Analizy te pozwalały zlokalizować strefy wzmożonego opadu promieniotwórczego, a dzięki temu – ustalić istnienie określonej aktywności wojskowej. W latach osiemdziesiątych pracownicy attachatu wojskowego USA w czasie wyjazdów w teren dysponowali ponadto elektronicznymi urządzeniami służącymi do wykrywania ładunków jądrowych.

Już wcześniej niektórzy dyplomaci byli wyposażeni w typowy zestaw miniaturowych gadżetów technicznych, służących do wykrywania rakiet różnego rodzaju. W jego skład wchodziły: detektor urządzeń radioelektronicznych, antena i potencjometr do ustalania zakresu fal emitowanych przed dane urządzenie oraz aparat do rejestracji wydawanych przez

nie dźwięków (minifon). W czasie pracy zestawu widoczna była tylko słuchawka umieszczona w uchu dyplomaty, przypominająca urządzenie dla niedosłyszących lub słuchawkę radia tranzystorowego. Mimo niepozornego wyglądu taki zestaw umożliwiał lokalizację bazy pocisków raketowych.

W aktywności dyptomatów zdecydowanie mniejsze znaczenie miało podsta-



► Japoński magnetofon kasetowy; dziś nikt by go nie uznał za miniaturę...

wowe od lat sześćdziesiątych narzędzie wywiadu wizualnego – satelity. To nie ambasady były ośrodkami stosującymi tę technologię, co najwyżej wykorzystywały zdobyte drogą satelitarną informacje przesłane im z central. W połowie lat osiemdziesiątych w MSW przyznawano, że zdjęcia wykonywane przez najnowocześniejsze satelity szpiegowskie państw NATO pozwalały na rozpoznanie przedmiotów o średnicy 15 cm. Satelity stawały się wówczas dokładniejsze niż lornetki i aparaty penetrujących teren dyptomatów.

Koniec wycieczek

Mimo to jeszcze w 1990 roku w dokumentach MSW pisano o aparaturze fotograficznej, filmowej, urządzeniach na podczerwień czy miniaturowych aparatach nadawczych jako o podstawowych instrumentach wywiadu wizualnego, wykorzystywanych przez dyptomatów w penetracji obiektów strategicznych.

Polski kontrwywiad, zapewne świadomy swego narastającego zacofania technologicznego, mnożył w tym czasie coraz śmielsze przypuszczenia

dotyczące nowych możliwości szpiegowskich zachodnich służb specjalnych, działających w krajach rozpadającego się właśnie bloku wschodniego. Wśród „ujawnionych środków wywiadu technicznego” wymieniano: elektroniczne urządzenia podsłuchowe, instalowane na podziemnych lub podwodnych kablach łączących ważne obiekty strategiczne, a umożliwiające zdalne sterowanie i automatyczny odbiór; zautomatyzowane minilaboratorium ukryte w kontenerze kolejowym, wyposażone w atomowe źródło zasilania, dokonujące pomiarów najróżniejszych rodzajów promieniowania i sporządzające fotograficzną dokumentację przebytej trasy; czy też elektroniczne czujniki promieniowania, imitujące pień lub gałęzie drzewa, instalowane w pobliżu obiektów strategicznych i przekazujące wyniki pomiarów dzięki systemom satelitarnym.

Nie sposób stwierdzić, czy któreś z tych urządzeń było stosowane przez dyptomatów. Nie jest również pewne, na ile wiedza służb była zgodna z rzeczywistością; czy niektórych możliwości nie przeceniano, a innych – w ogóle nie dostrzegano. Wydaje się, że nowa rzeczywistość przewartościowała działania attachatów wojskowych, i to nie tylko z przyczyn politycznych. Bardzo szybki rozwój technologii obserwacyjnych sprawił, że wycieczki dyptomatów w teren stały się po prostu niepotrzebne. 🇺🇸

dr Patryk Pleskot – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w Warszawie; ostatnio wydał *Kłopotliwa panna „S”* (2013)



► Nadajnik radiowy udający zwykły magnetofon



Fot. AIPN

► Japońskie radio tranzystorowe



Fot. AIPN

► Danuta Wałęsa i jej syn Bogdan prezentują pokojową Nagrodę Nobla odebraną w imieniu Lecha Wałęsy



Fot. PAP

Nobel dla Lecha, Nobel dla Solidarności

Grzegorz Majchrzak

30 lat temu ogłoszono decyzję o przyznaniu przewodniczącemu NSZZ „Solidarność” Lechowi Wałęsie pokojowej Nagrody Nobla. Dla zwykłych Polaków i działaczy opozycji była ona powodem do radości, a dla przywódców PRL – przykrą porażką.

5 października 1983 roku Norweski Komitet Noblowski przyznał (po raz pierwszy i jak dotąd jedyny) pokojową Nagrodę Nobla Polakowi – Lechowi Wałęsie, przewodniczącemu Solidarności zdelegalizowanej rok wcześniej przez władze peerelowskie.

Werdykt

Dwa miesiące później – podczas uroczystości wręczenia nagrody – przewodniczący komitetu Egil Aarvik, uzasadniając ten werdykt, stwierdził, że dokonania Wa-

łęsy mają „kluczowe znaczenie dla pracy w celu utwierdzenia wolności organizowania się we wszystkich krajach”. Dodał, że starania przewodniczącego Solidarności „o zapewnienie robotnikom prawa do zakładania własnych organizacji są ważnym wkładem do kampanii na rzecz uniwersalnych praw ludzkich”. Podkreślał również przyjętą przez Lecha Wałęsę i Solidarność metodę działania pokojowego, założenie, że „wszystkie problemy należy rozwiązywać bez odwoływania się do przemocy” oraz postawienie przez niego na rozmowy i porozumienie. „Tą

ideą wspólnoty kierował się [...] zapalając pochodnię Solidarności. Podniósł pochodnię bezbronny. Środkami jego walki było słowo, myśl, przekonanie o wolności i prawach człowieka. I tak jak w innych przypadkach, walka jego musiała toczyć się z ogromnymi osobistymi poświęceniami – mimo iż chodziło o coś tak prostego, jak zagwarantowanie robotnikom prawa do tworzenia własnych organizacji, prawa przyjętego w deklaracji narodów świata o prawach człowieka”. Całkiem słusznie Aarvik przewidywał: „Przyszłość zapamięta jego imię jako jednego z tych, którzy przyczynili się do powiększenia dziezictwa wolności człowieka”.

Wściekłość władz PRL...

Nagroda ta miała oczywiście wymiar polityczny. Była ogromnym wsparciem dla podziemnej Solidarności. Doskonale zdawały sobie z tego sprawę władze PRL, które przyjęły ją z ogromną niechęcią, wręcz agresją. Ich oficjalne stanowisko zaprezentował podczas jednej ze swych słynnych konferencji rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban. Stwierdził on, że jest to „zapłata dla ludzi, którzy działają na szkodę kraju” oraz „kolejna reaganowska złośliwość, tym razem firmowana z Oslo”. Z kolei „Trybuna Ludu”, organ rządzącej krajem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, komentowała: „Jury pokojowej Nagrody Nobla postanowiło i w tym roku określić się jako narzędzie w konfrontacyjnej grze – tym razem przeciwko Polsce, przeciwko socjalizmowi”. Za tymi słowami poszły czyny. 11 października 1983 roku władze PRL wysłały do rządu Norwegii oficjalny protest przeciwko uhonorowaniu przewodniczącego Solidarności. Warto przypomnieć, że był to dopiero drugi taki przypadek w historii – wcześniej na taki krok zdecydował się jedynie przywódca III Rzeszy Adolf Hitler, gdy w 1936 roku pokojową Nagrodę Nobla za rok 1935 otrzymał niemiecki pisarz i pacyfista Carl von Ossietzky, przebywający w szpitalu pod nadzorem gestapo, a wcześniej więziony w obozie koncentracyjnym.

Ekipa Wojciecha Jaruzelskiego nie ograniczyła się do działań oficjalnych. Za

winnych zaistniałej sytuacji uznano władze Norwegii – nie przyjmując do wiadomości, że mogą one nie mieć wpływu na działalność prywatnej instytucji – oraz Stany Zjednoczone i Republikę Federalną Niemiec jako kraje czynnie wspierające kandydaturę Lecha Wałęsy. Zdecydowano się zatem na wiele kroków odwetowych wobec tych państw, takich jak np. usztywnienie polityki wizowej w stosunku do Norwegii czy ograniczenie wyjazdów kulturalnych i naukowych do USA. Towarzyszyć temu miało nasilenie akcji propagandowej przeciwko Stanom Zjednoczonym, również w zakresie naruszania przez nie praw człowieka... Z kolei Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk (cenzura) wprowadził czasowy zapis na słowa: „Norwegia”, „norweski”. W rezultacie np. w programie telewizyjnym nie można było podać informacji, że Henrik Ibsen, autor sztuki pokazywanej w telewizji, jest Norwegiem!

...i radość podziemnej Solidarności

Przywódcom PRL trudno się dziwić. To nie była tylko nagroda dla Wałęsy – „osoby prywatnej”, jak próbowano go wówczas przedstawiać w propagandzie, lecz także dla kierowanego przez niego zdelegalizowanego związku czy szerzej

– opozycji stanu wojennego. Pisał zresztą o tym sam laureat 24 października 1983 roku w liście do Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom: „Dziękuję Wam za serdeczne słowa z okazji Nagrody Nobla, dziękuję również za tę nagrodę, bo jak nigdy – jest ona wspólnym dziełem. Pracował na nią Prymasowski Komitet w Warszawie i innych miastach, nasi więzieni koledzy i ukrywający się, śp. Grzesiu [tak w oryginale] Przemyski i tysiące anonimowych osób. Wszystkim im składam dziś serdeczne dzięki”.

Oczywiście, wyróżnienie dla przewodniczącego Solidarności z zadowoleniem przyjęły władze podziemnej opozycji. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” w oświadczeniu wydanym z tej okazji 5 października pisała: „Decyzja ta jest wyrazem uznania dla dotychczasowej działalności Lecha Wałęsy, ale jest też odpowiedzią na blisko roczną kampanię oszczerstw prowadzoną przeciwko przewodniczącemu »Solidarności« przez partyjną propagandę”. Dla społeczeństwa polskiego, jak słusznie stwierdzała TKK, decyzja Norweskiego Komitetu Noblowskiego była „potwierdzeniem słuszności obranej w Sierpniu 1980 r. drogi i metody walki o prawo do prawdy i wolności, prawo ▶



▶ Danuta Wałęsa (z prawej) wraz z synem Bogdanem odbiera w imieniu męża pokojową Nagrodę Nobla

do swobodnego zrzeszania się. Te podstawowe wartości są bowiem nieodłącznym składnikiem pokoju”.

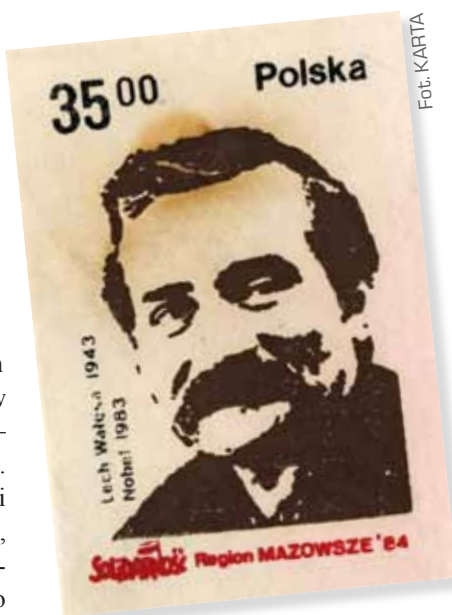
Nie inaczej było w przypadku pozostałych środowisk opozycyjnych. Jak wynika z danych zebranych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, przyznanie Nagrody Nobla Wałęsie miało wywołać euforię zarówno wśród „solidarnościowej ekstremy”, jak i byłych działaczy Komitetu Obrony Robotników – środowisk, z którymi w latach 1980–1981 nie zawsze było Wałęsie po drodze.

Z kolei zwolennicy Solidarności z Trójmiasta świętowali pod blokiem, w którym mieszkał jej przewodniczący. Śpiewali mu „Sto lat...”, bili brawo i skandowali: „Lechu, Lechu”. I niemalże wnieśli go na rękach do jego mieszkania. Rozeszli się do domów dopiero w późnych godzinach wieczornych na jego osobiste wezwanie.

W imieniu męża

Lech Wałęsa nie zdecydował się na osobisty odbiór Nobla w Oslo. Obawiał się, że władze PRL nie wpuszczą go z powrotem do kraju. Takie pogłoski rozsiewały w celu zniechęcenia go do podróży do Norwegii Służba Bezpieczeństwa i jej agentura.

Ostatecznie więc 10 grudnia 1983 roku nagrodę odebrała jego żona Da-



Fot. KARTA

nuta (z synem Bogdanem). Odczytała też przemówienie męża – owacyjnie przyjęte przez zgromadzonych. Warto w tym miejscu dodać, że uroczystość ta cieszyła się niespotykanym wcześniej zainteresowaniem mediów, oczywiście zachodnich. A później z tarasu hotelu, w którym mieszkała, Danuta Wałęsa mogła pozdrawiać tłumy Norwegów demonstrujących poparcie dla Solidarności i jej męża. Nic zatem dziwnego, że – jak później podkreślała – „przeżycie było niezwykle”.

Dzień po ceremonii oficjalną przemowę w imieniu laureata wygłosił Bohdan

Cywiński, przebywający na emigracji od wprowadzenia stanu wojennego (początkowo przewodniczącego Solidarności miał reprezentować Tadeusz Mazowiecki, ale nie otrzymał paszportu od władz peerelowskich). Padły m.in. słowa: „Przyjmuję tę nagrodę z całym szacunkiem dla jej rangi i zarazem z poczuciem, że wyróżnia ona nie mnie osobiście, lecz jest nagrodą dla »Solidarności«, dla ludzi i spraw, o które walczyliśmy i walczymy w duchu pokoju i sprawiedliwości. [...] Nie godzimy się z przemocą. Nie pogodzimy się z odebraniem nam wolności związkowej. Nie pogodzimy się z więzieniem ludzi za przekonania. Bramy więzień muszą się otworzyć: trzeba uwolnić ludzi skazanych za obronę praw związkowych i obywatelskich”.

Uroczystości towarzyszyła kilkunastotysięczna demonstracja poparcia dla Solidarności zorganizowana przez organizację Solidaritet Norge-Polen oraz norweskie związki zawodowe. Mimo dwunastostopniowego mrozu wzięło w niej udział kilkanaście tysięcy mieszkańców Oslo.

Cel: nie dopuścić do Nobla dla Wałęsy

Na koniec trzeba przypomnieć, że peerelowskie władze podejmowały działania (zarówno oficjalne – kanałami MSZ, jak i nieoficjalne, tajne – Służba Bezpieczeństwa), aby nie dopuścić do przyznania pokojowej Nagrody Nobla przewodniczącemu Solidarności. Nie sposób dzisiaj stwierdzić, czy przyniosły one oczekiwany skutek. W każdym razie Wałęsa oczekiwanego wyróżnienia nie otrzymał rok wcześniej, co było dla niego sporym rozczarowaniem.

W ramach działań prowadzonych przez Biuro Studiów (elitarną jednostkę MSW wykorzystywaną do walki z opozycją, zwłaszcza Solidarnością) spreprowano i najprawdopodobniej przesłano do ambasady Norwegii oraz do członków Norweskiego Komitetu Noblowskiego dokumenty na temat rzekomej współpracy Wałęsy z SB w czasie jego działalności w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża i przywództwa

► Lech Wałęsa słucha w radiu informacji o odebraniu przez żonę przyznanej mu Nagrody Nobla; z prawej – ks. Henryk Jankowski



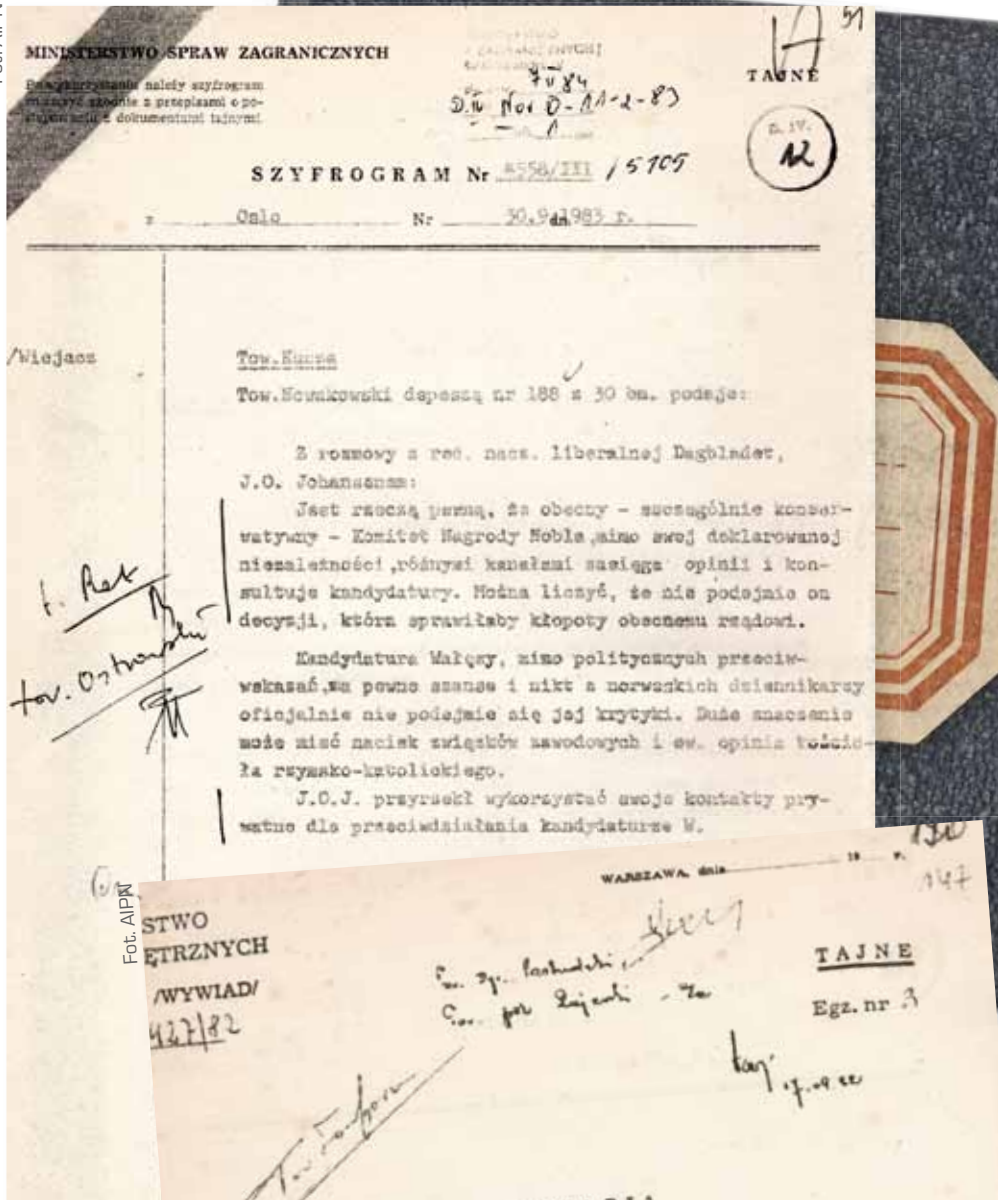
Fot. Wojciech Krynski / FORUM

w związku. Ponadto upowszechniono na Zachodzie odpowiednio wcześniej zmontowany „zapis” tzw. rozmowy braci (czyli Lecha Wałęsy i jego brata Stanisława) podczas internowania przewodniczącego Solidarności w Arłamowie w 1982 roku. Krótco przed ogłoszeniem werdyktu komitetu noblowskiego wyemitowano zaś w Telewizji Polskiej program zatytułowany *Pieniądze*, w którym zaprezentowano starannie dobrane fragmenty rozmowy. Ponieważ obaj świętowali wtedy (wódka i szampanem) urodziny przewodniczącego Solidarności, nietrudno było dobrać odpowiednie fragmenty kompromitujące Lecha Wałęsę (np. jako nie-szczerego katolika).

Bezcynne nie pozostawało również Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Pod koniec września 1983 roku, w związku z informacjami agencyjnymi o ponownym wysunięciu Wałęsy do pokojowej nagrody Nobla, zaleciło ono polskiemu dyplomatom w Oslo złożenie „wizyty na wysokim szczeblu” i przedstawienie stanowiska władz PRL w tej kwestii. Mieli oni akcentować postępującą w Polsce „normalizację sytuacji” oraz toczący się rzekomo „szeroki dialog społeczno-polityczny i gospodarczy między różnymi patriotycznymi siłami (w tym Kościołem)”. A także ostrzegać, że ponowne wysunięcie kandydatury przewodniczącego Solidarności może zostać w tej sytuacji „odczytane tylko jako chęć utrudnienia procesów stabilizacyjnych”. Z kolei ewentualne przyznanie mu nagrody „będzie politycznym aktem poparcia dla sił ekstremalnych w Polsce”. Ponadto miało się ono przyczynić „do dalszej komplikacji i tak napiętych już stosunków międzynarodowych”. Nasi dyplomaci mieli również wyrażać (w imieniu władz peerelowskich) nadzieję, że rząd norweski w trosce o sytuację międzynarodową „podejmie właściwe kroki w tej sprawie”. Działania ambasady PRL w Oslo nie przyniosły jednak oczekiwanych rezultatów. ❗

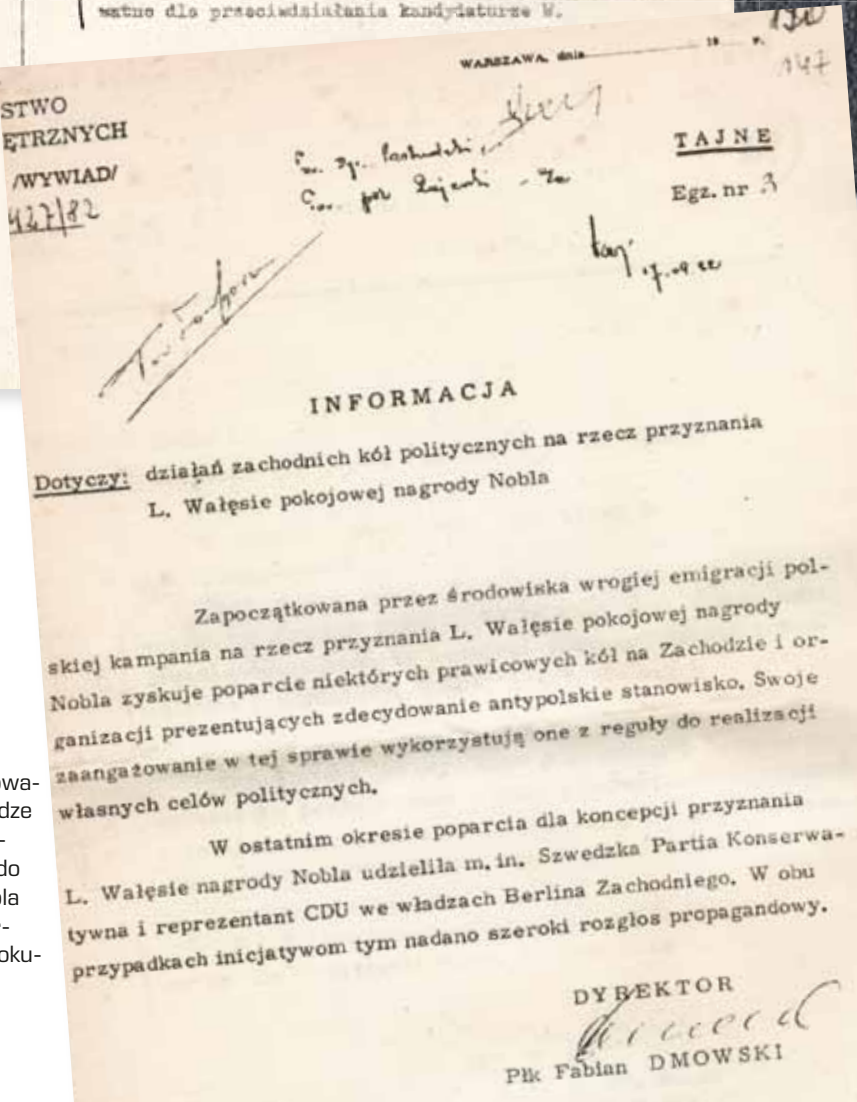
dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Fot. AIPN



► Próby blokowania przez władze PRL kandydatury Wałęsy do Nagrody Nobla mają odzwierciedlenie w dokumentach

Fot. AIPN



Wszystkie oblicza wojny

Paweł Sasanka

Poszarpane odłamkami i strzaskane płyty chodników, dramatyczne życiorysy, kilka zdjęć ludzi i miejsc – tak poznamy trzy historie: Wielunia, Rotterdamu, Drezna. I piekła na ziemi, które stało się udziałem ich mieszkańców.

To prolog, od którego rozpoczyna się zwiedzanie drezdeńskiego Muzeum Historii Wojskowości, otwartego w 2011 roku po przebudowie trwającej kilka lat. Niesie on czytelne przesłanie. Zagłada Drezna, która jest centralnym punktem narracji, była konsekwencją zbrodniczych – od pierwszych chwil – metod prowadzenia wojny przez III Rzeszę. „Mało kto w Niemczech wie, że to Wieluń był pierwszym celem Luftwaffe i to właśnie od tego ataku na spokojne polskie miasto, pozbawione jakichkolwiek celów militarnych, rozpoczęła się II wojna światowa” – mówił Sebastian Bangert, jeden z autorów ekspozycji. Z wystawą i jej przesłaniem współgra sam budynek i jego niezwykła architektura.

Pomnik Niemców – narodu ofiar?

Neoklasycystyczny budynek arsenału z 1877 roku pełnił funkcję muzeum militarnego od roku 1897 (z przerwami) – położenie na obrzeżach centrum miasta pozwoliło mu przetrwać alianckie bombardowania pod koniec wojny. W istocie

było to miejsce kultu siły niemieckiego oręża w kolejnych odsłonach: wojska saskiego, hitlerowskich Niemiec (w latach 1940–1945), a od roku 1972 – armii NRD.

W 1990 roku muzeum przeszło na własność Bundeswehry i zostało przemianowane na Muzeum Historii Wojskowości. Jego przebudowa trwała siedem lat i kosztowała 62,5 mln euro. Obecnie jest jednym z głównych muzeów historycznych w Niemczech i zarazem jednym z największych muzeów wojskowych w Europie. Na liczącej 13 tys. metrów kw. powierzchni zaprezentowano 10 tys. eksponatów z miliona (sic!) przechowywanych w magazynach. W ciągu dwunastu miesięcy od ponownego otwarcia w październiku 2011 roku muzeum odwiedziło ok. 500 tys. zwiedzających.

W związku z ponownym otwarciem placówki w niemieckich mediach padły pytania: po co Bundeswehrze takie muzeum? I czy powinno powstać akurat w Dreźnie?

Przypomnijmy: 13 i 14 lutego 1945 roku lotnictwo brytyjskie i amerykańskie przeprowadziło naloty dywanowe na Drezno, skoncentrowane przede wszystkim na Starym Mieście. Wykorzystane wówczas bomby zapalające wywołały burzę ogniową, która w śródmieściu zrównała z ziemią obszar ok. 39 km kw. Liczba

ofiar bombardowania wciąż jest przedmiotem sporów ze względu na fakt, że w mieście mogło przebywać nawet do 400 tys. uchodźców i robotników przymusowych: pod koniec wojny Drezno uchodziło za bezpieczne z racji położenia w głębi kraju oraz braku znaczących obiektów militarnych i przemysłowych. Propaganda nazistowska mówiła o 200 tys. zabitych, według ustaleń specjalnej komisji powołanej przez władze Saksonii w 2011 roku liczba ofiar nie przekroczyła 25 tys.

Zniszczenie Drezna stało się symbolem w ważnej i głośniejszej debacie na temat sensu alianckich nalotów na niemieckie miasta pod koniec wojny. Głosy uzasadniające bombardowania potrzebą złamania niemieckiego potencjału przemysłowego i morale ludności zderzyły się z argumentacją wskazującą na ich niewielką skuteczność militarną. Fabryki ewakuowano wcześniej na prowincję, gdzie kontynuowano produkcję zbrojeniową, determinacja i wola walki ludności wskutek nalotów rosły, analogicznie zresztą do postaw mieszkańców Londynu bombardowanego przez Niemców. W debacie pojawił się zarzut, skądinąd zgodny ze spotykanym w Niemczech poglądem, o nieuzasadnionej względami militarnymi żądze odwetu Anglików za naloty Luftwaffe na miasta brytyjskie.

▶ Trasę zwiedzania muzeum otwierają płyty z trzech zbombardowanych w czasie wojny miast: Wielunia, Drezna i Rotterdamu; w jednej z gablot pokazany jest „zamrożony” wybuch pocisku (zdjęcie w tle)

W tym kontekście jest oczywiste, że otwarciu muzeum wojennego – właśnie w Dreźnie – towarzyszyła obawa o to, jakie będzie jego przesłanie. Czy Niemcy zakończyli rozrachunek z ciężarem winy jako sprawcy wojny – największej katastrofy w dziejach ludzkości? Czy kosztowne muzeum będzie kładło nacisk przede wszystkim na to, że byli też jej ofiarami? Przywołany na wstępie prolog jest jednym z dowodów świadczących o tym, że tak nie jest, a część dotycząca II wojny światowej została przedstawiona rzetelnie.

Zapewne liczyła się też symbolika związana z ulokowaniem muzeum w tym konkretnym budynku. Wilhelmiński arsenał, w przeszłości służący gloryfikacji niemieckiej wojskowości, obecnie jest miejscem demistyfikacji niechlubnej przeszłości niemieckiego militarizmu, przedstawiającym m.in. krwawe zdławienie powstania ludu Herero przez cesarską armię na początku XX wieku na ziemiach dzisiejszej Namibii. Raz jeszcze przypomnijmy: powstanie stłumiono krwawymi masakrami i akcjami pacyfikacyjnymi. Rdzenną ludność zamykano w obozach koncentracyjnych, w których zmuszano ją do pracy ponad siły i głodzono, licząc na śmierć z wycieńczenia. Łącznie zginęło co najmniej 65 tys. Hererów (ok. 80 proc.) i połowa z dwudziestotysięcznej populacji sąsiedniego ludu Nama. Historycy zgadzają się, że celem było planowe wyniszczenie narodu, a zbrodnia ta jest dziś postrzegana w kategoriach przystanku na drodze do Holokaustu.

Dawny budynek arsenału ma być obecnie wizytówką Bundeswehry jako odcinającej się od przeszłości, nowoczesnej armii demokratycznego państwa. Jak już wspomniano, jeszcze bardziej wymowna i mająca ścisły związek z misją muzeum jest zaskakująca architektura budynku.

Architektura, która mówi

„Nie było moim zamiarem, aby zachować fasadę muzeum i po prostu dodać niewidoczne przedłużenie z tyłu. Chciałem stworzyć śmiałą przerwę, dyslokację, przeniknąć historyczny arsenał i stworzyć nowe doświadczenie. Ta architektura jest zaangażowana spo-

► Zwierzęta i wojna: symbol pokoju wprzęgnięty w tryby wojny

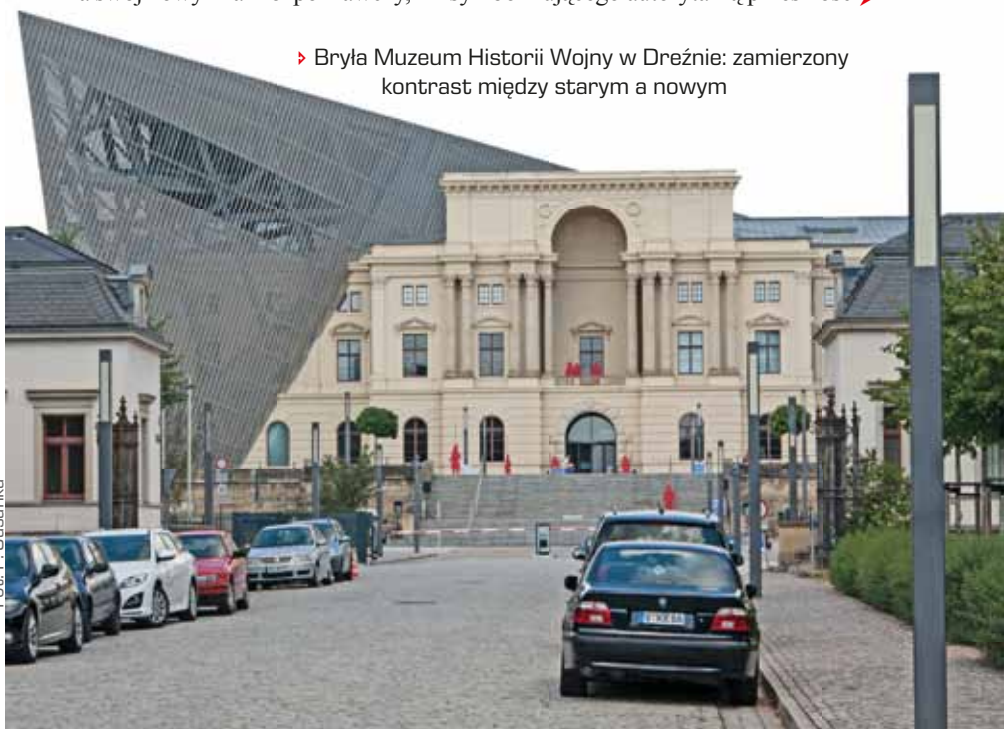
łecznie i dotyka zasadniczych kwestii, takich jak zorganizowana przemoc, wojna i historia wpływająca na los miasta, kwestii nierozdzielnie ze sobą związanych” – mówił o swoim dziele słynny architekt Daniel Libeskind, zwycięzca międzynarodowego konkursu architektonicznego na przebudowę muzeum.

W tym roku przyznano mu prestiżową nagrodę Micheletti Award w uznaniu innowacyjności projektu, który łączy neoklasykistyczną część z nowoczesną przestrzenią powstałą ze 140 ton szkła, betonu i stali. Architekt, unikający projektów grzecznych i miłych dla oka, słynie z wykorzystywania zastanych struktur do kontreakcji. Jego prace często wzbudzają skrajne odczucia: jedni uważają je za prowokacyjne i ignoranckie, inni za oryginalne i fascynujące. Tak było też w tym przypadku, wobec którego naprawdę trudno zachować obojętność: wyraziła architektura MHW od samego początku dzieli mieszkańców Drezna i zwiedzających muzeum. Faktem jest, że miasto ma swój nowy znak rozpoznawczy,

co w dużej mierze zawdzięcza właśnie Libeskindowi.

Uwagę osoby stojącej przed muzeum przyciąga wznoszący się 30 metrów w górę klin ze stali i szkła wbity w klasycystyczny budynek. Sprawia tym samym wrażenie, jakby spadł z nieba i rozłupał stary arsenał. Rzut oka na plan muzeum pozwala stwierdzić, że ów klin ma kształt litery V i nawiązuje formą do wachlarzowego dywanu bombowego lub samolotu, a jego wierzchołek jest wymierzony w stronę śródmieścia, zrównanego z ziemią w czasie nalotu z 1945 roku. Jest jasne, że zagłada Drezna odgrywa w koncepcji Libeskinda ogromną rolę – to symbolika zniszczenia. Jego przesłanie jest oczywiste, ale zarazem wieloznaczne. Wskazywano na kontrast nowej, otwartej i przejrzystej fasady z nieprzezroczystością i sztywnością starego budynku – zderzenie budynku symbolizującego autorytarną przeszłość ►

► Bryła Muzeum Historii Wojny w Dreźnie: zamierzony kontrast między starym a nowym





Fot. P. Sasanka

► Nie ma wojny bez kalectwa; w gablotach: protezy należące do osób, które ucierpiały w wyniku wojny, m.in. do kambodżańskiego czternastoletka

z otwartością społeczeństwa demokratycznego. Raz jeszcze oddajmy głos Libeskindowi: „Dramatyczne rozszerzenie jest symbolem zmartwychwstania Drezna z popiołów. Chodzi o przeciwstawienie tradycji i innowacji, nowego i starego. Drezno jest miastem, które zostało zasadniczo zmienione; wydarzenia z przeszłości to nie dodatek, przypis – są one kluczowe dla transformacji i obrazu miasta dzisiaj” – podkreśla architekt. Współ-

granie tych perspektyw stanowi o charakterze nowego muzeum.

Z wysokiej na 30 metrów platformy widokowej umieszczonej w najwyższej części klina roztacza się panorama odbudowanego miasta. Platforma ta jest drugim przystankiem w zwiedzaniu po prologu poświęconym bombardowaniom Wielunia, Rotterdamu i Drezna. To wprowadzenie pozwala zwiedzającemu zorientować się, że wystawa daleka jest od gloryfikacji wojska lub fascynacji techniką wojskową.



► Przykład mody inspirowanej militariami



Fot. P. Sasanka

Człowiek a przemoc

W nowoczesnych muzeach wojskowości tradycyjna perspektywa apoteozy wojska i narodowej wojskowości coraz częściej ustępuje miejsca chłodnej dokumentacji. W tym muzeum posunięto się znacznie dalej. Zarówno architektura budynku, jak i stała wystawa stanowią wyzwanie dla klasycznej narracji o tym, czym są wojsko i wojna – przeciwstawiając sobie tradycję i innowację, stare i nowe interpretacje historii wojskowej. Wystawa umożliwia zwiedzającemu inne niż dotychczas spojrzenie na – zdawałoby się znane – wydarzenia, procesy, eksponaty. Celem jest skłonienie widza do refleksji. Nie ma tu jednak prostej, jednoznacznej narracji ani śladu łatwych odpowiedzi na nasuwające się pytania.

Muzeum dreźnieńskie – w odróżnieniu od wielkich muzeów w Paryżu i Londynie – opowiada nie tylko o wojskowości i militariach, lecz także o całej historii Niemiec widzianej przez pryzmat wojskowości. Wojsko jest tu rozumiane nie tylko jako instytucja, ale również jako bardzo ważny czynnik życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego i publicznego – w istocie czynnik obecny w każdym aspekcie życia człowieka. Prezentacja historii wielowiekowej kultury przemocy i kultu siły oraz analiza przyczyn wojen jest potrzebna, aby zrozumieć ludzką naturę, której częścią jest wojna. W istocie celem wystawy jest skonfrontowanie zwiedzającego z drzemiącym w nim i w każdym człowieku potencjałem agresji, który w określonych warunkach znajduje ujście w zorganizowanej przemocy militarnej. Jest to zatem opowieść o przemocy, ukazanej w kontekście historycznym, kulturowym i antropologicznym. Przez skłonienie do refleksji nad tak ważnymi tematami, jak śmierć, strata, cierpienie, zniszczenia – wystawa prowokuje do dyskusji nad rolą wojska, istotą wojny i przemocy oraz ich skutkami.

Wojna i rzemiosło wojenne są pokazywane również – a może przede wszystkim – z perspektywy ofiar konfliktów zbrojnych. Jest tu prezentowana m.in. proteza nóg należąca do czternastoletniego kambodżańskiego chłopca; moż-

► Plakat wyborczy NSDAP adresowany do byłych żołnierzy z czasów I wojny światowej



na obejrzyć preparaty medyczne ekspozujące typowe i najczęściej śmiertelne obrażenia wojenne. Wojna jawi się jako okrucieństwo, które nie ma w sobie nic szlachetnego – co demitologizuje atrakcyjność i heroiczny czar prezentowanych militariów. Ekspozycje tego muzeum odzwierciedlają zmianę dotychczasowego sposobu myślenia: zadaniem współczesnej niemieckiej armii nie jest już podbijanie państw i wygrywanie wojen; głównym celem staje się unikanie ofiar – tak własnych, jak i obcych. W którym wojskowym muzeum można zobaczyć zniszczony przez wroga pojazd własnych sił zbrojnych? W Dreźnie stoi podziurawiony odłamkami samochod patrolowy Bundeswehry, uszkodzony w bombowej zasadzce w Afganistanie.

Fot. P. Sasanka



Maszyna w maszynie zbrodni

Pojawienie się nowych, niekonwencjonalnych wnętrza w obrębie „klina” pozwoliło na konsekwentne wyodrębnienie dwóch różnych działów. W pomieszczeniach starego budynku zaprezentowano – chronologicznie i dość konwencjonalnie – rzemiosło wojenne oraz dzieje konfliktów zbrojnych. Chronologiczną podróż przez niemiecką historię podzielono na trzy działy: od późnego średniowiecza do 1914 roku, epokę wojen światowych i od 1945 roku do współczesności.

W nowych pomieszczeniach, znajdujących się w obrębie „klina”, umieszczono prezentację dwunastu – niekiedy zaskakujących – aspektów wojny i wojskowości. Są to m.in.: „Wojna i pamięć”, „Wojna i zabawa”, „Zwierzęta i wojsko”, „Śmierć i cierpienie na wojnie”, „Militaria i technologie”. Niektóre elementy ekspozycji zaprojektowano z myślą o tych zwiedzających, którzy nie mają wielkiego pojęcia o wojskowości, tak aby ułatwić jej poznanie. Charakterystycznymi składnikami nowej przestrzeni są wysokie, betonowe pomieszczenia.

Stosowany w kilku salach sposób prezentacji eksponatów jest niekomfortowy dla zwiedzającego. Widz jest zmuszony do wchodzenia między stojące blisko siebie kilkumetrowe gabloty; brak tu miejsca na zrobienie kroku do tyłu, choć do obejrzenia niektórych eksponatów jest to wprost nieodzowne. Ma się wrażenie przytłoczenia. Uczucie irytacji wywołanej dyskomfortem, choć bywa postrze-

► Najprostsze przyrządy biurowe też były elementami wojennej maszyny; na zdjęciu: maszyna do pisania znaleziona w biurze Hitlera

gane jako postmodernistyczna maniera projektantów ekspozycji, zapewne nie pojawia się przypadkowo. Niemniej w czasie oglądania tego fragmentu wystawy

mogą pojawić się wątpliwości w związku z zastosowaną tu metodą świadomego wywoływania emocji, prowokowania, odważnego zestawiania eksponatów – czy powinien to być cel nadrzędny?

Całość – mimo ciągłego konfrontowania starego z nowym – jest utrzymana w stylu charakterystycznym dla niemieckiego muzealnictwa. Jest on dość ►

► Jeden z eksponatów działu poświęconego wielowiekowemu związkowi muzyki z wojskowością

Fot. P. Sasanka





Fot. P. Sasanka

tradycyjny, z dużym naciskiem na informację i ekspozycje, a nie scenografię, multimedia i efekty specjalne. Dzięki temu nie ma mowy o infantyilizacji ekspozycji, z wystawy można się dużo dowiedzieć. Wiele ekspozycji robi wrażenie, choć często równie ważny jest tekst komentarszy, którego celem jest wprowadzenie w kontekst, zapobieżenie banalnej fascynacji i nakłonienie do refleksji. Tak jest np. w przypadku przedziewałej maszyny do pisania, prezentowanej w dziale poświęconym dyktaturze i biurokracji. Dowiadujemy się więc, że podstawą nowoczesnej dyktatury nazistowskiej była bardzo rozbudowana

► Fragment ogromnej kolekcji militarnych zabawek, dawnych i współczesnych; z prawej – zabawkowy czołg spalony podczas bombardowania Drezna



Fot. P. Sasanka

Fot. P. Sasanka

i scentralizowana biurokracja: to tysiące urzędników było odpowiedzialnych za tysiące rozporządzeń, logistykę i rozkłady jazdy pociągów, nakazy deportacji i egzekucji itp. Maszyna prezentowana na wystawie pracowała do ostatnich dni istnienia III Rzeszy – została znaleziona w berlińskim bunkrze Adolfa Hitlera...

Zapach wojny

Wśród ekspozycji znalazła się też oryginalna rakietka V-2, w komentarzu przedstawiono jej dwa oblicza. Pierwsze: zbrodnicza „cudowna broń” Niemców mająca odmienić losy wojny, służąca do bombardowania Londynu i Antwerpii, produkowana przez tysiące robotników przymusowych, którzy płacili życiem za pracę w nieludzkich warunkach. I drugie: wspaniałe osiągnięcie techniczne rozpoczynające przełom w podboju kosmosu przez człowieka.

Jak już wspomniano, efekty specjalne są stosowane oszczędnie, ale w sposób bardzo przemyślany, co zwiększa ich „siłę rażenia”. Mamy np. możliwość

sprawdzenia, nie tyle na własne oczy, ile na własny nos, jak pachniało pole bitewne z I wojny światowej; innymi słowy – jak pachnie wojna. Po otwarciu drzwi czujemy ten zapach: ziemi, wilgoci, gnicia, swąd spalenizny. Szybko zdajemy sobie sprawę z tego, że jest to w istocie zapach śmierci. Wrażenie jest tak silne, że zamknięcie drzwi nie uwalnia nas od tej woni natychmiast. Twórcy ekspozycji zapewne byli świadomi tego, że niektórzy zwiedzający pod wpływem takiego doświadczenia już do końca dnia będą mieli – niemające odbicia w rzeczywistości – wrażenie, iż ów zapach przesiąknął ich ubranie...



► „Stój, bo strzelam!” i „Wreszcie pokonany!” – zabawa w wojnę na pocztówkach z okresu I wojny światowej

Jeszcze lepszym dowodem potwierdzającym większą wystawienniczą skuteczność dobrego pomysłu niż multimedialnych fajerwerków jest gablota ilustrująca działanie rozrywającego się pocisku. Mamy okazję zobaczyć wybuch „zamrożony” w ułamku sekundy po detonacji: kilkaset większych i mniejszych odłamków, z których każdy – tu nie trzeba dużej wyobraźni – jest śmiertelnie niebezpieczny.

Wojna i zabawa

Pobieżne zwiedzenie ekspozycji zajmuje cztery, pięć godzin – nie sposób nawet skrótowo opisać tego, na co zwróciło się szczególną uwagę. Spośród działów tematycznych wyróżniłbym jednak te ukazujące konteksty do tej pory pomijane w muzeach wojskowości. Jednym z nich jest z pewnością ten uświadamiający wszechobecność wojskowości i militariów w każdym aspekcie życia człowieka, nie tylko w przeszłości, lecz także – a może przede wszystkim – współcześnie. Od muzyki, filmu, militarnych inspiracji i wzorów w modzie (choćby modne okulary Ray Ban, kurtki pilotki), przez różne formy fascynacji militariami i wojskowością (kolekcjonerstwo, modelarstwo, turystyka pól bitewnych, inscenizacje, gry planszowe i komputerowe, paintball), na najzwyczajszej zabawie dzieci „w wojnę” skończywszy. Po zwiedzeniu ekspozycji zdajemy sobie sprawę z tego, że – świadomie czy nie – z wojskowością mamy do czynienia więcej, niż skłonni byłibyśmy otwarcie przyznać. Mało tego – od dziecka jesteśmy na różne sposoby oswajani z przyjemnym obliczem wojny. W tym kontekście szczególnie wrażenie robi ogromna kolekcja zabawek militarnych. Od tych dawnych, jak np. domek dla lalek, w którym okna dostosowano do wymogów zaciemnienia, po współczesne, zdawałoby się, niewinne (m.in. klocki Lego). Kilumetrowa gablota jest nimi wypełniona po brzegi. Na samym końcu widzimy jeszcze jedną zabawkę, zaprezentowaną osobno – spaloną miniaturkę czołgu znaną z zgliszczach Drezna po bombardowaniu...

Fot. P. Sasanka



► Drezdeńskie muzeum prezentuje również oblicza zimnej wojny; na zdjęciu: elementy wyposażenia pokoju funkcjonariusza Stasi

Istota wojny

W odróżnieniu od tradycyjnych muzeów militarnych, tu mowa jest również o tym, co w wymiarze ludzkim jest ostateczną konsekwencją wojny: o śmierci i cierpieniu. Ten dział został zaprojektowany tak, aby wykluczyć wejście przypadkowego, nieświadomego zwiedzającego lub dzieci. Aby móc obejrzeć znajdujące się tam eksponaty, trzeba je każdorazowo odsłonić. Przed wejściem zwraca uwagę wyeksponowana prośba o zachowanie szacunku wobec ludzkich szczątków. Najpierw zaprezentowano proste nagrobki żołnierzy poległych w I i II wojnie światowej. To, czym jest śmierć na wojnie, umysławia jednak wstrząsający widok czaszki konkretnego żołnierza, który popełnił samobójstwo, strzelając sobie w usta. Ilustracją innych konsekwencji wojny są dwa krótkie filmy. Pierwszy z nich, z lat I wojny światowej, pokazuje człowieka w szoku wywołanym przez artyleryjski ostrzał okopów. Jest on nagi, a jego ciało wstrząsane jest silnymi drgawkami, nad którymi nie mogą zapanować osoby zgromadzone wokół pacjenta.

Drugi film, kolorowy, został nakręcony przez żołnierzy amerykańskich pod koniec II wojny światowej. Widzimy, że do operatora kamery zbliża się jakaś postać, kobie-

ta; widzimy, że została brutalnie pobita. Z umieszczonego obok podpisu dowiadujemy się, że została zgwałcona przez żołnierzy sowieckich. Ostatnim „eksponatem”, który tu widzimy, jest prosta tablica nagrobna niemieckich żołnierzy poległych w 2003 roku w Afganistanie, z których najmłodszy miał w chwili śmierci 26 lat. Trudno chyba o bardziej wymowną ilustrację ponurego oblicza wojny w tym antywojennym muzeum wojskowości – tego że w ostatecznym rozrachunku istotą każdej wojny są cierpienie i śmierć. ❄️

dr Paweł Sasanka – historyk, pracownik BEP IPN, autor m.in. *Czerwiec 1976. Geneza, przebieg konsekwencji* (2006), współautor (ze Sławomirem Stepniem) albumu *Zimna Wojna. Krótka historia podzielonego świata* (2012), współtwórca wystaw historycznych



Fot. P. Sasanka

Do krwi ostatniej...

Jerzy Eisler

Film Jerzego Hoffmana o utworzeniu armii Berlinga i bitwie pod Lenino spełniał ideologiczne oczekiwania władz PRL. A jednak nie obyło się bez ingerencji cenzury.

Gdyby jakimś złym trafem PRL istniała nadal, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa 12 października 2013 roku – w siedemdziesiątą rocznicę bitwy pod Lenino – hucznie byłoby obchodzone Święto Ludowego Wojska Polskiego. W tym wypadku z przymiotnikiem „ludowe” jest zresztą pewien problem. Otóż w latach 1944–1989 armia formalnie nazywała się tak samo, jak w II Rzeczypospolitej i jak nazywa się oficjalnie po 1989 roku, czyli: Wojsko Polskie. Niemniej w PRL nierzadko zarówno na bramach jednostek, jak i w służbowych dokumentach pisano: „Ludowe Wojsko Polskie” lub posługiwano się skrótem: LWP. Sugerowało to, że tak właśnie brzmi oficjalna nazwa armii.

Problemy z terminologią są znamienne w sytuacji, gdy – ze względu na stale obecne w ówczesnym życiu publicznym ogra-

niczenia cenzuralne i niemal mityczną „tajemnicę wojskową” – przed 1990 rokiem na temat najnowszej historii polskich sił zbrojnych w zasadzie nie prowadzono rzetelnych badań naukowych, a w każdym razie ich wyniki nie mogły być wówczas w pełnym kształcie publikowane w oficjalnym obiegu, i dlatego obecnie na tym polu jest naprawdę wiele do nadrobienia. Paradoksem jest, że jednocześnie w PRL przedstawiciele władz partyjno-państwowych dość często apelowali do naukowców, aby przygotowywali prace historyczne na temat najnowszych dziejów oręża polskiego.

Mało filmów o wojsku

Podobnie wyglądała sytuacja w kinematografii, gdzie – mimo powtarzających się zachęty i apeli płynących ze strony rządzących do podejmowania tej problematyki – nader rzadko powstawały filmy opowiadające w sposób niebudzący sprzeciwu o dziejach LWP. Wyrażenie „niebudzący sprzeciwu” oznacza w tym wypadku obrazy, które – chociaż z pewnością nie poruszały w sposób rzetelny (niejednokrotnie po prostu wcale) kwestii całej złożoności i tragizmu stosunków polsko-radzieckich w trakcie II wojny światowej i później oraz nie ukazywały prawdziwego żołnierskiego życia ze wszystkimi jego negatywnymi aspektami – zwracały jednak na siebie uwagę przynajmniej świetnie zrealizowanymi scenami batalistycznymi i aktorstwem na wysokim poziomie.

Wystarczy przypomnieć, że do roku 1956 tylko jedna taka produkcja trafiła do kin. Były to opowiadające o ostatnich dniach II wojny światowej *Godziny nadziei* Jana Rybkowskiego, których premiera miała miejsce 9 maja 1955 roku. Trudno bowiem z dzisiejszej perspektywy poważnie potraktować *Żołnierza zwycięstwa*, skrajnie hagiograficzną filmową biografię gen. Karola Świerczewskiego, zrealizowaną w 1953 roku przez Wandę Jakubowską. Co ciekawe, także w latach polskiej szkoły filmowej, kiedy to powstało ponad dwadzieścia dzieł w różny sposób i w różnych aspektach ukazujących losy Polski i Polaków w czasie II wojny światowej, właściwie nie nakręcono filmów tego typu.

Dopiero w styczniu 1966 roku na ekrany trafił film Janusza Morgensterna *Potem nastąpi cisza*, opowiadający o walkach 2. Armii WP pod Dreznem i Budziszynem w kwietniu 1945 roku. Niezależnie od charakteru kolejnej produkcji, trzeba także w tym miejscu przypomnieć powstały w latach sześćdziesiątych popularny serial telewizyjny *Cztery pancerni i pies*, a zwłaszcza jego pierwszych osiem odcinków opowiadających o drodze tytułowych czołgistów ze Związku Radzieckiego do Gdańska. Prawdziwy przełom w ukazywaniu „drogi do Polski” oraz „zwycięskiego bojowego szlaku” żołnierzy 1. Armii WP nastąpił jednak dopiero po „wydarzeniach marcowych”, kiedy to środowisko tzw. partyzantów upomniało się pełnym głosem o filmy ukazujące „wkład Polski w zwycięstwo nad niemieckim faszyzmem”. Publicystka Alicja Lisiecka ową metamorfozę określiła dosadnie: „W roku 1968 film polski stał się transmisją wojennej chwały kilku generałów”. To właśnie niedługo po Marcu powstały m.in. takie – zrealizowane z ogromnym roz-

► Niewątpliwym atutem filmu są nakręcone z niezwykłym rozmachem sceny batalistyczne

machem – obrazu, jak *Kierunek Berlin* i *Ostatnie dni* Jerzego Passendorfera, *Jarzębina czerwona* Ewy i Czesława Petelskich czy dwuczęściowy *Album polski* Jana Rybkowskiego.

Ciekawe, że stosunkowo długo nie realizowano filmów opowiadających o powstawaniu Wojska Polskiego w ZSRR. Każdego roku, 12 października, była obchodzona rocznica bitwy pod Lenino, ale nie mogło powstać dzieło na ten temat, a gdy wreszcie w 1973 roku Andrzej Jerzy Piotrowski nakręcił *Zasieki*, to film ten, jako niecenzuralny, na dziesięć lat trafił „na półki”. Nie dziwi więc, że kiedy Jerzy Hoffman zapowiedział, że zamierza zrealizować superprodukcję o powstawaniu w ZSRR 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i o bitwie pod Lenino, spotkało się to ze zrozumiałymi oczekiwaniami społecznymi. Były to nadzieje uzasadnione przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, Hoffman udowodnił już nieraz, że potrafi realizować filmy adresowane do szerokiego kręgu odbiorców, a co więcej, miał już za sobą dwie historyczne superprodukcje: *Pana Wołodyjowskiego* i *Potop*. Można było więc i tym razem spodziewać się sukcesu frekwencyjnego.

Po drugie, właśnie w latach siedemdziesiątych zaczęły powstawać filmy i spektakle Teatru Telewizji nawiązujące do ważnych wydarzeń z najnowszej historii i starające się rekonstruować je na tyle wiernie, na ile pozwalały na to ograniczenia cenzuralne i możliwości finansowo-techniczne. Regułą było to, że pewnych rzeczy (wszystkiego, co źle świadczyło o ZSRR i/lub polskich komunistach) po prostu nie pokazywano, natomiast reszta mogła być prezentowana w sposób realistyczny i zgodny ze stanem faktycznym. Autorami tego typu scenariuszy dość często byli wówczas Włodzimierz T. Kowalski i Ryszard Frelek. Jerzy Hoffman w 1978 roku nakręcił barwny, dwuczęściowy film (rok później powstała jego siedmiodcinkowa wersja telewizyjna) *Do krwi ostatniej...*, którego scenarzystą był Zbigniew Safjan.

Prawdziwe samoloty na planie

Film został przygotowany z ogromnym rozmachem. Niejednokrotnie na ekranie widać nawet kilkanaście strzelających jednocześnie dział lub czołgów. W epoce dominujących w kinie animacji komputerowych – rzecz w zasadzie nie do wyobrażenia. Nad okopami pełnymi statystów grających żołnierzy przelatują prawdziwe samoloty, które zrzucają bomby i ostrzeliwiają piechurów. Zarówno kadry bitwy pod Moskwą w grudniu 1941 roku na początku pierwszej części, jak i bitwy pod Lenino w zakończeniu drugiej, zostały wystylizowane na ujęcia dokumentalne. Nad znakomicie zrealizowanymi efektami pirotechnicznymi czuwał sztab specjalistów na czele z Henrykiem Piotrowskim, jednym z najwybitniejszych pirotechników w dziejach polskiej kinematografii. W scenach z udziałem nacierających czołgów oraz ukazujących walkę wręcz polskiej piechoty z Niemcami, można dopatrywać się inspiracji batalistyką z *Wyzwolenia* Jurija Ozierowa, a zwłaszcza – przy zachowaniu wszystkich proporcji – sekwencją bitwy na Łuku Kurskim w pierwszej części tej superprodukcji.



Fot. FilMOTEKA Narodowa

► Wojciech Pilarski w roli gen. Zygmunta Berlinga

Integralnym elementem filmów tego typu jest zwykle włączenie w narrację, obok pierwszoplanowych bohaterów fikcyjnych, także postaci historycznych. Tym razem na ekranie pojawiają się m.in. odtwarzani przez aktorów: Józef Stalin, Władysław Sikorski, Władysław Mołotow, Stanisław Mikołajczyk, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden, ambasador RP w ZSRR Stanisław Kot, gen. Władysław Anders (znakomita rola Marka Walczewskiego), Wanda Wasilewska i gen. Zygmunt Berling.

Dobry komunista, zły dyplomata

Główne role w *Do krwi ostatniej...* zagrali: Anna Dymna, Marek Lewandowski, Jerzy Trela i Leonard Pietraszak. Warto jeszcze odnotować, że w pierwszej części filmu w drugoplanowej roli Jekateriny Pawłowny wystąpiła Lidia Fiedosiejewa-Szükszyna, która międzynarodową sławę zdobyła kilka lat wcześniej, grając w głośnym filmie swojego męża, Wasilija Szükszyna, *Kalina czerwona*. Odtwarzany przez Jerzego Trelę Zygmunt Gawlik to były działacz Komunistycznej Partii Polski, sanacyjny więzień i czerwonoarmista w pierwszym okresie wojny niemiecko-radzieckiej – jednym słowem zdeklarowany komunista i przeciwnik rządu RP na uchodźstwie. Z kolei Anna Dymna zagrała jego komunizującą siostrę Annę, która – niezależnie od zastrzeżeń starszego brata – kocha i jest kochana przez por. Andrzeja Radwana (Marek Lewandowski). Podobnie jak czwarty z bohaterów filmu, kpt. Wicherski, ►

► Rodzeństwo Gawlików: Ania (Anna Dymna) i Zygmunt (Jerzy Trela) już w mundurach armii Berlinga

Fot. Filmotheka Narodowa

Radwan zdezerterował z opuszczającej ZSRR Armii Andersa. Wszystkie te cztery postaci, których ideowe wybory zarówno w chwili, gdy film trafiał na ekrany, jak i tym bardziej dzisiaj są trudne do zaakceptowania, w zamyśle twórców miały wzbudzić sympatię widzów i czynić z nich bohaterów pozytywnych. Zupełnie inaczej niż w przypadku „burżuazyjnego oficera”, mjr. Wysokońskiego, przełożonego Radwana w polskiej ambasadzie w Kujbyszewie, który proponował mu donoszenie na przyjaciół, tylko dlatego że byli komunistami.

Mimo w takim stopniu spełniającej oczekiwania władz PRL konstrukcji filmu i podziału postaci na pozytywne i negatywne według ówczesnych racji ideologicznych, nie obeszło się bez ingerencji cenzury, już po tym jak film trafił do kin. Część pierwszą kończy rozmowa por. Radwana i kpt. Wicherskiego po ich dezercji z Armii Polskiej. W czasie tego spotkania w pewnym momencie zaczęli rozmawiać o Katyniu, a była to pierwsza tego typu scena w polskim filmie. W pewnej chwili pojawiają się u nich wątpliwości co do sprawstwa tej zbrodni: „A co, jeżeli oni [Sowieci] to naprawdę zrobili? – To niemożliwe. – Ale jeżeli jednak zrobili, to...”. Cytuję po latach z pamięci, oddając sens tamtej usuniętej przez cenzurę rozmowy. W sumie nie powinno to dziwić, jeżeli pamięta się, że jednym z konsultantów historycznych tego filmu był gen. Eugeniusz Molczyk, który trzy lata później, gdy finalizowano w Polsce przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego, był przez wielu uważany za przedstawiciela radykalniejszej, proradzieckiej opcji, niż gen. Wojciech Jaruzelski. Gdyby gen. Jaruzelski w ostatniej chwili wycofał się i nie zdecydował na proklamowanie stanu wojennego, to miałby to uczynić właśnie gen. Molczyk.

Piosenka, której nie było

W napisach filmu pojawia się informacja, że wykorzystana w nim została znana piosenka *Żeby Polska była Polską* z muzyką Włodzimierza Korcza i słowami Jana Pietrzaka. W rzeczywistości nie słyhać jej w żadnym momencie. Podobno miała się pojawić w czołówce filmu, ale została usunięta na

żądanie Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. Skoro o muzyce mowa, to na jeszcze jedną rzecz z pewnością warto zwrócić uwagę. Otóż w scenie, gdy Andrzej zaprasza Annę na kolację do eleganckiej restauracji dla dyplomatów i zagranicznych wojskowych w Kujbyszewie, na dancingu orkiestra gra stary przebój Jerzego Petersburskiego *Ta ostatnia niedziela*. Solista śpiewa tę piosenkę w rosyjskiej wersji językowej *Утомлённое солнце* (*Zmęczone słońce*). Nawiasem mówiąc, to właśnie sparafrazowany rosyjski tytuł tej piosenki, tworzącej leitmotiv filmu, stał się tytułem głośnego dzieła Nikity Michalkowa *Spaleni słońcem*.

Mówiąc o roli muzyki w tym filmie, należy jeszcze przypomnieć scenę, w której żołnierze w Sielcach nad Oką na melodię *Pierwszej Brygady* śpiewają: „To my, Pierwsza Dywizja, Honor i Ojczyzna...”. Dowództwo doszło jednak do wniosku, że przydałaby się własna piosenka, i w następnej scenie jesteśmy świadkami estradowego debiutu *Oki*. Zresztą wiele scenek rodzajowych i epizodów w obozie w Sielcach, a i potem w czasie bitwy pod Lenino, zostało zrealizowanych na podstawie zgromadzonych przez Alojzego Srogę relacji byłych „kościuszkowców”.

Na koniec wypada powtórzyć, że o ile wymowa polityczna i ideologiczna tego dzieła dzisiaj w żadnym razie nie wytrzymuje krytyki, o tyle sceny batalistyczne nadal zasługują na najwyższe uznanie. Trudno się zatem dziwić, że w 1978 roku, gdy także wymowa ideowa *Do krwi ostatniej...* satysfakcjonowała dysponentów władzy politycznej, na film spadł deszcz nagród: Jerzy Hoffman za reżyserię, Zbigniew Safjan za scenariusz oraz Jerzy Gościk za zdjęcia i Wilhelm Hollender, kierownik produkcji, otrzymali nagrody ministra obrony narodowej I stopnia. W następnym roku Hoffman na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku został wyróżniony Nagrodą Specjalną Jury. 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

Pepesza – prosta, tania, niezawodna

Michał Mackiewicz

Wyroby przemysłowe pochodzące z fabryk „ojczyzny światowego proletariatu” zwykliśmy postrzegać z lekceważeniem, uważając je za synonim tandety. I chociaż jest w tym sporo racji, trudno wszystko mierzyć jedną miarą. Bez wątpienia trzeba docenić radziecką broń, jak choćby pistolet maszynowy PPSz 41, czyli słyną pepeszę – znak firmowy krasnoarmiejca z lat wielkiej wojny ojczyźnianej.



Fot. ze zbiorów autora

► Polscy żołnierze nad Odrą w kwietniu 1945 roku; uzbrojenie stanowią m.in. pepesze – uwagę zwraca parcia na ładownica założona na magazynek

ZSRR był niewątpliwie olbrzymim obozem pracy, w którym życie jednostki nie miało żadnego znaczenia. Niemniej, dzięki umiejętnej propagandzie i socjotechnice, Sowieci potrafili wyzwolić tkwiący w ludziach potencjał, a wielu obywateli okazało się prawdziwymi, choć nieoszlifowanymi diamentami. Także w rusznikarstwie. Pracujący w rozma-

itych zakładach bądź służący w wojsku konstruktorzy, nieustannie ze sobą rywalizujący, nabierali doświadczenia i tworzyli coraz doskonalsze wzory broni. Do światowej czołówki należeli Wasilij Diegtiarow, Fiodor Tokariew, Siergiej Simonow, Aleksiej Sudajew czy wreszcie Geоргij Szpagin – twórca pepeszy.

Geоргij Siemionowicz urodził się w 1897 roku w małej wiosce w obwodzie włodzimierskim. Edukację przeszedł raczej symboliczną, a techniczny talent zaczął rozwijać dopiero w wojsku – w czasie I wojny światowej, potem w Armii Czerwonej. Trudno powiedzieć, jak potoczyłyby się jego losy, ►

► Pododdział Wehrmachtu na froncie wschodnim; dwaj oficerowie w środku uzbrojeniu w zdobyczne pepesze



Fot. ze zbiorów autora



► Pistolet maszynowy PPSz 41

gdyby w latach dwudziestych nie zetknął się z dwoma genialnymi konstruktorami – Władimirem Fiodorowem i Diegtiarowem. Współpraca z tym ostatnim zaowocowała powstaniem wielkokalibrowego karabinu maszynowego DSzK. To jednak nie wukaem przyniósł mu sławę, lecz prosty pistolet maszynowy (ros. *pistoliet puliemiot*), który przyjęto oficjalnie do uzbrojenia pod koniec 1940 roku.

Szpagin nie był pionierem, pierwsze seryjnie produkowane i udane konstrukcyjnie pistolety maszynowe opracował wspomniany już Diegtiarow. Jego PPD, czyli *Pistoliet puliemiot sistemy Diegtiarowa* (trzy kolejno udoskonalane wzory) był dostosowany do naboju pistoletowego 7,62 x 25 mm; bębnowy magazynek (w finalnej wersji PPD) zapożyczono od fińskiego peemu Suomi. Podobnie jak niemal wszystkie pistolety maszynowe, PPD działał na prostej zasadzie odrzutu zamka swobodnego. Jak na standardy radzieckie, jakość wykonania broni Diegtiarowa była bardzo dobra, zachowane egzemplarze potwierdzają precyzyjną obróbkę.

Masowa produkcja

Do czasu wojny zimowej z Finami ZSRR nie dostrzegał potencjału peemów, a armię planowano przebroić w broń samopowtarzalną i automatyczną dostosowaną do standardowego naboju karabinowego (konstrukcje Simonowa i Tokariewa). Jatką, którą Finowie urządzili Sowiecom w 1940 roku, m.in. dzięki umiejętnemu wykorzystaniu wspomnianych peemów Suomi, przekonała Stalina o wysokich walorach pistoletów maszynowych. Rozpoczęto pośpieszną produkcję PPD, ale w obliczu „Barbarossy” – niemieckiego ataku na ZSRR – zapóźnienia nie dało się nadrobić. Ostatecznie wyprodukowano ok. 100 tys. sztuk, co jak na standardy radzieckie było liczbą śmiesznie małą. Katastrofalny rok 1941 i faktyczne unicestwienie „starej” Armii Czerwonej ozna-

czały jednocześnie niewyobrażalne straty sprzętu bojowego. Przemysł musiał podjąć gigantyczny wysiłek wyprodukowania niemalże wszystkiego od nowa, w tym peemów. PPD był bronią czasu pokoju, materiałochłonna i droga w produkcji. Wojna wymusza oszczędności, uzbrojenie musi być skuteczne, niezawodne, ale też tanie i umożliwiające szybką produkcję masową. Wszystkie te warunki spełniał PPSz 41 (*pistoliet puliemiot sistemy Szpagina obrazca 1941 goda*); broń pojawiła się pod koniec 1940 roku. Do końca następnego roku fabryki opuściło przeszło

► Żołnierz 1. Armii Wojska Polskiego z pepeszą – zwraca uwagę łukowy magazynek; warszawska Praga, jesień 1944 roku



Fot. ze zbiorów autora

55 tys. egzemplarzy, ale w 1942 roku już 1,5 mln. Łącznie wyprodukowano przeszło 6 mln pepeszy! Rosnąca produkcja pozwoliła utworzyć plutony fizylierów (rodzaj piechoty uzbrojonej w pistolety maszynowe) w każdej kompanii piechoty. Z czasem kompania żołnierzy uzbrojonych w peemy znajdowała się w każdym batalionie, potem zaczęto tworzyć całe jednostki uzbrojone w peemy Szpagina (zwłaszcza elitarne, uderzeniowe). Poza zamkiem i lufą elementy metalowe były tłoczone. Broń miała klasyczną drewnianą nasadę i przerzutowy celownik o nastawach 100 i 200 m (w pierwszej, „bogatszej” wersji, krzywiznowo-ramieniowy celownik wyskalowany był do 500 m), lufa znajdowała się w ażurowej osłonie, której końcówka spełniała rolę hamulca wylotowego. Żywotność broni zwiększało chromowanie przewodu lufy (radziecki wynalazek). Rozłożenie peemu na podstawowe części (do czyszczenia) było banalnie proste. Początkowo używano magazynków bębnowych siedemdziesięcionabojowych (waga broni z pełnym magazynkiem wynosiła ok. 5,3 kg), potem także łukowych trzydziestopięcionabojowych, o wiele tańszych i prostszych w produkcji. Broń zaopatrzone w bezpiecznik (stanowił element ręczki zamkowej) i przełącznik rodzaju ognia (tuż przed językiem spustowym).

Pepesza, którą z racji prostoty budowy można było wytwarzać w różnych warsztatach mechanicznych (*gros* produkcji skoncentrowano jednak w Moskwie), okazała się bronią odporną na trudne frontowe warunki i niezawodną, nawet w rękach niezbyt o nią dbających żołnierzy (co było ważne, jeśli uwzględnić dość niską kulturę techniczną człowieka radzieckiego). Oczywiście, nie należy ona do broni wygodnych, a kto po raz pierwszy bierze ją do ręki, ma spory problem z tym, aby wygodnie złożyć się do strzału. Ale peem to nie jest narzędzie walki do prowadzenia precyzyjnego ognia, tylko do „wymiatania” na najbliższych dystansach. Gotowość do natychmiastowego użycia w każdych warunkach i pojemny bębnowy magazynek były wszystkim, czego wymagano od pepeszy. Niewątpli-



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

dane taktyczno-techniczne PPSz 41

nabój	7,62 x 25 mm
długość broni	840 mm
długość lufy	269 mm
waga bez magazynka	3,5 kg
waga z pełnym magazynkiem bębnowym	5,3 kg
szybkostrzelność teoretyczna	900 strz./min.
prędkość początkowa pocisku	488 m/s

wie te właśnie atuty cenili Niemcy, chętnie sięgający po zdobyczne egzemplarze. Jako ciekawostkę warto dodać, że skopowali oni z radzieckiego peemu konstrukcję bezpiecznika i zastosowali w swoim MP 40 (popularnym *schmeisserze*).

Nad Wisłą i w Państwie Środka

PPSz 41 był też szeroko wykorzystywany przez Polaków. Co ciekawe, pierwszymi użytkownikami wcale nie byli kościuszkowcy gen. Zygmunta Berlinga, lecz konspiracja na Kresach. Po 1941 roku w polskie ręce wpadło trochę peemów Diegtiarowa, ale wkrótce arsenał zaczęły zasilać „pepesze”. Zdobywano je przede wszystkim na wrogu, czyli niemieckich i kolaboranckich formacjach policyjnych działających na zapleczu frontu. Część trafiała za pośrednictwem radzieckich partyzantów (w wyniku walk, ale zdarzały się też częste w owym czasie wy-

miany). Polacy działający w oddziałach podporządkowanych radzieckiemu Sztabowi Partyzanckiemu (choćby Zgrupowanie „Jeszcze Polska Nie Zginęła” Roberta Satanowskiego) otrzymywali broń ze zrzutów. Podobnie jak komunistyczne Gwardia Ludowa i Armia Ludowa (tą drogą do kraju dotarło być może nawet kilkanaście tysięcy pepesz). Nie zabrakło radzieckich peemów w Powstaniu Warszawskim (zasoby sprzed wybuchu walk, wrześnieowe zrzuty, uzbrojenie berlingowców). Oczywiście, pepesza była najliczniej reprezentowana w szeregach ludowego Wojska Polskiego. Na przykład w 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w przeddzień bitwy pod Lenino było przeszło 1700 peemów Szpagina. I chociaż w toku wojny Rosjanie wprowadzili do uzbrojenia nowy wzór pistoletu maszynowego konstrukcji Sudajewa (PPS 43 – uznawany za jeden

z najlepszych peemów II wojny światowej), pepesze towarzyszyły żołnierzom do samego końca wojny. Maj 1945 roku nie oznaczał wszakże końca bojowej kariery słynnego peemu. W Polsce toczyły się zmagania podziemia niepodległościowego z nową władzą komunistyczną. Obie strony w równym niemal stopniu korzystały z radzieckiego uzbrojenia. Formacje podległe władzy „ludowej” miały je z przydziału, partyzanci z kolei cenili zdobyczne egzemplarze ze względu na powszechną dostępność amunicji. W początkach lat pięćdziesiątych produkcję pepeszy uruchomiono w Polsce w Radomiu.

Drugą młodość broń Szpagina przeżywała w czasie wojny w Korei (tutaj używano zwłaszcza jej chińskiej wersji, jeszcze bardziej – choć trudno uwierzyć – topornej niż radziecka!). Nie zabrakło pepeszy w Afryce, a także w Wietnamie i Afganistanie. Do dzisiaj pozostaje najliczniej wyprodukowanym peemem w historii. 🇵🇵

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kirchalm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Orzeł zwany „kuricą”

Tomasz Zawistowski

Ewakuacja dowodzonej przez gen. Władysława Andersa Armii Polskiej w ZSRR do Persji – zapoczątkowana w marcu roku 1942 – pozwoliła opuścić „niełudzką ziemię” blisko 115 tys. Polaków. W rok później na Kremlu zaczęły się rozmowy na temat utworzenia kolejnych jednostek polskich. Tym razem nie miały one być podporządkowane legalnemu rządowi Rzeczypospolitej, lecz Związkowi Patriotów Polskich pod przewodnictwem Wandy Wasilewskiej.



► Orzeł wz. 43 produkcji seryjnej

Fot. ze zbiorów autora

Na miejsce formowania pierwszych oddziałów wybrano obóz Moskiewskiego Okręgu Wojskowego w Sielcach nad Oką. Wieści o tworzeniu kolejnego polskiego wojska rozchodziły się po Kraju Rad i docierały do potencjalnych ochotników. Było ich niemało; w ojczyźnie proletariatu znajdowali się wówczas Polacy przebywający tam jeszcze przed wojną, powołani do Armii Czerwonej, żołnierze polscy schwytni we wrześniu 1939 roku, łągiernicy, przesiedleńcy wywiezieni przez Sowieców w różne zakątki imperium, przymusowi uczniowie szkół zawodowych FZO (Fabryczno Zawodsojkoje Obuczenije), komuniści, którzy z własnej woli przybyli do ZSRR po 17 września 1939 roku, a także deklarujący polskość jeńcy z Wehrmachtu. Przedstawiciele każdej z wymienionych grup przekroczyli w połowie 1943 roku bramę sieleckiego obozu.

„[...] ludzie nie na to czekali przez pięć lat. Patrzyli na moje buty z cholewami, pół skórzane, pół brezentowe, na mój zwyczajny sukieny żołnierski płaszcz, na brezentową torbę polową, a przede wszystkim na orzełka, innego niż ten, do którego przywykło nawet dziecko. Oni przez długie lata okupacji marzyli, by chociaż raz zobaczyć polskiego żołnierza i oficera w porządnym mundurze, w czapce garnizonowej z otokiem, może przy szabli, a na pewno nie z takim orzełkiem. Byliśmy z nowej polskiej armii, ale nie byliśmy tymi, na których tutaj czekali!”

– zapisał ppor. Tadeusz Kowalski, który w Lublinie, w sierpniu 1944 roku, zaciągnął się do 8. Dywizji Wojska Polskiego.

Polskie mundury

W burzliwych latach obu wojen światowych Wojsko Polskie wielokrotnie organizowało się i walczyło u boku sojuszników – nierzadko równocześnie po obu stronach frontu. Za każdym razem umundurowanie pochodziło z magazynów państw sprzymierzonych, za każdym razem toczono homeryckie boje o jak największą liczbę elementów polonizujących obcy uniform. Podstawowe elementy umundurowania pobierano

jednak w standardowej wersji obcej – Legion Bajończyków nosił umundurowanie francuskie, Legion Puławski – rosyjskie, Legiony Polskie – austriackie, Polnische Wehrmacht – niemieckie, Armia gen. Józefa Hallera – znowu francuskie, choć ochotnicy z Ameryki Północnej przybyli do Europy w sortach kanadyjskich. I kolejny raz, po dwóch dekadach, gdy historia zatoczyła koło: ochotnicy w obozie Coëtquidan wyfasowali w 1939 roku sorty francuskie z poprzedniej wojny, a po

ewakuacji na Wyspy – zostali przebrani w mundury brytyjskie. Brytyjskie mundury lotnicze nosili członkowie Polskich Sił Powietrznych, brytyjskie ubiory tropikalne otrzymali w Persji żołnierze gen. Andersa ewakuowani z ZSRR.

Przyczyny takiego stanu rzeczy były czysto pragmatyczne. Uruchomienie produkcji umundurowania nowego kroju wymagało dodatkowych starań i kosztów, a to w warunkach wojennych budziło oczywisty sprzeciw potencjalnego płatnika. W rezultacie wykorzystywano to, co było dostępne w magazynach, dodając niekiedy polskie elementy, którymi najczęściej były emblematy narodowe, nakrycia głowy i oznaki stopni.

Oddziały tworzone w 1943 roku na terenie ZSRR pod egidą Związku Patriotów Polskich były wyjątkiem od opisanej powyżej zasady dyktowanej prostą logiką wojennej ekonomii. Hojność radzieckiego sojusznika dla nowego sprzymierzeńca budziła zdziwienie nawet wśród członków ZPP. Uruchomienie produkcji mundurów specjalnego kroju było działaniem propagandowym i elementem precyzyjnie przygotowanej polityki, którą zdefiniował obrazowo Józef Mackiewicz w wydanej jesienią 1944 roku w Krakowie broszurze *Optymizm nie zastąpi nam Polski*: „Bolszewicy wkraczają do nas w postaci »Polski demokratycznej« z biało-czerwonym sztandarem i »Jeszcze Polska nie zginęła«, graną przez sowieckie orkiestry wojskowe. Na pewno każą nam śpiewać po kościołach »Te Deum« i gorzej jest, że je śpiewać będziemy”.

Nie wiadomo, czy mają rację ci, którzy decyzję o wyborze takiej formy ubioru polskich żołnierzy przypisują osobistemu rozkazowi Stalina. Faktem jest jednak, że była to decyzja o znaczeniu politycznym i jako taka została podjęta przez stronę radziecką. Dywizja, od której w oficjalnym oświadczeniu odzegał się Wódz Naczelny i Premier RP gen. Władysław Sikorski, a attaché wojskowy RP w USA nazwał ją „Dywizją Armii Czerwonej pod rozkazami władz sowieckich”, potrzebowała wizualnej legalizacji zarówno w oczach jej żołnierzy, jak i w oczach mieszkańców terenów, na których miała działać.



Fot. ze zbiorów autora

► Indywidualnie wykonany odlew aluminiowy orła wz. 43

Do autorstwa mundurów, rzekomo zaprojektowanych w jeden wieczór, i to jeszcze przed oficjalnym uzyskaniem zgody strony radzieckiej na utworzenie polskiej dywizji, przyznawała się Janina Broniewska, pełniąca funkcję Instruktora Wydziału Wojskowego ZPP. Jej relacji zaprzeczył organizator i pierwszy dowódca 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, Zygmunt Berling. Według niego, mundury zostały wyprodukowane na podstawie przedwojennych przepisów mundurowych, których egzemplarz znajdował się w archiwach radzieckich.

Faktycznie, wyprodukowane w ZSRR mundury żołnierzy polskich były ewidentnie wzorowane na przedwojennych. Najbardziej wiarygodną hipotezę o drodze ich wprowadzenia przedstawił w roku 1994 – w szczególnej analizie na łamach „Archeologii Wojskowej” – dr Bogusław Perzyk. Dowodzi on, że nowe mundury wykonano w radzieckich fabrykach na podstawie oryginalnych elementów ubioru, zdobytych w wielkiej liczbie w 1939 roku, nie zaś na podstawie dokumentacji.

Nie tylko forma ubioru miała zaświadczyć o polskim charakterze oddziałów. Bez żadnych skrupułów zagarnięta została symbolika Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyża Walecznych i Odznaki za Rany i Kontuzje.

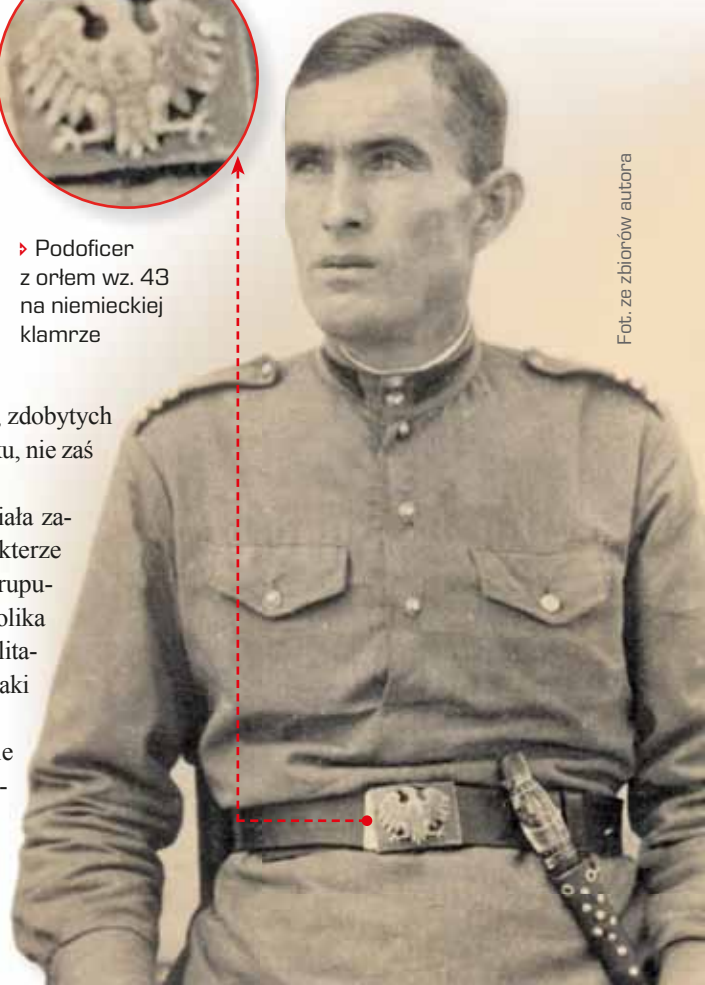
W początkowym okresie formowania dywizji ochotnicy, przybywający nierzadko w łachmanach, otrzymywali

umundurowanie Armii Czerwonej. Chcąc akcentować swą przynależność narodową, wykonywali godła samodzielnie. Jerzy Lewandowski w swych wspomnieniach *Z torby frontowego listonosza* zapisał: „Nazajutrz po gruntownej kąpiel w ruskiej bani, zostawiliśmy tam stare, cywilne łachy i zostaliśmy jednolicie umundurowani. Nie były to jednak oryginalne mundury polskie. Otrzymaliśmy tak zwane radzieckie gimnastorki koloru khaki, takiej samej barwy spodnie i owijacze, masywne trzewiki [...] i wreszcie furażerki, do których każdy przypinał swoim własnym pomysłem i przemysłem wyciętego z blachy orzełka”.

Mundury nowego typu dotarły do oddziałów w maju 1943 roku. 30 kwietnia z moskiewskiej fabryki nakryć głowy dostarczono dwiema dakotami 45 tys. czapek wzorowanych na przedwojennych czapkach polowych wz. 37, a zwanych z rosyjska konfederatkami. Oddziały składające przysięgę w rocznicę bitwy grunwaldzkiej były już całkowicie przemundurowane. ►



► Podoficer z orłem wz. 43 na niemieckiej kłamrze



Fot. ze zbiorów autora



► Wzornik orła wz. 43

Narodziny nowego znaku

Decyzja o upodobnieniu wyglądu żołnierzy do wojska przedwojennego nie dotyczyła kwestii godła. Ani metalowy orzeł wz. 19, ani haftowany na czapkach połowych orzeł wz. 37 nie zostały zaakceptowane. Nowy symbol, do którego wyszukania również przyznawała się Janina Broniewska, został skopiowany z płockiego sarkofagu królów Polski, zaprojektowanego w 1825 roku. Broniewska twierdziła, że orzeł został zatwierdzony przez głównych ideologów ZPP – Wandę Wasilewską i Alfreda Lampe. W rzeczywistości akceptacja musiała przejść, i oczywiście przeszła, drogę oficjalną po stronie radzieckiej. Unikatowym zabytkiem jest prezentowany na ilustracji powyżej orzeł z przymocowanym do niego dokumentem.

Jest to wzornik opisany jako metalowy emblemat na nakrycie głowy oficerów i żołnierzy polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Wszystko wskazuje na to, że wzorników takich wykonano całą serię. Pośród nazwisk oficerów wymienionych w dokumencie zwraca uwagę ostatnie, umieszczone pod słowem „uzgodniono”. Jest to nazwisko Gieorgija Żukowa, majora NKWD (czyli generała Armii Czerwonej), opiekuna formujących się jednostek. W 1943 roku rolę „dobrego” – w odróżnieniu od innych radzieckich oficerów łącznikowych – odgrywał Żukow już po raz drugi; rok wcześniej pełnił tę samą funkcję u boku gen. Andersa, jeszcze jako porucznik NKWD, a tymczasem zdążył pomóc przy formowaniu oddziałów czechosłowackich.

► Żołnierze 2. Armii Wojska Polskiego w 1945 roku; zwraca uwagę orzeł wz. 43 nałożony na kłamrę pasa



Fot. ze zbiorów autora



Nowy symbol znalazł się również na sztandarze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Z fabryki na front

Wzornik, datowany na 1 czerwca 1943 roku, trafił do fabryk. Pierwsze orły wz. 43 produkowano w Moskwie, o czym świadczą półprodukty odnalezione w latach dziewięćdziesiątych XX wieku w gruzach jednej z tamtejszych fabryk. Znane są egzemplarze produkowane w sześciu odmianach seryjnych, nie licząc unikatowego orła z wzornika.

Trzeba przyznać, że orły wykonano solidnie. Zwarty zarys sylwetki i wysokość nieznacznie przekraczająca 40 mm, a także mocowanie na dwie poziomo rozginane blaszki (rozwiązanie skopiowane z radzieckich gwiazdek czapkowych) sprawiły, że orły wz. 43 można nazwać godłami poprawnie zaprojektowanymi. Jedynym defektem było ułamywanie się łap orłów z tych serii produkcyjnych, w których były one oddzielone od skrzydeł.

Orły produkowano zasadniczo z blachy mosiężnej i oksydowano, lecz znane są też egzemplarze posrebrzane. Spotyka się egzemplarze wykonywane indywidualnie przez żołnierzy, odlewane z aluminium bądź wycinane ręcznie. Noszono je na konfederatkach, furażerkach oraz zimowych uszankach, a także na rogatywkach garnizonowych i na okrągłych czapkach lotniczych 1. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”.

Godła wz. 43 nazywano oficjalnie „piastowskimi”, w odróżnieniu od przedwojennych, rzekomo „jagiellońskich”. Oczywiście ani jedna, ani druga nazwa nie odpowiadała realiom historycznym. Autorem najbardziej kuriozalnej teorii jest pisarz i współtwórca ZPP, Jerzy Putrament, który twierdził, że w przeciwieństwie do przedwojennego orzeł wz. 43 „patrzy na zachód i nie ma imperialistycznych zakusów”.

Na czapkach i na klamrach

Orzeł wz. 43 został zaprojektowany dla 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i znalazł się na czapkach żołnierzy w Sielcach. Stąd wziął się zwyczaj nazywania go kościuszkowskim – niesłusznie, gdyż kolejno powstające oddziały również otrzymywały „piastowskie” godła czapkowe. O powszechności ich noszenia świadczą zarówno relacje weteranów, jak i znaleziska archeologiczne, m.in. na Wale Pomorskim.

Znane są liczne przykłady nieregularnych zastosowań metalowych godeł. Wielu żołnierzy nakładało je na zdobyczne elementy wyposażenia wojska niemieckiego, zakrywając w ten sposób wrogie orły ze swastykami np. na klamrach pasów. Umieszczano je również na klamrach radzieckich pasów, tym razem zakrywając gwiazdy. Orły wz. 43 zdobiły też rękojeści szabel używanych przez kawalerię.

Wprowadzony do użycia w pierwotnej formie godła metalowego, symbol orła wz. 43 rozpowszechnił się w innych postaciach. Malowano go w naturalnej wielkości, szarą farbą, przez szablon na radzieckich hełmach wz. 40, a po zajęciu Warszawy żołnierze defilowali w hełmach z ręcznie malowanymi białymi orłami dwukrotnie większymi od standardowych. Orłami wz. 43 ozdabiano również pojazdy i sprzęt bojowy. W ZSRR produkowano też guziki z nietypowymi orłami, w których rysunku można się dopatrzeć pewnych cech godła wz. 43.

Niechciany, nielubiany, niemodny

„Witano nas – owszem – często z radością, ale czasem odprowadzano ponurymi i podejrzliwymi spojrzeniami. Wprawdzie polskimi jesteście żołnierzami – mówiły te spojrzenia – ale polszczyzna waszych oficerów jakaś dziwna, orzełki nie te i w ogóle coś nie tak...”. W ten sposób wspominał reakcje rodaków Józef Franczak, który do Polski dotarł w szeregach Dywizji Kościuszkowskiej spod Lenino. Nie był w swoich spostrzeżeniach odosobniony – przy mundurach i czapkach polskiego kroju orzeł wz. 43 powo-

▶ Rękojeść niemieckiego kordzika z nałożonym przez polskiego żołnierza przez polskiego żołnierza orłem wz. 43

dował rażący dysonans. Wielu żołnierzy odnotowało w swoich wspomnieniach niechętny stosunek do czapkowego godła. Od początku już, od sieleckiego obozu, orła przezywano „kuricą”, „kura” czy też „wroną”. Co ciekawe – w taki sam sposób nazywali polscy żołnierze innego orła z obcego nadania w roku 1917, podczas próby utworzenia beselerowskiej Polnische Wehrmacht.

Niechęć do nowych godeł sprawiła, że wielu żołnierzy starało się zdobyć orły wz. 1919. Szczęśliwcom udawało się dostać prawdziwe, pamiętające kampanię wrześniową. Bronisław Kulik, były żołnierz 11. pp, w rozmowie ze Sławomirem Kordaczukiem, autorem ok. 150 wywiadów z weteranami znad Oki, opublikowanych w periodyku „Pamięć i Niepodległość”, wspominał: „[...] miałem przedwojenny. Bo kiedy byłem w Łodzi, szła matka z chłopczykiem takim, który miał może osiem lat. Przy czapce miał orzełka po ojcu. Ja mu mówię: – Byś mi podarował tego orzełka, a ja ci dam swój, będziesz miał pamiątkę od polskiego żołnierza. No, i jego mama mówi: – Daj panu żołnierzowi tego orzełka, to szczęśliwie powróci z wojny. I ja go miałem długi czas”.

▶ Orzeł wz. 43 namalowany na burcie pojazdu



Inną drogą zdobył orła Olgierd Kowalski, który do szeregów berlingowskiej Samodzielnej Kompanii Zwiadu trafił z 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Pierwsze spotkanie z „kuricą” wspominał nie najlepiej: „czekała na nas ekipa »berlingowców«. Na czele jej stał oficer polityczny. Krytycznie słuchaliśmy jego upolityczniająco-agitujących wypowiedzi. Zrażał już nas sam wygląd »komisarza«. Polska sukienka, granatowe bryczesy, harmoszkowate buty, rogatywka »polówka«, ale z naprężonym dnem (wstawiało się druty).

Na czapce zamiast orzełka – sławetna kuryca. [...] Ponadto wyglądała na Żyda. Chętniej rozmawialiśmy z żołnierzami z jego eskorty. Byli to Polacy wywiezieni w głąb Rosji [...]. Chcieli wyrwać się z »raju«. Brali udział w bitwie pod Lenino. Nie ukrywali, że dostali w dupę, że wielu wbiło *sztyki w ziemię* i poddało się do niewoli. [...] Sam widziałem jesienią 1943 roku w Łucku pracujących na lotnisku kilku jeńców »berlingowców«. Prawdopodobnie przywieziono ich tam ze względów propagandowych. Oficer ów nie opuszczał już nas”. Podczas bojów na Wale Pomorskim oddział szer. Kowalskiego został zakwaterowany w pomieszczeniach po byłym obozie jenieckim. „Prymitywne szafki załadowane były »dobytkiem«: resztki paczek ▶



żywnościowych Czerwonego Krzyża, a przede wszystkim uderzało to, że bardzo wielu więźniów posiadało narzędzia. Strugi, młotki, przecinaki. Każdy coś majstrował. Można było znaleźć również pozostawione »wyroby«. Ja np. wziąłem sobie wykonanego niesłychanie precyzyjnie z blachy aluminiowej, pięknego, oczywiście z koroną orzelka. Nosilem go na czapce do końca służby wojskowej. Zabrałem go później nawet do cywila”.

Jedno z ciekawych wspomnień spisanych przez Sławomira Kordaczuka dotyczy pobytu w Łodzi: „[...] ojciec mój, Tadeusz Słupczyński, był kapralem w 2. Armii Wojska Polskiego. [...] We wspomnieniach przekazał mi, że w Łodzi stacjonowało wiele jednostek, m.in. kwatermistrzowskich. Miał chwilę wolnego czasu i z fabryki Grabskiego, która przed wojną produkowała odznaki, guziki i orzelki na czapki, wziął całą czapkę orzelków. Ja później po wojnie miałem tego orzelka. Niestety, jako chłopiec gdzieś go utraciłem. Z tymi orłami wrócił do sztabu i rozdał je kolegom. Oni wszyscy sobie te orzelki przypinali na czapki. No, i wybuchła afera, ponieważ większość oficerów była z Armii Czerwonej. – Kto, co, jak?! Oni tam zwartym frontem stanęli i tych orzelków nie zdjęli. No, i ojciec do końca wojny z tym orłem na czapce przewędrował i z nim wrócił do domu. Tak starano się nawiązać do tradycji polskich z lat międzywojennych. Niechętnie noszono »kurice«, które miały niewiele wspólnego z tradycyjnym orłem polskim. [...] Orzeł ten był duży, z czapki oficerskiej, z mosiężnej blachy, srebrzony i z dużą wypukłą, karbowaną nakrętką. Koronę naturalnie miał zachowaną. Bardzo ładny w kroju. Taki typowy orzeł z lat międzywojennych wzoru 1919”.

Nie wszyscy amatorzy tradycyjnych godeł mieli okazję zdobyć oryginalne egzemplarze przedwojenne. Ignacy Okniński z 26. pp kwaterujący w ziemiankach Kownackich Lasów w okolicach Zarzecza zapamiętał, że w lesie żołnierze odlewali orły na wzór 1919 w piasku. „Taki mokry piach był. Mielśmy odcisk zrobiony. No, i to udawało się nam”. Orły

wz. 1919 miały – rzecz jasna – koronę, która wzbudzała niechęć wśród oficerów bardziej zaangażowanych politycznie. Wspominał Władysław Gruszecki, stacjonujący w Warszawie w roku 1946: „W sztabie dywizji myśmy pracowali na I piętrze, na parterze był hall, w hallu były wieszaki. Na wieszaku zostawiało się płaszcz i czapkę. Na czapce był przyczepiony ten orzeł, a Tadek Kamiński – jeden z oficerów politycznych sztabu dywizji – chodził ze szczypcami do drutu. Tymi szczypcami obcinał korony. Naturalnie nie pytając, nikt nie wiedział o tym. Czasami nie tylko korony, ale i głowy nie było. Bo nie zawsze trafił. Szybko to robił prawdopodobnie. Zabieraliśmy później czapki do pokoju. Te czapki sztywne były, bo połówkę łatwiej było schować”.

Cichy koniec orła wz. 43

Po wkroczeniu na teren Polski coraz większa liczba żołnierzy zamieniała „kurice” na orły wz. 1919. Była to swoista moda, a przykład szedł z góry – orły takie nosili najwyżsi dowódcy ówczesnego wojska. Jak wspominał Tadeusz Dąbrowski z 2. Dywizji Piechoty: „podczas wkraczania do Warszawy, 17 stycznia 1945 roku, należałem już do żołnierskiej



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł odlany z aluminium na podstawie przedwojennego wz. 19 z obciętą koroną; wykopany pod Rzeszowem, na terenach, na których od października 1944 roku do stycznia 1945 roku formowana była 10. Dywizja Piechoty

elity nie tylko z racji guzików [z orłami] przy mundurze, ale i orła z koroną na czapce. Widziałem, że mój dowódca akceptuje tę nobilitację, chociaż sam pozostał wierny kurze z innego powodu, co doskonale rozumiałem”.

Wzrost niechęci do orła wz. 43 wiązał się z kilkoma czynnikami. Pierwszym z nich było przywiązanie do tradycyjnych godeł, prezentowane przez część ochotników już w Sielcach. Kolejnym – demonstracyjna nieufność ludności napotkanej po wkroczeniu na ziemię polskie. Wreszcie należy pamiętać o przybywaniu do szeregów wojska nowych żołnierzy, niemających już do rzekomo „piastowskiego” godła absolutnie żadnego sentymentu. O skali problemu może świadczyć choćby to, że – zdaniem cytowanego wyżej Tadeusza Dąbrowskiego – podczas forsowania Odry 40 proc. stanu osobowego 1. Armii stanowili byli żołnierze Armii Krajowej, a w 2. Armii nad Nysą Łużycką odsetek ten mógł być jeszcze większy. Dokładne liczby są w tym przypadku z oczywistych względów nie do ustalenia.

Tak więc orzeł wz. 43 nie doczekał się oficjalnego wycofania z użycia, lecz po prostu zniknął, wyparty i odrzucony. Mimo to pozostał na długie lata istotnym symbolem propagandowym. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych uruchamiano wielkoseryjną produkcję tych godeł, najpierw do wyposażenia żołnierzy w mundurach historycznych podczas defilady tysiąclecia w 1966 roku, później na potrzeby wielkich batalistycznych produkcji filmowych.

Dzień rozpoczęcia bitwy pod Lenino, 12 października, przez długie lata był obchodzony w PRL jako święto Wojska Polskiego. Przez cały ten czas nie istniał na pobojożywie cmentarz. Zwłoki poległych pochowano w bratnich mogiłach, o których śpiewał Włodzimierz Wysocki: „Zdies’ niet ni odnoj personal’noj sud’by – Wsie sud’by w jedinuju slity” („Tu nie ma indywidualnych losów – wszystkie losy są złane w jedno”).

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

„Inka”. Przerwane życie...

Sławomir Wójcik

– Gotowi? Lecimy! – reżyser Michał Wilczek daje znak do rozpoczęcia zdjęć. Echo niesie jego słowa po wnętrzu przestronnego kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie. Nieliczni wierni – modlący się w poniedziałkowy poranek wrześniey – z zainteresowaniem spoglądają w kierunku bocznej nawy. Właśnie ruszają zdjęcia do teledysku ilustrującego piosenkę *Jedna chwila* o Danucie Siedzikównie „Ince”.

▶ Aleksandra Wójcik zagrała „Inkę” w ostatnich chwilach jej życia

Piosenka śpiewana przez Kasię Malejonek jest jednym z szesnastu utworów, które znalazły się na płycie „Panny Wykłète”. Teledysk *Jedna chwila* pokazuje sceny z ostatnich dni życia Danuty Siedzikówny „Inki”, sanitariuszki oddziału Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, straconej przez komunistów w wieku zaledwie 17 lat. Oprócz tego w klipie oglądamy sytuacje z życia codziennego współczesnych młodych kobiet: egzamin na studiach, ślub, pracę zawodową, spędzanie czasu z rodziną, odpoczynek w kawiarni. – Chcemy pokazać, kim była „Inka” i kim mogłaby być, gdyby jej życie nie zostało tak brutalnie przerwane – mówi Rafał Pękala, kierownik produkcji, szef Sekcji Notacji i Opracowań Multimedialnych Biura Edukacji Publicznej IPN.

Patrycja: „Jestem blisko obok ciebie”

Pierwszy klaps pada przy ołtarzu bocznym. Na planie książd (Radosław Domiński) i młoda para, której błogosławi. W roli panny młodej – Patrycja Starczewska. Dziewczyna, w którą się wciela – w odróżnieniu od „Inki” – dożyła jednej z najpiękniejszych chwil w swoim życiu: stanęła na ślubnym kobiercu. Panna młoda z uśmiechem na twarzy, patrząc w oczy swojemu filmowemu wybrankowi (Piotr Wiejak), śpiewa refren piosenki: „Nie oglądam się za siebie / tam gdzie dym i mrok / Jestem blisko obok ciebie / Jeszcze tylko jeden krok”. Reżyser przesuwając kamerę obok aktorów, by uzyskać odpowiednie ujęcia. Kręci z boku i od dołu, by zdjęcia nabrały odpowiedniego dynamizmu. Sceny powtarzamy po kilka razy. Ma być perfekcyjnie. W końcu słychać upragnione „Mamy to!”. Zdjęcia kończą się późnym popołudniem. Nie możemy doczekać się kolejnego dnia pracy.

Kasia: egzamin z życia

Wtorek, drugi dzień zdjęć. Tym razem w auli Szkoły Głównej Handlowej. Za katedrą – dr Andrzej Zawistowski, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, a także... wykładowca historii gospodarczej w SGH. Właściwie zatem gra samego siebie. *Alter ego* „Inki” odtwarza wokalistka – Kasia Malejonek. W tej sce-

nie jest studentką zdającą egzamin. Śpiewa: „Powiedz bliskim, zachowałam się jak trzeba / Nie dla medalu, tam już nagród nie potrzeba / To dla ciebie kropelka Polski, daj ją dzieciom / gdy nie wiedz, o czym śnić”. W sąsiedniej ławce siedzi młody chłopak, łapie jej ukradkowe spojrzenia, uśmiecha się...

I znów nasuwa się refleksja: egzaminu, z którego ocenę miałyby wpisaną do indeksu, nie było dane zdawać „Ince”. Przedwcześnie zdała znacznie trudniejszy egzamin...

Kasia Malejonek nie miała wątpliwości, czy wziąć udział w „Pannach Wykłetych”. – Zostałam wychowana w duchu patriotyzmu, wartości i tradycyjnych zasad – podkreśla. – Moja piosenka jest o „Ince”, młodej dziewczynie, której nie złały ubeckie tortury. Jakoś szczególnie mnie to porusza. Podziwiam „Inkę”, jest dla mnie inspiracją. Rozumiem ją, wydaje mi się, że wiem, jakie mogła mieć pragnienia i plany na przyszłość. Była w stanie to wszystko poświęcić. Nie wiem, czy miałabym w sobie tyle odwagi. Moją piosenką składam jej hołd – dodaje.

Magda: promieniujące szczęście

Po stresującym egzaminie pora na relaks przy filiżance kawy. W śróde o poranku rozpoczynamy zdjęcia w kawiarni Green Caffè Nero przy pl. Unii Lubelskiej. Tutaj młoda współczesna kobieta z za szyby wygląda swego narzeczonego. W rolę kolejnego *alter ego* „Inki” wciela się Magdalena Skrzek. Za oknem widzi miasto tętniące życiem. Do pomieszczenia przez szybę wkradają się promienie słoneczne i oświetlają jej postać. Ukochany (Przemysław Skrzek, prywatnie – mąż) przynosi jej bukiet białych kwiatów. Szczęście aż promieniuje od zakochanej pary. Szczęście, którego nie było dane doświadczyć „Ince”...

Ola: jak było naprawdę

Tego samego dnia, tuż po południu, nastrój zmienia się diametralnie. Plan zdjęciowy przenosi się do aresztu śledczego przy ul. Rakowieckiej. To tu, prawdopodobnie w korytarzu więzienia bloku 8, zastrzelono strzałem w tył głowy rtm. Witolda Pileckiego. W tym samym miejscu nagrymy scenę rozstrzelania „Inki”, choć w rzeczywistości dziewczyna została stracona w więzieniu przy ul. Kurkowej w Gdańsku w 1946 roku.

Rakowiecka budzi grozę. Autentyczny napis „Tu kierować broń” na tablicy umieszczonej na murze, potęguje ponure ▶

emocje. Zbliżamy się do wejścia, za którym strome schody zaprowadzą nas do celu. Wszyscy rozglądamy się dookoła, czując, że jesteśmy w wyjątkowym miejscu.

Krótką naradą z reżyserem i jesteśmy gotowi do pracy. Nagrywamy scenę, w której „Inka”, prowadzona ciemnym korytarzem przez swoich oprawców, mija kolejno osoby obserwujące ostatnie chwile jej życia. Na twarzach niektórych maluje się żal i smutek, w oczach innych widać nienawiść. W rolę „Inki” wcieliła się siedemnastoletnia Aleksandra Wójcik, której – podobnie jak wówczas „Ince” – do pełnoletniości brakuje tylko dni.

W nagraniu uczestniczą członkowie Grupy Rekonstrukcji Historycznej Batalionu AK Czata 49. Odgrywają role uzbrojonych w radzieckie pepesze żołnierzy ludowego Wojska Polskiego, księdza obecnego przy rozstrzelaniu „Inki” i młodych osób obserwujących dziewczynę prowadzoną na śmierć. Scena rozstrzelania budzi największe emocje. Do dziś nie wiemy, ilu dokładnie ludzi zostało zabitych w pomieszczeniu, w którym jesteśmy. Czy w ogóle się tego kiedyś dowiemy?

Kolejnego dnia, w siedzibie Służby Kontrwywiadu Wojskowego przy ul. Oczki 1, nagrywamy wydarzenia poprzedzające egzekucję. W podziemiach można obejrzyć wystawę „Pamięci ofiar terroru komunistycznego w Wojsku Polskim”. W tym miejscu bowiem torturowano i zabijano polskich bohaterów.

Pokój, w którym powstają kolejne ujęcia, to drobiazgowo odtworzone pomieszczenie przesłuchań. W roli oficera Urzędu Bezpieczeństwa odpytującego „Inkę” – niezwykle przekonujący Michał Kępiński ze wspomnianej grupy rekonstrukcji, prezes Fundacji Edukacji Historycznej. Oficer krzyczy, uderza głową dziewczyny o blat biurka. Padają niecenzuralne słowa. „Inka” ma sińce pod oczami, ślady krwi na twarzy i białej koszuli. Charakteryzatorka zadbała o autentyczność tej sceny.

Kolejne ujęcia kręcone są w karczerze. Z trudem mieszczą się tam aktorka i kamera. Światło z góry pada na drobną postać Inki. Jest skatowana, głodna, przestraszona...

Hania: nowe życie

Do pogodnego nastroju wracamy następnego poranka, choć odczuwamy już trudy mijającego tygodnia. Spotykamy się w Parku Sowińskiego na warszawskiej Woli. Jest 7.00, aura dopisuje. Na planie odtwórczyni współczesnych *alter ego* „Inki”. Złożą kwiaty pod pomnikiem Danuty Siedzikówny,

► Kasia Malejonek – wokalistka, odtwórczyni roli jednego ze współczesnych *alter ego* „Inki”



Fot. Grzegorz Pastuszak

który w rzeczywistości stoi w parku im. dr. Henryka Jordana w stolicy Małopolski. – Ekipa odpowiedzialna za zdjęcia krakowskie czekała do ostatniej chwili na dobre warunki świetlne, które dzięki umiejętnemu montażowi dałyby przekonujący efekt złożenia kwiatów przez współczesne „Inki” w Krakowie – reżyser odsłania kulisę triku.

Ostatni klaps w tym miejscu i przenosimy się do pobliskiego parku im. Edwarda Szymańskiego. Na placu zabaw spotykamy gromadkę dzieci, które zagrają w kolejnej scenie teledysku. Jedną z matek obserwujących maluchy na placu zabaw jest w ciąży. W tej roli – rzeczywiście spodziewająca się dziecka – Hanna Tomaszewska-Pękała. – Chcieliśmy pokazać jedną z najważniejszych ról, które może odegrać w życiu każda kobieta: rolę matki. „Ince” oprawcy odebrali tę możliwość – mówi Michał Wilczek.

Justyna: spełnienie zawodowe

Przychodnia przy ul. Szlenkierów. Tu po raz ostatni usłyszymy głośno: „Lecimy!”. W poczekalni sześciolatka (Karolinka Wróblewska) bawi się w kąciку dla dzieci. Otwierają się drzwi gabinetu, pojawia się lekarka (Justyna Wróblewska, prywatnie mama małej pacjentki). Kto wie, może „Inka”, gdyby przeżyła, wykonywałaby ten właśnie zawód?

Lekarka bada Karolinę. Dziewczynka nieoczekiwanie zaczyna śpiewać. Tego nie było w scenariuszu. Efekt okazuje się rewelacyjny. W trakcie przerwy między ujęciami reżyser wraz z kierownikiem produkcji wpadają na pomysł, aby jeszcze zmodyfikować scenariusz. Na planie zdjęciowym po raz kolejny pojawia się ciężarna Hania. W ostatnim kręconym ujęciu jest badana ultrasonografem. Na ekranie urzędzenia widać nowe życie...

„Inka”: wierność do końca

„Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba” – tak brzmiał pożegnalny gryps „Inki”, przekazany z gdańskiego więzienia już po wyroku śmierci. Ostatnie słowa młodej bohaterki brzmiały: „Niech żyje Polska!”.

Czy któraś z jej *alter ego* potrafiłaby poświęcić życie, by pozostać w zgodzie z wyznawanymi wartościami? Czy dzisiejszy młody człowiek w obliczu śmierci odważyłby się na podobne zachowanie? Wielu zapewne tak. Oby jednak nigdy nie musiało to zostać sprawdzone. 🌹

Ślawomir Wójcik – student Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, praktykant w Sekcji Notacji i Opracowań Multimedialnych BEP IPN

Autorem projektu muzycznego „Panny Wykłète” jest Dariusz Malejonek wraz z zespołem Maleo Reggae Rockers. Płyta jest inspirowana losem kobiet zaangażowanych w powojenne antykomunistyczne podziemie zbrojne – Żołnierzy Wykłėtų – i głosem współczesnych artystek młodego pokolenia opowiada o tragicznych doświadczeniach dziewcząt takich jak „Inka”. Na płycie znajdują się nagrania Ani Brachaczek, Jadwigi Basińskiej, Gonix, Haliny Młynkowej, Ifi Ude, Kasi Kowalskiej, Lilu, Marceliny, Mariki, Mony, zespołu Paresłów oraz Ani, Natalii i Pauliny Przybysz.

Teledysk do piosenki Kasi Malejonek *Jedna chwila* wyprodukowało Biuro Edukacji Publicznej IPN.

Premiera płyty: 13 września 2013 roku

Czy istnieje życie po piekle?

Dominującym – jak sądzę – uczuciem, które nurtuje czytelnika tej książki, jest ambiwalencja. Ambiwalencja co do tego, jak naprawdę było w obozach i więzieniach doby wojny i okupacji: bardzo strasznie czy tylko strasznie. Także ambiwalencja co do tego, jak zachowywali się więźniowie: znakomicie czy beznadziejnie źle. Byli więźniowie, którzy o tym opowiadają, mówią na podstawie różnych osobistych doświadczeń, a nadto filtrują to doświadczenie przez pryzmat swojego systemu wartości, dlatego obraz tamtej rzeczywistości jest tak różnorodny. No, i tak chyba było w rzeczywistości: raz tak, a raz diametralnie odmiennie. To wiele mówi o szerokiej skali represji nazistowskich Niemiec i komunistycznej Rosji – państw, które stworzyły te obozy i więzienia – od form relatywnie łagodnych do ludobójstwa. Ale przede wszystkim wiele mówi o naturze człowieka, zdolnego tak do czynów wzniosłych, jak i do podłych.

Ksiądz Konstanty Michalski CM – wielki filozof, duchowny ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor głośnej rozprawy *Między heroizmem a bestialstwem* (Kraków, 1949) – zaraz po wojnie, jesienią 1945 roku, rozpiął wśród byłych więźniów ankietę. Zadał im pięć pytań: „1) Co najwięcej w obozie trzymało?; 2) Co mnie tam najwięcej bolało i dręczyło?; 3) Czy tam odczułem dla kogoś głębszy szacunek i dlaczego?; 4) Czy poza zajęciami przymusowymi i wbrew zakazom robiłem coś lub działałem z własnej inicjatywy albo w porozumieniu z towarzyszami?; 5) Czy w tym czasie pogłębiłem lub zmieniłem pogląd na jakieś ważne zagadnienie życia?”.

Ksiądz Michalski zmarł w 1947 roku w trakcie opracowywania wniosków z tej ankiety. Redaktorzy wydanej w 2012 roku książki zastrzegają, że nie jest to dokończenie jego pracy, lecz – co oczywiste – w pewnym sensie wypełnienie testamentu wielkiego filozofa.

Ksiądz Bronisław Sieńczak CM (konfrater ks. Michalskiego) stwierdza w rozmowie, która jest rodzajem wprowadzenia, że redaktorami tego dzieła kierował imperatyw prawdy: „Ktoś zapyta, po co? Po co mamy rozdrapywać przeszłość, wskrzeszać potworne duchy, przypominać? Po co w czasie budowania wspólnoty europejskiej nagle pokazywać, że Niemcy byli tacy, Sowieci tacy? Że Polacy różni, nie wszyscy kryształowi, jak byśmy to chcieli widzieć? A jednak. To właśnie wśród młodego pokolenia budzą się

zainteresowania badawcze historią sprzed 60 lat, to środowiska niemieckie najbardziej niecierpliwie oczekują na tę publikację. Dlaczego? Bo chodzi o prawdę. [...] To świadectwo życia i przeżycia. I świadectwo ceny, jaką za to życie ludziom przyszło zapłacić. Także moralnej ceny. Tu nie tyle chodzi o prawdę czy stereotypy o nacjach, lecz o prawdę o człowieku, jej, że tak powiem, formacyjne oddziaływanie”.

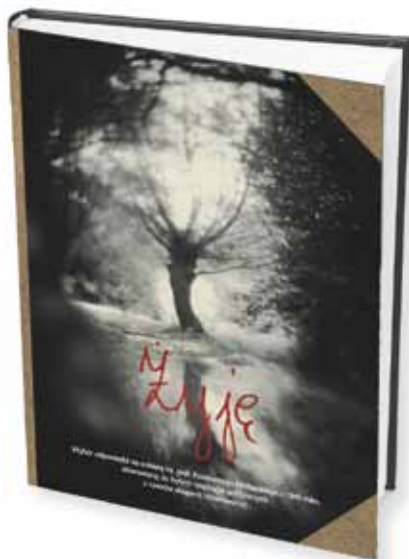
Niebagatelna w odpowiedziach na ankietę ks. Michalskiego jest kwestia Boga, jego obecności lub nieobecności w – mówiąc symbolicznie – Auschwitz i na Kołymie. Jedni wobec tak drastycznego zanegowania człowieczeństwa widzieli dowód na nieistnienie Boga, a co najmniej na jego abdykację. Na przykład więźniarka Ravensbrück pisała: „Po różnych kolejach życia odeszłam od Boga, krzywdziela i kata; o ile w ogóle istnieje, sądzę, że jest patronem lagrów i krematoriów, niepozabawionym sadyzmu”. Można zrozumieć taką reakcję po przeżyciu piekła.

Ale taka reakcja nie jest nieuchronna, można było – przeciwnie – w chwili próby widzieć, niezrozumiały wprawdzie, ale jakiś Boży zamysł, a w chwili ocalenia z koszmaru dostrzec rękę Boga. Oto więzień, który najpierw przeszedł Auschwitz, a potem został przeniesiony do obozu w Austrii, pisał o końcu obozowej gehenny: „Otaczają nas wspaniałe, potężne góry, gdzie nie spojrzysz, same góry. Wtem dzwonek ministranta, podniesienie. Takiej uroczystej chwili nie miałem w życiu. Gdy kapłan podnosi tę Hostię świętą i kielich, wtedy rzeczywiście wiedziałem, że zstąpił sam Bóg. Lasy przestały szumieć, a góry skamieniały, zrobiły się małe... Cicho wszędzie, tylko słychać szept kapłana. Wtedy to naprawdę szczerze wypowiedziały moje usta: »Oto Pan i Bóg mój!«”.

Lecz najbardziej kluczowe dla zrozumienia i rzeczywistości obozów, i w ogóle zjawiska totalitarnego zniewolenia, wydają mi się słowa ks. Sieńczaka o cenie moralnej, którą przyszło zapłacić za przeżycie w tak nienormalnych warunkach. Nie negując przejawów postawy godnej, bohaterkiej, a nawet heroicznej, najbardziej uniwersalnym morałem z lekcji totalitaryzmu jest ten, że on niszczył wewnątrz wszystkie

swoje ofiary, nawet tych, którzy stawiali mu opór (w tym sensie niszczył zresztą także swoich beneficjentów). Píše była więźniarka Ravensbrück: „Gdy wróciłam, zostałam ogarnięta próżnią nowego życia. Długo musiałam znajdować powody, czemu jestem człowiekiem-manekinem. I znalazłam [próżnię]: nie wierzę w nic, nie mam już serca, nie uznaję uczuć. Żyję, daję sobie radę, lecz stoję jak drzewo próchniałe. Czy to moja wina? Nie. Wiem, że świat dał mi wszystko, by przestało istnieć serce i uczucia. A wiara widocznie jest uczuciem, bo odeszła. Z tym próżnym światem niebycia w przeszłości jest mi czasem dobrze”.

Nieraz powtarzamy w kontekście obu totalitaryzmów XX wieku „nigdy więcej!”, ale niezbyt dobrze uświadamiamy sobie – my, obdarzeni „łaską późnego urodzenia” – co było ich jądrem. Lektura tej książki pozwala sobie to dobitnie uświadomić. ❄



Żyję. Wybór odpowiedzi na ankietę ks. prof. Konstantego Michalskiego z 1945 roku, skierowaną do byłych więźniów politycznych z czasów okupacji niemieckiej, red. ks. Edward Formicki, ks. Bronisław Sieńczak, Wydawnictwo Instytutu Teologicznego Księży Misjonarzy, Kraków 2012, ss. 364

Biskupi i aparatczycy

W Polsce Ludowej Kościół katolicki był traktowany przez państwo jako główny wróg ideologiczny. Sytuacja ta zmieniała się tylko wtedy, gdy opozycja wobec komunizmu była silna, tak jak w pierwszych latach powojennych czy w czasie szesnastu miesięcy istnienia Solidarności. Mimo że polscy biskupi mieli świadomość celów władzy pochodzącej z moskiewskiego nadania, to starali się prowadzić z nią rozmowy. Pierwszą oficjalną platformą dialogu między rządzącymi a przedstawicielami episkopatu była powołana w 1949 roku Komisja Mieszana. Rezultatem jej prac było zawarcie porozumienia regulującego stosunki państwo–Kościół. W kolejnych latach jej istnienia (od 1956 roku działała pod nazwą Komisja Wspólna) spotkania nie przynosiły już tak znaczących efektów, a w 1967 roku zostały zawieszane.

We wrześniu 1980 roku władze postanowiły reaktywować Komisję Wspólną. Mimo znaczenia tego gremium dla relacji między państwem a Kościołem w latach osiemdziesiątych, nie powstała do chwili wydania recenzowanej w tym miejscu pracy żadna większa publikacja dotycząca Komisji Wspólnej. Książka Krzysztofa Michalskiego jest pierwszą naukową monografią na ten temat. Powstała na podstawie protokołów obrad Komisji Wspólnej pochodzących z Archiwum Akt Nowych i opublikowanych już wcześniej w tomie *Tajne dokumenty państwo-Kościół 1980–1989* (Londyn 1993).

W latach osiemdziesiątych zebrania komisji były ważnym miejscem wymiany poglądów między biskupami a dygnitarzami komunistycznymi. Jej skład powodował, że w wielu kwestiach związanych z regulacją stosunków państwo–Kościół było znacznie łatwiej dojść do porozumienia niż w latach poprzednich. Przeważali w niej bowiem ludzie o nastawieniu pragmatycznym i mający znaczącą pozycję we własnych obozach. Warto dodać, że znali się już z wcześniejszych kontaktów, co z pewnością ułatwiało nawiązanie konstruktywnego dialogu.

Atmosfera spotkań i sposób funkcjonowania tego gremium były zupełnie inne niż w okresie rządów Bolesława Bieruta czy Władysława Gomułki. Jak pisze Michalski, obrady odbywały się według schematu wypracowanego w czasie pierwszych posiedzeń i miały kulturalny przebieg. W trakcie spotkań – poza regulacją stosunków między państwem a Kościołem, z wypracowaniem ustawy o osobowości prawnej Kościoła na czele – rozmawiano przede wszystkim o bieżącej sytuacji społeczno-politycznej.

Powodem reaktywowania komisji przez władze była – jak to precyzyjnie odtwarza autor – przede wszystkim chęć stępienia radykalizmu Solidarności i wykorzystania autorytetu Kościoła do pacyfikowania nastrojów społecznych. Dzięki takiemu nastawieniu rządzących w pierwszych trzech latach funkcjonowania komisji strona kościelna uzyskała wiele ustępstw, chociaż nie o pierwszorzędnym znaczeniu. Stronie rządowej udało się zaś wytworzyć przekonanie wśród przedstawicieli episkopatu, że pewne działania Solidarności są szkodliwe, na co autor zwraca szczególną uwagę.

W tym gremium prowadzono również negocjacje dotyczące wizyt w kraju planowanych

przez polskiego papieża. Tak było zarówno przed drugą pielgrzymką, do której doszło w 1983 roku, jak i ostatnią w okresie istnienia PRL, czyli w 1987 roku. Ustalenia podjęte w czasie obrad komisji z pewnością ułatwiły rozwiązanie wielu spraw spornych związanych z programem wizyty czy szczegółami pobytu papieża w kraju.

Po drugiej wizycie Jana Pawła II w ojczyźnie, z której rządzący PRL byli z wielu powodów mocno niezadowoleni, sytuacja w Komisji Wspólnej zaczęła się zmieniać. Wynikało to z istotnych korekt w polityce wyznaniowej władz, która stopniowo się zaostrzała. W czasie kolejnych posiedzeń, jak zauważa autor, dystans między dyskutantami systematycznie się zwiększał, by największe napięcie osiągnąć po zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki. Członkowie komisji nie przestali się spotykać, chociaż robili to rzadziej niż w latach poprzednich i ich obrady odbywały się w napiętej atmosferze. Sytuacja zaczęła się poprawiać pod koniec 1985 roku, gdy władze doszły do wniosku, że można wykorzystać autorytet Kościoła do wzmocnienia legitymizacji własnej polityki. Próbowano wciągnąć biskupów do firmowania fasadowych organizacji służących do wzmocnienia władzy Wojciecha Jaruzelskiego. Jednak przedstawiciele episkopatu stale odmawiali, stawiając się jedynie w roli mediatora między społeczeństwem a władzami PRL.

Po trzeciej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski obrady komisji zostały zdominowane przez dwa tematy: wypracowanie ustawy o osobowości prawnej Kościoła katolickiego i zawarcie porozumienia społecznego. W maju 1989 roku, spełniając postulat biskupów, uchwalono ustawę o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, miesiąc później odbyły się zaś wybory, które były początkiem demontażu systemu komunistycznego.

Michalski trafnie zauważa, że obrady Komisji Wspólnej miały duże znaczenie dla obu stron. Niejednokrotnie przyczyniły się do łagodzenia konfliktów między władzami a Kościołem. Przedstawicielom episkopatu udawało się też kilkukrotnie załatwić spełnienie własnych i społecznych postulatów. Forum Komisji było wreszcie – jak zwraca uwagę autor – miejscem wymiany opinii i jako takie było szczególnie istotne dla strony rządowej, która mogła pogłębiać sceptycyzm episkopatu wobec niektórych ugrupowań opozycyjnych (szczególnie wobec KOR-u).

Realizacja poszczególnych zadań tego gremium, ustalonych we wrześniu 1980 roku, przebiegała w zróżnicowany sposób i zależała przede wszystkim od ogólnej atmosfery we wzajemnych stosunkach. Jeśli ta była dobra, wiele spraw udawało się załatwić w sposób koncyliacyjny, jak na przykład ustalenie zasad transmisji nabożeństw w radiu w początkowym okresie funkcjonowania komisji. Lecz gdy polityka władz wobec Kościoła stawała się agresywniejsza, wiele prac podejmowanych przez to gremium było wstrzymywanych (choćby praca nad unormowaniem pozycji prawnej Kościoła w PRL).

Najważniejszym efektem działalności komisji, co podkreśla autor, były tzw. ustawy majowe regulujące pozycję prawną Kościoła w państwie. Było to na tyle nowoczesne rozwiązanie, że przetrwało do dziś bez znaczących modyfikacji. ❀



Krzysztof Michalski, *Działalność Komisji Wspólnej przedstawicieli Rządu PRL i Episkopatu Polski 1980–1989*, IPN, Warszawa 2012, ss. 296



■ Tomasz Bereza, *Wokół Piskorowic. Przyczynek do dziejów konfliktu polsko-ukraińskiego na Zasaniu w latach 1939–1945*, IPN, Rzeszów 2013, ss. 384 + ss. 24 wkł. zdj.



■ Justyna Błażejowska, Cecylia Kuta, *Od uległości do niezależności. Literaci i literatura w latach 1944–1989/1990*, IPN, Kraków 2013, ss. 235.



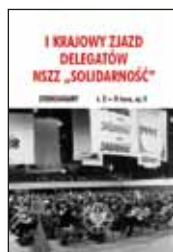
■ Jan Daniluk, *SS w Gdańsku. Wybrane zagadnienia*, IPN, Gdańsk 2013, ss. 180.



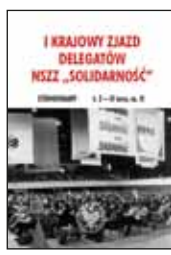
■ Wojciech Frazik, *Emisariusz wolnej Polski. Biografia polityczna Wacława Felczaka (1916–1993)*, IPN, Kraków 2013, ss. 711.



■ Marek Gałęzowski, *Przeciw dwóm zaborcom. Polityczna konspiracja pilsudczykowska w kraju w latach 1939–1947*, IPN, Warszawa 2013, ss. 552.



■ *I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Stenogramy, t. 2: II tura, cz. 1*, oprac. i red. Grzegorz Majchrzak, Jan Mariusz Owsiański, IPN, Warszawa 2013, ss. 811.



■ *I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Stenogramy, t. 2: II tura, cz. 2*, oprac. i red. Grzegorz Majchrzak, Jan Mariusz Owsiański, IPN, Warszawa 2013, ss. 997.



■ Andrzej Malik, *„Nie można oddzielić krzyża od ludzkiej pracy”. Komisja Robotnicza Hutników NSZZ „Solidarność” Huty im. Lenina (sierpień 1980 – grudzień 1981)*, IPN, Warszawa 2013, ss. 328.



■ *Oblicza prasy Ziemi Zachodnich w latach 1945–2012*, red. Andrzej Buck, Przemysław Bartkowiak, Dawid Kotlarek, IPN, Zielona Góra 2013, ss. 446.



■ *Osobowe środki pracy operacyjnej – zagadnienia źródłoznawcze*, red. Filip Musiał, IPN, Kraków 2013, ss. 454.



■ Maria i Andrzej Perlakowie, *Nowosolska „Solidarność”. Relacje, wspomnienia, dokumenty (wrzesień 1980 – czerwiec 1990)*, IPN, Poznań 2013, ss. 497.



■ *Polska Partia Robotnicza, Gwardia Ludowa/Armia Ludowa na ziemiach polskich 1942–1944/1945*, red. Krzysztof Kaczmarek, Mariusz Krzysztofiński, IPN, Rzeszów 2013, ss. 376.



■ *Potyczka pod Lipinkami 3 czerwca 1946 r.*, oprac. Marzena Kruk, IPN, Gdańsk 2013, ss. 48.



■ *„Solidarność” od wewnątrz 1980–1981*, red. Andrzej Friszke, Krzysztof Persak, Paweł Sowiński, IPN, ISP PAN, Warszawa 2013, ss. 376.



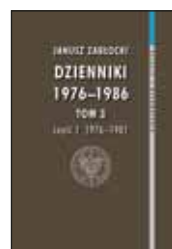
■ Mateusz Staroń, *Likwidacja Polskiego Korpusu Posiłkowego w 1918 roku. Losy legionistów po trakcie brzeskim*, IPN, Warszawa 2013, ss. 286.



■ *Stosunki państwo – Kościół w Polsce 1944–2010. Studia i materiały*, red. Rafał Łatka, IPN, Kraków 2013, ss. 138.



■ *Śladami podziemia. Działalność niepodległościowa w rejonie Tęgożorza w latach 1939–1953*, red. Dawid Golik, IPN, Kraków 2013, ss. 168.



■ Janusz Zabłocki, *Dzienniki 1976–1986, t. 3, cz. 1: 1976–1981*, IPN, Warszawa 2013, ss. 759.

Institut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6
Publikacje IPN można nabyć:
w siedzibie IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 8:30–16:00
tel. (22) 581 88 72
w Centrum Edukacyjnym IPN
im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA

ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00,
tel. (22) 576 30 06

Prenumerata „Pamięci.pl”
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty
wraz z cennikiem i formularzem zamówienia
znajdują się na stronie www.pamiec.pl
przy opisie najnowszego miesięcznika

Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać
wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN
albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej




Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie: tel. (22) 431 82 92,
(22) 431 82 88; (22) 431 82 89; fax (22) 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

POLSKIE SYMBOLE NARODOWE



Kto ty jesteś?

Polak Mały!

-  Jak wygląda godło Polski?
-  Co symbolizują czerwień i biel?
-  Dlaczego Mazurek Dąbrowskiego jest wyjątkową pieśnią?

Na te i na inne pytania znajdziecie odpowiedź w filmie animowanym dla najmłodszych uczniów



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

HISTORIA W KOLORACH

Dostępny od
5 listopada 2013 r. na stronie
www.pamiec.pl/polakmaly